Kobieta idealnie nieidealna

Gabriela GARGAŚ

MATKA ROKU

Gabriela
GARGAŚ

MATKA ROKU

SKARPA WARSZAWSKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Rozdział 1. Nie do wiary

Rozdział 2. O pewnej przyjaźni na dobre i na złe i na przemarsz wojska

Rozdział 3. W oparach absurdu, czyli wkurw na lockdown

Rozdział 4. O wyskoku i skoku

Rozdział 5. O pewnej wizycie, która miała zmienić moje życie. Mnie miała zmienić

Rozdział 6. U babci jest słodko, świat pachnie szarlotką

Rozdział 7. Jak to Zenek Martyniuk zawitał w moich progach

Rozdział 8. Nie ma to jak wspomnienia

Rozdział 9. Dzień z życia Tatiany

Rozdział 10. Zbliżają się święta

Rozdział 11. Historia pewnego buziaka

Rozdział 12. O dobrych radach cioci kloci

Rozdział 13. A wybecz się porządnie

Rozdział 14. Wyrzut sumienia jest jak wrzód na tyłku

Rozdział 15. Jazda bez trzymanki

Rozdział 16. Kiedy sił ci brak

Rozdział 17. O tragediach i kilku innych smutkach

Rozdział 18. Życie jak w transie

Rozdział 19. Spotkanie

Rozdział 20. O randkowaniu i nie tylko

Rozdział 21. O tym, że przeszłość potrafi człowieka dopaść w najmniej spodziewanym momencie

Rozdział 22. Poruszające spotkanie

Rozdział 23. Rypnęło się

Rozdział 24. O tym, że w kupę można wdepnąć wszędzie

Rozdział 25. Rozstania i powroty

Rozdział 26. Widmo straty

Rozdział 27. Wino utopi smutki

Rozdział 28. W kawiarni Chujowy Dzień

Rozdział 29. Dezercja

Rozdział 30. Czasami nie możesz się powstrzymać

Rozdział 31. Bo jeśli czegoś bardzo chcesz, to to naprawisz

Koniec

Przypisy

Redakcja i korekta
Anna Mieczkowska

Ilustracje
Łukasz Silski

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcie wykorzystane na okładce
© AlenD/AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021
© Copyright by Gabriela Gargaś, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66939-76-9

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Zacznę od tego, że jestem kobietą podobną do ciebie. Różnimy się pod wieloma względami, ale jednak wiele nas łączy. To będzie książka o mnie i o Tobie i jeszcze o naszej sąsiadce, siostrze, przyjaciółce i znajomej znajomej. To będzie książka, która na pewno nie będzie ociekała lukrem, ale poda pewne rzeczy na tacy i bez ściemy.

Bo przecież w realnym życiu nie powiemy „wiaterek mi dupkę smagnął", tylko „kurwa, ale piździ!".

W realnym życiu i baba chłopa, i chłop babę wkurza. I dzieci nie zawsze są grzeczne, częściej niegrzeczne. I odpyskują, i narobią ci obciachu w najmniej spodziewanym momencie.

I kochasz je jak stąd do końca świata, a jednak potrafią zaleźć za skórę.

I wiesz, że nie mogłabyś mieszkać z teściami ani z rodzoną matką czy ojcem, mimo że szanujesz i kochasz, ale czasami nie możesz ich zdzierżyć, tak jak oni ciebie.

I wiesz też, że sama potrafisz wkurzyć i życie uprzykrzyć.

I czasami garnek spalisz, i ziemniaki przesolisz, i masz czasami wszystkiego po kokardę.

I wiesz już, że jak mówisz „nie", to znaczy „nie", a nie że „może" czy „tak". I w końcu nauczyłaś się używać tego słowa. Brawo ty, niech sobie po tobie nie jeżdżą. Nie skaczą ani nie wdeptują w ziemię.

I świat jest piękny, tylko ludzie potrafią go sobie czasem obrzydzić.

To będzie książka o kobiecie w średnim wieku, która czuje się wciąż młodo, bo dusza się nie starzeje. A starzeje się ciało.

Śpiewa, fałszując, kiedy sprząta albo kiedy jest radosna. Podryguje w rytm muzyki z lampką wina. Zdobywa kolejne szczyty. Choćby szczyt swoich możliwości, głupoty, szaleństwa czy szczyt „nieee chceee mi się".

Upada na twarz.

Śmieje się do łez. Lata w przestworzach.

A ty latasz? Jak nie, to poleć sobie. Raz na jakiś czas odleć od swoich obowiązków i problemów.

Wiesz, że inni ludzie niekiedy podcinają nam skrzydła. Czasami mówią nam, że coś tam nie wypada. A dlaczego nie wypada? Jeśli czegoś chcę i czuję się na siłach, i nikogo tym nie krzywdzę, to mi wypada.

Mamy poukładane w głowach, w życiach, ale czasami są takie dni, że bajzel, rozpierducha.

I kręcimy tymi naszymi głowami. I zaklniemy pod nosem. I zwątpimy.

I płaczemy.

Jedna mądra papuga powiedziała: kobieta może wszystko, tylko nie dla każdego.

Każda z nas ma różne etapy w życiu – i te pełne euforii, i te upadków. I etap zwany „jak przetrwać dzień", i inny „jak zwlec się z łóżka". Jak przepełzać przez cały dzień, w którym piętrzą się wyboje? Jak uruchomić swój mózg, kiedy serce zakrwawione?

Jak nie rzucać przekleństwami, kiedy „kurwa mać" ciśnie się na usta.

Nie wiem. Czasami się po prostu czegoś nie wie.

Jestem oddaną przyjaciółką. Dla ludzi, których kocham, jestem gotowa zrobić bardzo dużo, sięgnąć im po gwiazdy, wyciągnąć słońce na ich niebo.

Wrogów omijam z daleka albo odwracam się na pięcie i odchodzę.

Niech zostaną za moimi plecami.

W związku z tym, że coś tam już przeżyłam, nauczyłam się, że jeśli ludzie zostawiają cię w czasie sztormu, to musisz sobie uzmysłowić, że za dużo słońca to oni ci nie dawali.

I nie możesz po nich za bardzo rozpaczać.

Kto zostawia swojego przyjaciela, kiedy jego łódź walczy z potężnymi falami?

Bo każdy związek międzyludzki jest na dobre i na złe.

Musisz też wiedzieć, że… Człowiek normalnie sobie żyje, jest młody. Dni mijają, a ty się czujesz, całkiem dobrze, całkiem młodo i… Nagle takie pierdzielnięcie przychodzi, nie wiadomo skąd. Zdajesz sobie sprawę, że masz swój ulubiony kocyk. Wyszczerbiony kubek. Swój ulubiony proszek do prania. Swój święty spokój, który niekiedy jest zakłócany przez domowników.

Człowiek zachwyca się, że mu ciasto wyrosło, pranie wyschło.

I mówi pod nosem *what the fuck*, kiedy coś tam się schrzani.

Czy to jakiś początek końca? Czy jakiś grzmot?

Nie. Przyszła dojrzałość.

I zaczyna odpuszczać pewne sprawy.

Odpuść dla spokojnego snu, dla dobrej nocy, odpuść niektórych ludzi.

Sprawy bez najmniejszego znaczenia.

Bo życie nie jest tak kolorowe jak na fejsie.

Życie czasami bywa chujowe.

Ale mimo że czasami takie bywa, to chciałabym ci powiedzieć:

BĄDŹ Z SIEBIE DUMNA, BO TYLKO TY WIESZ, ILE PRZESZŁAŚ.

Nikt, powtarzam: nikt nie wie, co przeżyłaś, ile rozpierduch pokonałaś, ile łez wylałaś, glutów wysmarkałaś.

Ile razy piekło chciało cię pochłonąć.

Ile razy podniosłaś się z podłogi, ile razy ktoś rozwalił ci życie.

Nikt nie ma bladego pojęcia, ile razy kawałek do kawałeczka składałaś do kupy swoje rozwalone serce.

I jeszcze jedno:

KAŻDY Z NAS MA JAKIEŚ BRAKI.

I podążamy sobie z tymi naszymi brakami po świecie.

Usilnie starając się zapełnić dziury w naszym wnętrzu.

Braki w miłości.

Bliskości.

Brak słów.

Brak ciepła.

Zaszywamy je albo liczymy, że ktoś nas zaceruje.

I potem rozczarowanie, bo czyjaś bliskość, czyjaś obecność, czyjaś miłość miały zapełnić tę czy inną pustkę. A tak naprawdę tylko my możemy sobie te pustki jakoś zapełnić.

Nikt inny nie będzie nam tego łatał.

Czasami trzeba sobie powiedzieć: idę swoją drogą.

Nie obchodzi mnie to, dokąd podążają inni. Ja zrobię tak, jak czuję.

Nie opłaca się iść za tłumem ani wejść w stado wron i krakać tak jak one.

Skowronki tak pięknie śpiewają, a orły szybują samotnie w przestworzach nieba...

Czasami trzeba zrozumieć, że świat musi się zawalić, rozpaść na kawałeczki, by na jego zgliszczach powstało coś pięknego.

I trzeba sobie uświadomić, że nie ma na co czekać. Nie ma co marnować czasu na odkładane w nieskończoność „kiedyś".

Kiedyś co? Będzie lepiej? A jak nie będzie?

Kiedyś będzie odpowiedni moment?

Powiem ci, kochanie, że z doświadczenia wiem, że nie ma odpowiednich momentów.

A każdy ma jakiś rozdział, którego nie chce czytać na głos, do którego nie chce wracać...

Kochanie, żyj!

Życzę ci, byś znalazła się w takim momencie życia, w którym nikt ci za bardzo nie może w kaszę nadmuchać. Bo przecież znasz swoją wartość, bo coś tam w życiu zrobiłaś. Masz parę udanych związków za

sobą, też parę związków, które skończyły się kompletną rozwałką systemu nerwowego. Wiesz już, że życie ogólnie nie jest złe.

Jest w nim kilka momentów, które zapierają dech w piersiach. Ale zdarzają się też rozpierduchy.

Tak w ogóle i w szczególe to powinniśmy się cieszyć z tego, że jest normalnie. Ale jak jest normalnie i nie ma piorunów ani sztormów, to nas ta normalność jakoś uwiera.

Wiem, że nie zawsze się szybuje w obłokach, a haj nie jest wskazany przez cały czas.

Wiem, że każdy jest na swój sposób jakoś skrzywiony i ma jakieś swoje nawyki i przyzwyczajenia, i takie tam różne.

Wiem też, że bezgłośny płacz boli najbardziej.

I wiem, że czasami trzeba sobie powiedzieć: nie pękaj.

Nie pękaj, Mała. Tam za drugim zakrętem będzie lepiej.

***

Prowadzę też folder ze swoimi przemyśleniami, którymi chętnie będę się z wami dzieliła. Oto jedno z nich:

Czasami wystarczy tylko usiąść i poobserwować świat.

W ciszy.

Nie na wszystko musimy reagować.

Na niektóre rzeczy potrzeba czasu…

Tylko czasu…

I nie, nie przestanie boleć.

I nie, nie będzie od razu kolorowo.

Będzie inaczej.

Czasami nie masz ochoty z nikim rozmawiać.

To twój sposób na przetrawienie pewnych spraw.

Czasami wyganiasz z serca potwory… Rozganiasz na cztery strony świata.

One tam siedziały i cię raniły.

Czasami bywa źle.

Czasami chcesz czuć się niewidzialna.

Innym razem z rozpaczą wołasz, by cię zauważono.

Walisz pięścią w poduszkę.

Zagryzasz wargę.

Czasami człowiek staje z szeroko otwartymi oczami, bo usłyszał coś, czego się nie spodziewał usłyszeć.

I ufasz komuś, bo myślisz, że to przyjaźń.

A tu nagle cios z tyłu i padasz na kolana.

Czasami idziesz do lekarza na badania kontrolne.

A słyszysz słowa, których miałaś nie usłyszeć.

Bo inni tak, ale nie ty.

Doświadczasz.

Masz siłę albo ją tracisz.

Padasz. By jakoś się potem wygramolić.

By powstać.

Bo coś ci pisane, a coś innego nie jest.

Bo pstrykanie na telefonie.

Bo szklane ekrany, klawiatury…

A chcesz, by ktoś za tę rękę stukającą potrzymał.

Bo „kurwa mać" i „ja cię przepraszam".

Ocierasz oczy rękawem.

Wydmuchujesz nos.

I masz w nosie (tym wydmuchanym), co ludzie powiedzą.

Bo niektórzy nic mądrego nie powiedzą.

Bo trzeba być dobrym, ale nie naiwnym.

Bo między słowami.

Między wierszami…

Bo ciepła… Bo otulających słów potrzebujesz ty, potrzebuję ja…

ROZDZIAŁ 1

Nie do wiary

Nie mogę uwierzyć, że jestem kobietą w średnim wieku. Widzę to na zdjęciach, ale nie na tych, które sama sobie robię. Bo na tych to ja świetnie wyglądam. Tylko na tych wszystkich fotach pstrykanych przez znajomych i rodzinę. Na tych drugich widać, że posunął mnie czas, jak to mówi mój starszy syn. A ja mu odpowiadam, że kobiety miewają podwójną metrykę. Tę prawdziwą, w dokumentach, i tę, którą noszą w sercach i duszy. A ja w swoim sercu czuję się na dwudziestoparolatkę. Nie będę ściemniała, że lubię swój wiek. To znaczy trochę go lubię, a czasami go nie lubię. Mam takie dni, kiedy patrzę na młode dziewczyny i myślę „chciałabym znów mieć dwadzieścia lat, ale z tym rozumem, który mam teraz". Daria, moja przyjaciółka, mówi mi wtedy, żebym nie świrowała i że nie jest tak źle. I ja wiem, że nie jest, ale czasem patrzę na te młode buźki i sobie myślę, że nie chcę moich zmarszczek i chcę balować całą noc i potem świetnie wyglądać. Przez te lata, które już za mną, trochę się nauczyłam. Czasami życie pogłaskało mnie po głowie, innym razem przeczołgało.

Różnica między mną sprzed dziesięciu lat a mną teraźniejszą polega na tym, że już tak się nie szarpię z życiem, nie spinam, nie wnoszę ciągłych poprawek. Pewne rzeczy zaakceptowałam, bo wiem, że ich nie zmienię. I już się tak bez sensu nie denerwuję, ochraniam swój system nerwowy. Walczę o swoje. Spotykam się z ludźmi, z którymi mi po drodze. Omijam szerokim łukiem malkontentów, pieniaczy i plotkarzy.

Skręciłam na drogę, która może i wyboista, ale prowadzi do celu. Uważam, że marzenia warto spełniać, nawet te, które wydają się

niemożliwe do spełnienia. Czasami warto iść za głosem serca, a nie kalkulować, co się opłaca, a co już nie. To też przyszło z wiekiem.

Jestem twardzielką, ale niekiedy życie i mnie powala na kolana. Czasami dłużej sobie poleżę, ale potem się podnoszę i idę dalej. Zaczynam od nowa. Gdyby nie życiowe doświadczenia, nie byłabym tu, gdzie teraz jestem.

Czy beczę? Oczywiście, że tak. Czasem porządnie się wybeczę, bo ktoś mnie zrani, coś zaboli, ktoś na odcisk nadepnie. Płaczę, kiedy mi źle, kiedy oglądam piękny film, czytam wzruszającą historię. Zdrowo jest się od czasu do czasu porządnie wybeczeć. Dziś to wiem, kiedyś uważałam, że płacz to oznaka słabości. Nieprawda.

Akceptuję siebie. Oczywiście mam takie dni, kiedy sama siebie wkurzam, kiedy złoszczę się na siebie, kiedy coś mi się nie podoba. Bo tu przybyło, tam ubyło, bo popełniłam jakieś głupstwo. Ale kto nie popełnia głupstw? I czasami patrzę na swoje odbicie w lustrze i mi się nie podoba, bo tu kilka zmarszczek, tu drugi podbródek, tu siwy włos.

Mam na imię Tatiana i uwielbiam swoje imię. Jest oryginalne i do mnie pasuje, chociaż ja nie jestem jakimś oryginałem. A chciałabym czasami zdobyć jakiś szczyt. Mowa o górskich szczytach. Albo nie wiem co. No po prostu zrobić coś niezwykłego w tym moim banalnym świecie.

Jestem kobietą, która ma dystans do siebie, poczucie humoru i dobrze się ze sobą czuje.

Ale… Nie zawsze bywa uśmiechnięta, nie zawsze jej się wszystko podoba.

Staram się żyć z pozytywnymi myślami i w ogóle chyba jednak jestem optymistką.

Ale…

Życie to nie jest bajka, o czym każdy z nas wie…

Czasami bywam smutna, zła, wkurzona, zdołowana. Nie mam tego swojego słodkopierdzącego głosiku, tylko wydrę się porządnie.

Zostawiam często pranie na noc na dworze, a było już prawie suchutkie, to znów wilgocią naszło.

Drę się, że syf w domu, a sama syfię.

Ostatnio na lodówce znalazłam taką kartkę:

Mama w lodówce simierdzi.

Lepiej w lodówce simierdzieć niż na przykład w pokoju.

Ciastko owsiane w przelocie złapane i okruchy się sypią.

Sprzątniesz, a bajzel sam jakoś się robi.

Bywam płacząca, sfrustrowana i wściekła.

Ale… To nie oznacza, że coś ze mną jest nie tak. (No dobra czasami mam różne odpały i może trochę jest nie tak, ale skoro mi z tym dobrze, to czemu nie?)

Jestem kobietą, która w siebie wierzy. W końcu!

I mam w nosie to, kiedy ktoś tę moją wiarę podkopuje.

Realizuję swoje marzenia. A jeśli mi coś nie wyjdzie, to staram się sobie przetłumaczyć: „tak musiało być".

Chociaż… Niekiedy beczę nad rozlanym mlekiem i chlipię: „no co, do jasnej cholerki, to nie tak miało być".

Ale… cieszę się, że niektóre sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej…

Bo… wiem już teraz z perspektywy czasu, że z tego nic dobrego by nie wyszło.

Wiem, że są w życiu rzeczy naprawdę ważne i takie, na które nie warto tracić czasu. A ja kiedyś traciłam czas na ludzi, którzy sprzedaliby mnie za kilka srebrników albo wygadali moje sekrety; na jakieś beznadziejne sprawy, które powinnam odpuścić.

Na szczęście to już za mną. Lubię mieć pewne sprawy za sobą, a tyle jeszcze przed sobą.

Lubię tę swoją dojrzałość, choć niektórych zmarszczek nie lubię. Ostatnio dostałam wysypu nowych i nie powiem, żebym na ich widok jakoś tryskała szczęściem!

I że akceptuję je. Bobym skłamała. Nauczyłam się z nimi żyć. Ot tak, po prostu.

Odchudzam się sukcesywnie, od każdego poniedziałku. A potem mi poniedziałków w kalendarzu brakuje.

A teraz idę wypić wiadro kawy, żeby się obudzić i zjeść dwa tosty z dżemem, coby przypadkiem na wadze nie stracić.

Nie znajdziecie u mnie wypasów, nie dostaję koszy kwiatów, nikt mi nie wysypuje codziennie rano płatków róż na pościel. Nie śpię w satynie, tylko w bawełnie.

Uwielbiam pomidorową, pierogi, placuchy ziemniaczane dobrze wysmażone.

Nie serfuję, nie potrafię jeździć na nartach.

Mam słodkopierdzący głosik.

Wypijam dziennie wiadro kawy, a nawet dwa.

Czytam Szymborską, Poświatowską i Kunderę.

Milan Kundera czaruje słowem: „Wystarczy tak mało, niedostrzegalny powiew wiatru, by sprawy lekko się przesunęły i to, za co jeszcze przed chwilą człowiek gotów był oddać życie, nagle ukazuje się jako pozbawiony treści bezsens".

***

Nie jestem matką roku i nigdy nie pretendowałam do tego tytułu.

Mam dwóch synów – dziewięciolatka i siedemnastolatka. Młodszy to Szymek, a starszy – Krystian.

Staram się, jak mogę, żeby być dobrą matką, ale bywa różnie.

Moi chłopcy zapewniają mnie o swojej miłości. Ale ja czasami mam sobie wiele do zarzucenia. Niekiedy staram się za bardzo, a czasami wydaje mi się, że za mało.

Ale nie da się, po prostu się nie da, by praca, dom, rodzina, projekty, zakupy, słowem wszystko zawsze było cacy. Coś tam zawsze będzie

kuleć, niedomagać, popiskiwać żałosnym głosikiem. Kocham naprawdę mocno, ale czasami zawodzę, jak każda z nas. Zawodzę też siebie, bo czasami o sobie zapominam. Ale dobrze, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę z tego zawodzenia. I innych, i siebie. I stara się coś z tym zrobić. Postanowiłam sobie, że przez kolejne miesiące zrobię dla siebie coś, o czym zawsze marzyłam. Na przykład zrobię sobie tatuaż. No właśnie, z tym tatuażem to dobry pomysł.

Jestem mężatką z osiemnastoletnim stażem małżeńskim. Mój mąż jest naprawdę fajnym facetem. Na imię ma Artur, mówię na niego Artek. Jest oazą spokoju, w przeciwieństwie do mnie. Ja czasami wydzieram się tak, że słychać u sąsiadów. I wtedy… zamykam okna, żeby sobie obciachu przed nimi nie narobić, bo jednak uważają nas za porządnych ludzi. Ale nawet porządni ludzie są czasem nieporządni. Jestem kobietą, która myśli sobie, że niczemu już się nie zdziwi, a jednak świat ją zadziwia. Nieustannie.

Kiedy motyle odfrunęły z mojego podbrzusza, przyszedł spokój, a z nim teksty typu „kupiłaś papier toaletowy?". W dobie pandemii papier do dupska ważna rzecz, ale żeby tak od razu na wejściu o niego pytać?

Oczywiście ja nie jestem dłużna memu ślubnemu. „Wziąłeś torby na zakupy?" To pierwsze pytanie, kiedy wsiadamy do samochodu. I oczywiście Artek za każdym razem zapomina o tych cholernych torbach na zakupy. Kolejny zarzut w pakiecie małżeńskim: „jesteś jak twój ojciec, nawet żarówki nie potrafisz wymienić" i kręcę z powątpiewaniem głową, a on znosi moje wywody bez zająknięcia. A ja chciałabym się z nim czasami tak ostro pokłócić. I czasami się kłócimy, ale częściej on milczy.

Bardzo kocham swoją rodzinę, ale zdarzają mi się chwile, że mam ich wszystkich po dziurki w nosie.

Obserwuję różne strony na fejsie. I na jednej z nich, ktoś napisał, że mam prawo do takich odczuć, a więc sobie na nie pozwalam i cieszę się,

że w tym całym shicie lukrowego wyobrażenia o rodzinie znajduje się ktoś, kto myśli podobnie do mnie.

Bo najgorzej czuć się osamotnioną.

I mam czasami wszystko w dupie, ale jakoś głupio tak na głos powiedzieć. Więc od czasu do czasu w duchu sobie tak mówię...

Kiedy wyglądam źle, z przetłuszczonymi włosami, z pryszczem na czole, z roztargnieniem w oczach, zawsze muszę kogoś spotkać: dawną miłość, obecną sąsiadkę, nauczyciela dziecka. I chcę jakoś przemknąć, ale zostaję zauważona.

„TO ty?" „TO pani?" I w głosie tyle niedowierzania. I mam ochotę odpowiedzieć „Nie, nie ja. Kosmitka".

A kiedy wyglądam jak milion dolców, to nikogo w promieniu kilku kilometrów.

***

Ale...

Może zacznijmy od początku.

Kiedyś mój świat miał zapach ciasta drożdżowego z jagodami.

Miał dotyk szorstkich dłoni mojej babci. Miał głos dziadziusia, który czytał mi książki.

***

Mój świat był pełen dziecięcych kolorów. Trochę też bolał, kiedy pozdzierałam do krwi kolana.

Wypełniał go zapach bzu, który zerwał tata, wracając z pracy.

Spoglądałam na niego przez różowe okulary, bujając się na huśtawce.

Kiedy mój świat zachorował, mama nacierała mnie specjalną maścią z kotkiem.

To była „kotkowa" maść, która pomagała na wszystko.

Potem świat zmienił trochę kontury. Trochę się wyostrzył, ale… wciąż cieszył.

Były pogaduchy z dziewczynami o chłopakach, pierwsze miłości.

I takie pocałunki, od których usta szczypały.

I złamane serce też było, bo miało być na zawsze, a było na trochę.

Bo w wieku siedemnastu lat tak po trochu się kosztowało tego życia.

Były wielkie koła w uszach i miniówki, i buty na koturnie, które wyglądały jak żelazka.

Były dyskoteki i piwo w altance, i paluszki słone. Była toplista piosenek z VIVY lub MTV.

I żubrówka z sokiem jabłkowym, od której wirował świat.

Wymykanie się przez okno do chłopaka, którego kochało się nad życie. Później to życie zweryfikowało rozwój znajomości.

Wszystko jest prostsze i bardziej smakuje, kiedy się ma naście lat czy nawet dwadzieścia parę. I człowiek żyje tysiącem złudzeń, i zdobywa swoje szczyty, i skacze na główkę. A potem przychodzi prawdziwe życie, twarde, bolesne, z kopniakiem w tyłek i między żebra.

Później świat pachniał olejkiem Bambino, mlekiem, zasypkami. I były zarwane noce, ale już z innych powodów. I trzeba było dorosnąć. Urodziłam Krystiana, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, tuż po obronie mojej pracy licencjackiej. Bałam się, gdyż uważałam, że jestem za młoda na dziecko. Jednak, o dziwo, byłam nad wiek dojrzała. Odnalazłam w sobie pasję do zabaw. I z zapałem obserwowałam pierwsze kroki mojego synka. Ekscytowałam się każdym jego ząbkiem, chociaż – nie powiem – klęłam na czym świat stoi, kiedy przechodziliśmy przez proces ząbkowania. Przy każdym zębie towarzyszyły mojemu synowi wysoka gorączka i biegunka. Ale przeszliśmy i przez to. Najważniejsze, że był zdrowym i uśmiechniętym dzieckiem. A kiedy usłyszałam pierwsze „mamo”, wzruszenie odebrało mi mowę.

I miłość na dobre i na złe, która czasem była powykrzywiana.

Dzisiaj mój świat ma zapach niepodjętych decyzji.

Dzisiaj mój świat jest bardziej poważny, ale gdzieś w nim ja taka niepoważna.

Dzisiaj mój świat czasami boli. Ale ma też chwile tylko dla mnie. Bo zrozumiałam, że nie warto tak gnać w poszukiwaniu szczęścia.

Dzisiaj mój świat już wie, co jest ważne, a co trzeba sobie włożyć głęboko w dupę.

Dzisiaj mój świat ma miłość i przyjaźń, na które człowiek może liczyć.

I jest z różowymi okularami, ale bez nich też jest.

Są trzeźwe osądy. Mrówcza praca i zapieprzanie pod górkę, żeby potem z górki było.

I jest zachwyt, i wiara, że będzie dobrze, że to czy tamto się uda.

Dziś mój świat wciąż zachwyca jak łąka pełna maków i chabrów. I ja cieszę się tak ogromnie, że potrafię tak się zachwycać.

Jest w nim tyle znaków zapytania, wykrzykników i kropek. Zielonych kropek.

Dzisiaj mogę powiedzieć, że różnie bywało, ale ważne, że jest… Wciąż jest…

***

Mam dosyć tej całej pandemicznej sytuacji… I czasami nerwy mi siadają. I mną tak jakoś dziwnie trzęsie. Potrzebuję wyjść do kawiarni, winiarni, piekarni, cukierni (tu to lepiej nie, bo znowu bym pochłonęła kilka ciastek, a ja na diecie jestem). Ale poszłabym gdziekolwiek.

Wygląda na to, że bywam frustratką, ale szczerze? Mam dosyć pracy online, nauczania zdalnego, marudzenia, nawoływań, kiedy mam telekonferencje.

Z nowości: na diecie wytrwałam trzy tygodnie. Schudłam 2 kilogramy i 850 dekagramów. To sukces. Ale dzisiaj zaczęłam się obżerać, bo

przecież jestem przed okresem. Walić wszystkie diety, wszystkie spodnie rurki i wygląd supermatki. Chcę jeść słodycze, burgery i wszystkie zakazane rzeczy.

Zjadłam. I przyszedł. Wyrzut sumienia… Niczym wrzód na tyłku. Zaczął trochę uwierać, przeszkadzać, boleć.

Po okresie zacznę ćwiczyć, biegać, smażyć sobie bananowe omlety na śniadanie.

Ale to po, teraz to mi się jakby nie opłaca.

Chodziłam ze skwaszoną miną i zadzwoniła Daria:

– Nawpieprzałam się jak mops i teraz mam wyrzut sumienia.

– Zapij drania.

– Czym?

– Wódką, winem, czymkolwiek.

– Kochana, jakbyś nie wiedziała, to takie działania dostarczą mi kalorii.

– W tym wypadku to już nie ma znaczenia.

Wybuchłyśmy śmiechem. No w końcu trzysta kalorii w tę czy w tamtą, kto by się przejmował.

***

Pracuję jako freelancerka. Piszę artykuły dla kilku stron internetowych, pomagam prowadzić kilka blogów i tłumaczę teksty. Nie jest źle, ale zawsze mogłoby być lepiej.

Przed czterdziestymi urodzinami postanowiłam sobie, że będę mniej narzekać i więcej zlewać, coby od razu nie wybuchać. I kilka rzeczy przed czterdziestką muszę jeszcze zrobić.

Naprawdę z tym robieniem rzeczy przed czterdziestką to było tak.

Zrobiłam sobie listę rzeczy:

• tatuaż,

• skok na bungee,

• jazda na motorze.

Gdy już skończy się ta cała pandemia, zrobię to wszystko, postanowiłam!

Spojrzałam w moje lustrzane odbicie, uśmiechnęłam się do siebie.

– No, Tatiana, możesz wszystko! – powiedziałam niczym nawiedzony kołcz.

– Wszystko? – za plecami usłyszałam głos Artka, który pojawił się w moim odbiciu lustrzanym.

– Prawie...

– Prawie jednak robi różnicę.

– Ty nie bądź taki mądry! Są mężczyźni, którzy chcieliby być na twoim miejscu – rzuciłam w jego stronę.

– I są tacy, którzy by nie chcieli – powiedział mój małżonek z uśmiechem...

Uszczypnęłam go w bok, on zaczął mnie łaskotać. Do pokoju wpadł nasz młodszy syn i rzucił się na nas.

ROZDZIAŁ 2

O pewnej przyjaźni na dobre i na złe i na przemarsz wojska

Założyłam konto na Instagramie, nie wiem po jaki gzyms. Miałam promować tam swój biznes, ale nie mam jakoś do tego zdrowia. Chciałam zamieszczać tam fragmenty swoich tekstów, ale jakoś mi nie szło. Nie mam duszy marketingowo-sprzedażowej. A w necie trzeba się dobrze sprzedać. Nie potrafię robić fajnych zdjęć, nie pijam kawy z różanych kubeczków. Na śniadanie jem owsiankę i banana, ale nie pięknie pokrojonego, po prostu normalnie go gryzę. Łyżka owsianki, gryz banana, a tego Instagram za bardzo nie lubi. Tam piękne miseczki z gładką owsianką i równo pokrojonymi owocami. Nie mam brzucha płaskiego, jak te wszystkie dziewczyny promujące różne rzeczy, ani tak bajecznie nie wyglądam rano po przebudzeniu, ba, ja wtedy w ogóle nie wyglądam… Jak te wszystkie kobiety z mediów społecznościowych.

Jak one to robią, że znajdują na to czas? By tak pięknie wyglądać i jeszcze pstryknąć sobie taaakie zdjęcia. W pościeli niewymiętej, z uśmiechem, w podskoku, w wyskoku. No jak?

Ja cierpię na niedoczas. Na wkurwa też czasami cierpię.

I mam wiele nieinstagramowych przemyśleń.

I zastanawia mnie, czemu nikt nie pisze, jak jest, no, może oprócz Kasi Nosowskiej.

I wydaje mi się, że świat chce z nas niekiedy zadrwić.

I farba mi skapuje ze łba, bo w tym miesiącu nie stać mnie na fryzjera. A że mam długie włosy, to choćbym się nie wiem jak starała, to

i tak coś upaprzę. A potem tego domyć nie mogę. Ani umywalki, ani skóry na czole. Trę ją gąbką, aż się zaczerwieni.

Jakby życie tak wyglądało jak na fejsie czy insta. Na szczęście nie ma tak.

Ogólnie rzecz biorąc, życie na Instagramie to ściema albo moje życie jest ściemą, innej możliwości nie ma. A summa summarum to miałam kilka ściem w swoim życiu i kilka wtop zaliczyłam. Jak ta, kiedy otworzyłam drzwi listonoszowi. Miałam rozpięty stanik, bo bolały mnie przed okresem piersi i chwilę przedtem go rozpięłam, ale nie zdjęłam. I chodziłam z tym rozpiętym stanikiem pod bluzką. Zapukał listonosz, wręczył mi paczkę, ja tę paczkę podnoszę do góry, a mój stanik wysuwa się spod bluzki i spada na podłogę. Oboje udawaliśmy, że tego nie zauważamy.

Ale wracając do moich postów, to wkleiłam dwa dzisiejszego poranka. Zrobiłam tłumaczenie, napisałam artykuł i zabrałam się do ćwiczeń.

Zaczęłam ćwiczyć miesiąc temu. Czterdziestka to już półmetek. Jeśli teraz nic ze sobą nie zrobię, to już tym bardziej za rok czy dwa. Nigdy nie byłam ani przesadnie chuda, ani gruba. Taka akurat. Tylko że teraz ta kobieta chciała mieć sprężyste ciało. Nie żadne akurat, ale sprężyste. Teraz mogłam podbijać świat.

Nie tylko przeszłam na dietę, ale też dorzuciłam gimnastykę. Ćwiczyłam od dwóch tygodni przed monitorem komputera i szło mi całkiem dobrze. Kryzys dopadał mnie dopiero po dwudziestu minutach wymachiwania nogami, rękami, przysiadów, podskoków do nieba. To znaczy tak mi się wydawało, że skaczę do nieba, bo moje ciało odrywało się od ziemi na jakieś kilka centymetrów. A tylko moja dusza miała takie fantazje, że szybowała w niebiańskich przestworzach. Zziajana, zapocona, odebrałam telefon. A miałam wytrwać całe trzydzieści pięć minut, choćby się waliło i paliło. Ale dzwoniła Daria, więc jakby się paliło.

– Seks uprawiałaś?

– Ćwiczę…

– Serio?

– Co w tym dziwnego? – udałam oburzenie.

– Bo ty nie lubisz ćwiczyć.

– Nie lubię, ale się zmieniam.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu niechybnie zbliżającej się czterdziestki.

– Świetnie wyglądasz.

– A co masz powiedzieć? Jesteś moją przyjaciółką.

– No w sumie tak. Lepiej skłamać, żeby się nie narazić. – Zaczęła się śmiać. – Ja zaczęłam pamiętnik pisać. – Słyszałam, jak wydmuchuje dym z papierosa. Już miałam powiedzieć, że jest dwunasty stycznia, a ona pierwszego rzuciła palenie, ale ugryzłam się w język.

– Bloga?

– Nie, pamiętnik.

– I co w nim opisujesz?

– Jeszcze nic. Nie mam za bardzo o czym pisać. Wiesz, mam takie zwyczajne życie.

Jak i ja – pomyślałam.

Obie wybuchłyśmy gromkim śmiechem.

– Wpadniesz wieczorem na kawę i ciacho?

– Po co ćwiczysz?

– Żeby nie na plusie, ale na zero wyszedł bilans.

– Wpadnę. To wezmę dwie butelki wina, jedna na łebka.

– Tak, co się tu rozdrabniać. Dokończę ćwiczyć i wyjdzie na zero.

***

Daria jest moją przyjaciółką od przeszło trzydziestu lat. Znamy się jak łyse konie, albo raczej kobyły. Poznałyśmy się na trzepaku. Ja robiłam

fikołki, a ona zapytała, czy umiem też na górnej rurze. Bałam się, ale chciałam jej zaimponować. Zrobiłam. Ale w półobrocie spanikowałam, puściłam się rękami i spadłam na żwir, który rozciął mi łokieć i kolano. To Daria holowała mnie do domu. I od tamtej pory zaczęłyśmy się spotykać. Różnie bywało, nie powiem, że cały czas było kolorowo. Przeżyłyśmy swoje burze z piorunami, zazdrość o inne osoby, które sukcesywnie pojawiały się w naszym życiu. Kilka razy za coś tam się na siebie obraziłyśmy, ale kiedy któraś zadzwoniła do tej drugiej i powiedziała „umieram", ta druga do niej jechała choćby z końca świata.

Daria jest fotografką i robi cudne zdjęcia. Zazwyczaj portrety. Nie są to portrety wymuskanych modelek.

– Ja te wszystkie piękne dziewczyny przepraszam – powiedziała mi któregoś dnia. – One są takie śliczne, ale ja poszukuję niezwykłości. Jakiejś zmarszczki, jakiegoś pieprzyka, szramy na policzku. Zadumy. Kilku przeżytych dni, które odbijają się w smutnych oczach.

I ją rozumiem. Bo też piszę o takich kobietach. Kobietach, które mnie zachwycają. Bo z czymś sobie poradziły, bo z inną sprawą się uporały. Bo odeszły od męża tyrana, bo są ze swoim mężczyzną już czterdzieści lat i nadal go kochają. Bo potrafią przebaczyć, bo ukochają, bo wylane łzy, bo odetną metkę od koszulki, żeby nie gryzła synka, bo zaplotą warkocz.

– Spójrz na to. – Daria pokazała mi swoje ostatnie zdjęcia. Na jednym z nich kobieta w garsonce, szpilkach. Na ręku trzymała dziecko, które płakało. A drugie przyczepione było do jej nogi, a ona z czułością je głaskała. Stali na przystanku.

Zastanawiałam się, co się kryje za tą scenką. Kobieta wstała o szóstej trzydzieści, ale czas gonił na łeb na szyję. Młodsze dziecko nakarmiła kaszką, której malec nie chciał jeść. Starsze było niewyspane i marudziło. Nie chciało pójść dzisiaj do przedszkola. Kobieta myślała o prezentacji, którą za dwie godziny miała pokazać ważnemu kontrahentowi. Pędziła na przystanek, obcas jej się zaczął chybotać na

boki. Autobus się spóźniał, mokre od potu ciało lepiło się do wilgotnej bluzki. Na szczęście miała marynarkę. Westchnęła ciężko.

– Piękne – skomplementowałam przyjaciółkę.

– A to? – Pokazała mi zdjęcie starszej kobiety siedzącej na chodniku i strugającej anioła. Dokoła niej ustawionych było mnóstwo figurek z drewna. A na każdej z nich cena. Dwadzieścia złotych. Jej dłonie były pomarszczone, spracowane.

– Ona rzeźbi, bo za pieniądze, które zarobi, chce kupić mężowi leki. Są razem sześćdziesiąt lat, kobieta ma osiemdziesiąt…

– Bohaterka dnia codziennego.

– Ponoć mąż mówi na nią superwomanka. I ta kobieta powiedziała mi, że bywało między nimi różnie, ale nawet na chwilę nie przestali się kochać. Nawet kiedy były grzmoty i trzaśnięcia drzwiami. Jakieś chwilowe zauroczenia. Oddalenia i zbliżenia. Mimo śmierci bliskich, w tym jedynego dziecka. Przetrwali.

Zanim Daria została panią fotograf i robiła to, co lubi, była panią dyrektor w banku. Zarabiała świetne pieniądze i w ogóle wszystko było niby na miejscu. Do czasu. Któregoś dnia o godzinie jedenastej przyjaciółka przybiegła do mnie ubrana w dres.

– Co się stało? – zapytałam zdziwiona.

– Rzuciłam pracę. Mam pączki, ty zrobisz kawę.

– No wejdź. – Otworzyłam przed nią drzwi. – Nie mogę w to uwierzyć. – Byłam zdziwiona, lekko zdenerwowana.

– A ja mogę. – Daria położyła torbę z pączkami na stole w kuchni, po czym poszła umyć ręce. – Czasami trzeba iść za głosem serca. Zmagałam się z tą decyzją już dwa lata, bo się bałam, że stracę niezależność finansową. Martwiłam się o emeryturę. Dasz wiarę? – Zaczęła się śmiać. – Grubo przed czterdziestką lat martwiłam się o emeryturę.

– No w sumie to z jednej strony głupie, ale z drugiej rozsądne. I co teraz zamierzasz? – Nalałam do kubków kawy z dzbanka. Na talerzyk

wyjęłam pączki.

– Zamierzam zająć się fotografią. Kocham to robić.

– Nie boisz się?

– Boję jak jasna cholera. Kiedy wręczałam wczoraj wymówienie, czułam ekscytację. Kiedy się dzisiaj obudziłam, poczułam lęk. Poleżałam sobie chwilę i pomyślałam, że już nie ma odwrotu.

Ugryzłam pączek.

– No powiem ci, że głupio by wyglądało, gdybyś wróciła dzisiaj i powiedziała, że się rozmyśliłaś.

– No głupio. Dlatego wolę sobie zjeść pączka.

To było trzy lata temu. Od tego momentu Daria rozwinęła skrzydła.

– Wiesz… – powiedziała mi któregoś dnia. – Czuję, że lecę. I jest mi dobrze. Ale boję się, żeby nie skończyć jak Ikar.

– Oj, każdy z nas może tak skończyć.

***

Otworzyłam laptop i zaczęłam pisać:

Dzisiaj mija nam trzydzieści sześć lat, odkąd się znamy. Szmat czasu.

Lubię takie długoterminowe związki. W przyjaźni, miłości… Bo wiem, że nawet jeśli się pokłócimy, to i tak kiedy nam będzie źle, możemy do siebie wrócić.

Bo na pogodę i niepogodę.

Na mocną kawę i dobre wino.

Bo wycierałaś moje łzy. Bo dzieliłaś się dobrym słowem.

Bo czas.

Bo uśmiech.

Bo twoja dłoń z moją dłonią.

A kiedy miałam bardzo zły czas… bardzo… to wtedy Ty, każdego poranka, każdego… wyciągałaś mnie z otchłani mojego cierpienia.

A tego się nie zapomina… Nigdy.

Bo te tańce.

Bo nogi za pas i w las.

I świat trochę się czasem popieprzył, a Ty mi go naprostowywałaś.

A jak Tobie coś szło nie tak, to ja krzyczałam, bo wiesz, jaka jestem, że ja to bym tych złośliwców, no wiesz co…

I mówiłam Ci, nie możesz być tak dobra dla ludzi, którzy Cię krzywdzą.

I Ty mówiłaś „odpuść".

I ja od Ciebie trochę biorę, a Ty ode mnie.

Bo… dodajesz otuchy, bo mówisz „damy radę". Nawet jeśli to mój problem, Ty ze mną stajesz ramię w ramię, by go pokonać.

I ja z Tobą. Zawsze!

Bo wspólne radości.

Bo uwalamy się razem na trawie i patrzymy w niebo. Po prostu patrzymy i nic nas więcej wtedy nie obchodzi oprócz tego nieba.

I ja dla Ciebie, Ty dla mnie tego nieba uchylamy.

Jeździmy na zakupy na rowerach, a potem wracamy z siatami, chybocząc się na prawo i lewo.

Na szczęście podobają nam się inni faceci, bo ja to z tych zazdrosnych jestem.

Bo uśmiechamy się pod nosem na niektóre sprawy, wydarzenia.

A każdy atak w naszą stronę, jeszcze bardziej umacnia naszą przyjaźń.

Razem, wbrew całemu światu.

I nasza piosenka, ostatnio ulubiona. Dla Ciebie:

Wczoraj oglądałem „Między Słowami"

Dziś sam się między tymi słowami znalazłem

Nic nie rozumiem, choć wszystko jest jasne

I szukam Cię w tłumie i czuję jak gasnę

Ludzie jak duchy latają nad miastem

Świat jest zatruty więc chodzę w tej masce...[1]

ROZDZIAŁ 3

W oparach absurdu, czyli wkurw na lockdown

Dobija mnie już ten lockdown. Chociaż nastąpiły pewne poluzowania, to jednak wciąż trwają zdalne nauczanie i praca z domu. Na szczęście od przyszłego tygodnia rząd zdejmuje obostrzenia. I… Chcę do kawiarni, do kina, teatru, chcę, by moi domownicy wychodzili z domu… Bo teraz atmosfera jest napięta, wręcz wkurwiająca.

Wyróżniłabym kilka rodzajów wkurwu. Wkurw na życie, wkurw na ból egzystencji i ten najgorszy z możliwych – wkurw na lockdown.

Podczas lockdownu potrafi wkurwić wszystko. Ale już tylko godziny dzielą nas od wolności.

Bo jesteś właśnie na linii z klientem, a tu dziecko cię woła, że nie rozumie zadania albo że go z systemu wyrzuciło. A twój starszy syn, zamiast się uczyć, ogląda filmy dla dorosłych. A mąż łazi po twoim biurze, które ulokowałaś w kuchni, bo jego jest w salonie. I szeleści papierkami i kawę sobie nalewa, a ty czujesz, jak ciśnienie ci skacze.

Moje biuro znajduje się w kuchni pośród oparów, żeby nie rzec: oparów absurdu. Nie wybrałam go sobie sama, życie mnie do tego zmusiło. Dzieciaki w swoich pokojach mają lekcje online, mąż w salonie pracuje. Salon to zbyt szumnie powiedziane, ale tak nazywamy nasz największy pokój. Rozłożył sobie deskę do prasowania i na niej położył swoje projekty, a mi została kuchnia. Moje biuro. Mój *office*. Siedzę sobie przy stoliku, który co rusz chybocze się na boki. Włożyłam już pod jedną nogę kawałek papieru, ale dalej się kołysze. A ja twardo przy nim siedzę,

ze swoim laptopem między zgrzewką wody a miską, w której rośnie ciasto drożdżowe.

Za mną stoi kuchenka.

W jednym garnku gotują się ziemniaki, a w drugim brokuł. Para bucha niczym z lokomotywy z wiersza Tuwima. Ja się pocę, ale słyszałam, że parówki są dobre na skórę. Więc może zamiast zabiegów medycyny estetycznej będę miała darmowe parówki. Nie narzekam. Stukam w klawiaturę.

Wykonałam jedno zlecenie. Przetłumaczyłam tekst. Drugiego tekstu niestety nie zaczęłam, bo do kuchni wpadł Szymek.

***

Kończyłam jedną prezentację i do kuchni wszedł Ginger, nasz kot, który słodko pomrukiwał. Położył się koło moich nóg, zrobiło mi się ciepło i w nogi, i w sercu.

Zjawił się mój młodszy syn.

– Potrzebuję czegoś słodkiego.

– Za godzinę obiad.

– Obiad nie jest słodki. Potrzebuję na teraz, bo mnie zadanie z matmy wku… – spojrzał na mnie – wkurzyło.

– Weź batonika.

– Mamo, Max jest obrzydliwy. – Zerknął na naszego psa. – Nie radzę ci go dotykać.

– Dlaczego?

– Bo widziałem, jak wczoraj jadł kupę innego psa.

– Szymon, przestań mówić takie rzeczy.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął mój starszy syn. Miałam ochotę go zapytać, czy skończył sesję z pornosami, ale on mnie ubiegł.

– Max naprawdę jadł kupę.

– Nie chcę tego słuchać – powiedziałam.

– Bo ciebie, mamo, prawda boli – stwierdził mój starszy syn. A ja poczułam ukłucie w sercu.

Trzasnęły drzwi lodówki. To Szymon, który wyjął z niej sok.

– Wychodzę – oznajmił Krystek.

– Dokąd? Jest lockdown.

– Pobiegać – powiedział, uśmiechając się szyderczo.

– Przecież ty nie biegasz.

– Zacząłem.

Zadzwonił telefon.

– Idźcie mi stąd, muszę pracować – rzuciłam przez ramię. Jednak dwie pary oczu były we mnie wpatrzone, kiedy przesłodkim głosikiem zwróciłam się do telefonu: – Tatiana, dzień dobry. Tak, tak. O, to miło z pana strony.

Moi chłopcy patrzyli na mnie jak na kosmitkę. W dodatku nawiedzoną, bo przecież na co dzień potrafię być matką zołzą.

Kiedy skończyłam, Szymek odezwał się ponownie:

– Zjadłbym coś.

Jezuuu! – jęknęłam w duchu. Kiedy oni są w domu, zjedliby wszystko. Nie wiem, jak to jest, ale pochłaniają niewyobrażalną ilość jedzenia.

– Weź sobie bułkę i mi nie przeszkadzaj. Obiad za jakieś pół godziny. Ziemniaki już wstawiłam.

– Mamo, ale ja jestem teraz głodny.

– Zjedz bułkę – powtórzyłam.

– Zjadłbym coś konkretnego.

Otworzył lodówkę, a mnie w środku skręcało.

– Jest trzynasta – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

– No właśnie, pora obiadowa.

Miałam ochotę wrzeszczeć, że normalnie o tej porze dnia siedzi w szkole i nie żre obiadu, ale się powstrzymałam i najspokojniej w świecie poradziłam:

– Weź kawałek kiełbachy, bułkę i na razie wystarczy.

– I po co te nerwy – powiedział jak gdyby nigdy nic. Wyjął pęto kiełbasy, keczup, musztardę i pomidora. Trzasnął drzwiami lodówki.

Ja pieprzę! – zawołałam w duchu.

– Już? – zapytałam zniecierpliwiona. Bo za godzinę miałam mieć telekonferencję i musiałam w tym czasie dokończyć drugi tekst i zrobić ten cholerny obiad.

– No, spokojnie, jeszcze talerzyk wezmę. – I teraz zaczęło się otwieranie po kolei wszystkich szafek. I trzaskanie drzwiczkami.

– To za pół godziny ten obiad? – dopytywał Krystek.

Nie, kurde! Nie!

– Miałeś iść biegać – rzuciłam kąśliwie.

– Poczekam.

– Weź sobie bułę – podpowiedział Szymek, który znalazł talerzyk, trzasnął drzwiczkami szafki i wpakował sobie do buzi kawałek bułki.

– Jezuuu! – nie wytrzymałam. – Będziecie mi tak tu łazić?

– Jest trzynasta – oznajmił mój starszy syn.

– No i?

– No zjadłoby się coś.

– Ja tu pracuję, wy macie szkołę, a łazicie mi po kuchni.

– Obiad jest? – Głowa mojego męża wyłoniła się zza drzwi.

– Nie ma! Nie ma!

– Mama coś nerwowa – zauważył młodszy syn, przepychając się między bratem a ojcem z bułą i pętem kiełbasy na talerzu.

– Masz napięcie?

– Nie, kurde, chcę pracować – wyjaśniłam.

– Okres jej się zbliża jak nic.

– Za cholerne pół godziny będzie obiad, ja muszę pracować, wypad mi stąd.

***

Chciałam wynagrodzić chłopakom wybuch moich nerwów. Zawsze jest tak, że najpierw się wkurzam, a potem mi głupio. Bo przecież to nie ich wina, że są głodni. Tylko ich żołądków. Rozepchanych w czasie lockdownów.

Postanawiam do ziemniaków i mięska zrobić sos pomidorowo-paprykowy. Wyszedł mi jakiś taki kwaśny. W przepisie jest napisane „aby przełamać kwaskowaty smak, dodaj trochę cukru". Łamię kwaśny smak. Biorę łyżkę, kosztuję i... *Fuck*! Za słodki. Dodaję soli. Nie za dobry. Może trochę śmietany, by załagodzić ten smak? Kurwa, co to wyszło! Jakaś mamałyga, w dodatku śmietana się zważyła. Będzie bez sosu.

ROZDZIAŁ 4

O wyskoku i skoku

Zdjęli obostrzenia, a mąż wykupił mi skok na bungee. A ja z radości aż sobie podskoczyłam i od razu usłyszałam od syna, żebym tak nie skakała, bo podłoga może się zawalić.

W końcu. Odżyję i coś przeżyję – pomyślałam. Będę skakać, wytatuuję się i zrobię jeszcze kilka szalonych rzeczy. To mój czas. Mój.

– Ile pani waży? – zapytał młodzieniec, kiedy stałam w kolejce do skoku. I to nie tak jakoś cichutko zapytał, ale na głos powiedział.

– A jakie to ma znaczenie? – zapytałam słabiutkim głosikiem.

– Bo musimy dobrać uprząż.

W głowie mi zaświtało, żeby skłamać, bo od kiedy przybyło mi kilka, ba, kilkanaście kilogramów, to nie lubię podawać mojej prawdziwej wagi. Jeśli skłamię, to lina może pęknąć, bo nie wytrzyma takiego ciężaru, a wtedy zginę. Przed czterdziestką. Co zrobić? Prawda/fałsz.

– Jeśli pani nie pamięta, mamy tutaj wagę.

Cztery pary oczu, dodam: męskich oczu chłopaków przed trzydziestką, spojrzały na mnie wymownie.

– Bardzo dokładną wagę.

– Nie, to ja już podam.

– Słucham.

– Siedemdziesiątpięć – powiedziałam na wdechu, łącząc ze sobą dwa wyrazy.

– Słucham?

– Siedemdziesiąt pięć. – Chciałam jeszcze coś dorzucić, że mam grube kości i coś w tym stylu, żeby trochę siebie usprawiedliwić.

– To musimy wziąć tę inną uprząż – powiedział młody chłopak o promiennym uśmiechu. – Waaaldek – krzyknął do faceta z wąsem. – Dla pani tę drugą uprząż.

Wydawało mi się, że inne osoby, które były ustawione do skoku, spojrzały na mnie. Za mną stały dwie dwudziestolatki, o filigranowej figurze. Ważyły zapewne o dwadzieścia kilogramów mniej. No nic, kiedyś też byłam taka jak one i też miałam dwadzieścia lat, chociaż na pewno moim synom trudno w to uwierzyć.

Nie wykonałam skoku. Spanikowałam. Wyobraziłam sobie, że lina mnie nie utrzymuje, pęka, a ja roztrzaskuję się o skały.

– To po co było tyle zachodu? – zapytał Artek. – Jechaliśmy tu na darmo.

– Chciałam przeżyć coś szalonego.

– I przeżyłaś. – Zaczął się śmiać.

– Chcę żyć – burknęłam pod nosem.

– Od kilku tygodni trujesz mi, jakie to masz przewidywalne życie, a kiedy spełniam twoje marzenie, wykupując ci skok na bungee, ty pękasz.

– Nie pękam, ale nie chcę zginąć. Zrobię coś innego, ale dzięki, że próbowałeś. – Serio Artek zaskoczył mnie tym, że wykupił mi karnet na skok.

***

Trzy dni później zagadałam do syna.

– To pokażesz mi to studio tatuażu? – zapytałam Krystiana z nadzieją w głosie.

– Serio chcesz sobie zrobić dziarę?

– Tak. A co w tym dziwnego?

– Nic. W sumie starsze od ciebie osoby się dziarają, tylko jakoś ty mi nie podchodzisz pod profil osoby, do której to pasuje.

– A jaki jest profil takiej osoby?

– Hmmm… – Krystek zaczął się na głos zastanawiać. – Inny niż twój. No wiesz, po prostu ty jesteś taka…

– Jaka?

– Nie wiem… – Potarł dłonią policzek. – Jak mamuśka, taka prawdziwa mama…

What the fuck? – zaklęłam w duchu. Jak to „prawdziwa mama"? To znaczy cieszę się, że jestem jak mama. Ale oprócz tego, że jestem mamą, chciałabym być też kimś innym. Kobietą. Kobietą z tatuażem? Sama się z siebie zaśmiałam.

– Ciocia Daria to co innego.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Daria faktycznie była inna niż ja. Mimo że byłyśmy w tym samym wieku, ona była po prostu *cool*. Nosiła krótkie spódniczki, bo nogi miała rewelacyjne. I miała już chyba z pięć dziar, które zrobiła sobie nie w wieku czterdziestu lat, ale kiedy była młoda. No właśnie, to był czas na takie ekstrawagancje, a nie teraz. Chociaż moja przyjaciółka powtarza mi, żebym skończyła gadać takie głupoty i że są ludzie, którzy się dziarają w wieku osiemdziesięciu lat, jak jej dziadek, który zrobił sobie portret prawnuka na osiemdziesiąte urodziny.

Daria była taka, jaka była, a ja, Tatiana, od dwudziestu lat nosiłam się z zamiarem wytatuowania sobie na łopatce sentencji: *Nie widzimy rzeczy takimi, jakimi są. Widzimy je takimi, jakimi my jesteśmy*.

– Coś w tym jest – powiedział młody chłopak, który dziarał mi plecy. Miał delikatne, duże dłonie. Nie pytałam go, czy będzie bolało, bo nie bałam się bólu.

– W tym cytacie?

– Tak – powiedział.

– Bo to prawda. Wszystko, co odczuwamy, jest subiektywne. Jakieś wydarzenie może być dla nas tragedią, innym razem być dla nas obojętne. Podobnie dla postronnych ludzi. Mogą starać się zrozumieć nasz ból czy cieszyć się z nami z naszego szczęścia, ale nigdy nie przeżyją tych samych odczuć co my. Każdy odbiera życie inaczej w danej chwili.

– Dlaczego teraz? Ta dziara – zapytał, włączając maszynkę.

– A dlaczego nie?

– Dla mnie każdy moment jest dobry, ale ludzie dziarają się najczęściej pod wpływem jakichś przeżyć.

– Przeżywam moją czterdziestkę. – Roześmiałam się tak, by się nie poruszyć.

– W życiu nie powiedziałbym, że jesteś w tym wieku.

– Schlebiasz tak każdej kobiecie?

Poczułam jego ciepły oddech na mojej skórze. Śmiał się.

– Nie każdej.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Czyżbym potrafiła jeszcze flirtować?

***

– Synu, co myślisz o moim tatuażu? – zapytałam, kiedy chłopcy wrócili do domu, a ja zdjęłam już opatrunek.

– Nie za stara na to jesteś? – dociekał junior.

– Mama miała zryw… – chrząknął starszy, pożerając upieczone o czwartej rano bułki.

***

Bo ja… czasami mam zrywy i ja te bułki piekę. Podobnie jak mam zryw na sprzątanie i w tedy ogarniam chatę. Tych zrywów wcale nie jest tak dużo. Mam takie, a nie inne podejście do życia i jest mi z tym dobrze.

– No nie wiem sam. – Szymek miał skwaszoną minę. – Jakoś mi do ciebie nie pasuje.

– Ważne, że mi pasuje. – Było mi trochę przykro, że synowie nie podzielają mojego entuzjazmu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że chcesz zrobić sobie tatuaż? – zapytał mnie Artur.

– Bo to była spontaniczna decyzja i to moje ciało.

– Ale mogłaś mi powiedzieć.

– Mogłam, ale tego nie zrobiłam.

– Odbiło ci.

– Możliwe. Nie skoczyłam na bungee, ale tatuaż sobie zrobiłam.

Nie odzywał się do mnie przez cały wieczór. Skoro on postanowił milczeć i przeżywać swój żal, ja postanowiłam trochę popisać.

Popełniłam taki tekst:

Bo trzeba żyć. Jakby jutra miało nie być.

Czuć się dobrze z ludźmi, z którymi się przebywa.

Bez zbędnych rozkmin, bez spinania pośladków.

Bez wciągania brzucha.

Z wdechem i wydechem.

By na nowo odnaleźć swoją duszę.

Bo za każdym zakrętem jakiś inny widok.

I na wozie, i pod wozem.

I jazda bez trzymanki.

I głośny śmiech. I marszczenie nosa.

I nie dać sobie podciąć skrzydeł.

I zdać sobie sprawę, że „no stało się…" i nic nie zrobisz.

A czasami trzeba zrobić wszystko, by się ratować.

***

Położyłam się do łóżka i pomyślałam sobie, że nikt nie może kierować naszym życiem: ani rodzice, ani mąż, ani dzieci. Może coś im się nie podobać. Mogą wypowiedzieć swoją opinię na głos, ale to nasze życie i mamy je przeżyć w zgodzie ze sobą. Byle nikogo przy tym nie krzywdzić. Moja mama do tej pory nie może pogodzić się z tym, że nie mam pracy na etacie, bo powinnam myśleć o emeryturze. I gdybym pracowała na poczcie albo w sklepie, albo w jakiejś korporacji, tobym miała zapewnioną emeryturę i stałą pensję co miesiąc. To nic, że z poczty mogliby mnie wywalić, bo za wolno stemplowałabym znaczki, ale praca na etacie dla pokolenia naszych rodziców to jest to. A nie jest. Trzeba czasami iść za głosem serca. I nie pomogły moje wyjaśnienia, że nie czuję pracy na poczcie, ani tym bardziej w sklepie, i jest mi dobrze tak, jak jest. Mama tego nie rozumie. Bo ona to czuje. Najważniejsze, że już się o to nie kłócimy. Zaakceptowała to, bo nic innego jej nie zostało. Z czasem i chłopaki zaakceptują moją dziarę. Bo jestem mamą, żoną, ale też Tatianą, która postanowiła w średnim wieku się wydziarać. I gdybym mogła coś powiedzieć młodym ludziom wchodzącym w dorosłość, wykrzyczałabym im: podążajcie swoją drogą i nie słuchajcie rodziców. Parsknęłam śmiechem. Artur przekręcił się na łóżku, a ja pocałowałam go w ramię. Mruknął coś pod nosem.

– Śpij, śpij – powiedziałam i sama usnęłam.

ROZDZIAŁ 5

O pewnej wizycie, która miała zmienić moje życie. Mnie miała zmienić

Poszłam za ciosem niezaliczonego skoku i wydziaranej łopatki i udałam się do gabinetu medycyny estetycznej, którego siedziba mieści się w pięknej starej kamienicy. Usiadłam na krześle w poczekalni z dużymi oknami, od podłogi do sufitu, w białych framugach. Założyłam nogę na nogę i uśmiechałam się nerwowo. To miał być uśmiech naturalny, ale wyglądałam tak, jakbym miała paraliż górnej wargi. Kiedyś myślałam, by zrobić sobie usta, ale za bardzo boję się bólu. Potem zdałam sobie sprawę, że są ważniejsze rzeczy niż usta. Ale w końcu moje zmarszczki tak się pogłębiły, że postanowiłam coś z nimi zrobić. Nie oczekiwałam cudów. Chciałam tylko, żeby były płytsze. Przyszłam na zabieg zwany mezoterapią. W poczekalni oprócz mnie siedziały dwie inne kobiety. Wyglądały mi na kobiety sukcesu. Firmowe ciuchy, piękne makijaże, najnowsze modele telefonów. A obok nich ja. W zwiewnej, kwiatowej sukience, a na kolanach trzymałam torbę, lnianą, w której znajduje się wszystko, o czym człowiek może zamarzyć. Od cukierków, poprzez tampony, kończąc na skarpetkach na zmianę. Trochę się spociłam, brałam prysznic przed wyjściem, ale to chyba ze stresu. Blondynka po przeciwnej stronie poczekalni uśmiechnęła się do mnie sztucznie. Odwzajemniłam sztuczny uśmiech. Zastanawiałam się, co tak piękna kobieta będzie sobie upiększać. Z zamyślenia wyrwał mnie głos recepcjonistki o porcelanowej twarzy.

– Pani Tatiana?

Wstałam niczym rażona prądem, zaciskając dłonie na mojej przepastnej torbie.

– To ja – odpowiedziałam, niczym uczniak wywołany do odpowiedzi.

– Pani doktor czeka na panią – powiedziała spokojnym i kojącym głosem recepcjonistka, otwierając przede mną drzwi gabinetu. Weszłam do środka.

Pani doktor poprosiła mnie, żebym się położyła na leżance. Odłożyłam na krzesło torbę i ułożyłam się wygodnie.

Kobieta zrobiła ze mną wywiad na temat tego, czy biorę jakieś leki albo czy jestem na coś uczulona. Kiedy na wszystkie pytania odpowiedziałam przecząco, przejechała mi twarz wacikiem ze środkiem znieczulającym. I powiedziała, żebym chwilę odczekała.

– Dlaczego? – zapytałam spanikowana.

– Znieczulenie musi zadziałać – odpowiedziała słodko. Gdybym wiedziała, co się szykuje, zwiałabym stamtąd, ale ja wciąż byłam nieświadoma tortur, jakie mnie czekają.

– Przepraszam, a po co mam mieć znieczulenie? – zapytałam zdziwiona. Żałowałam, że nie przeczytałam w domu, na czym polega cały ten magiczny zabieg mezoterapii, który miał przywrócić blask i jędrność mojej poszarzałej skórze. I najważniejsze: miał mnie odmłodzić. Myślałam, że przyjechałam na jakiś zabieg, który podobny będzie do masażu.

– Bo to zabieg igłowy – uśmiechnęła się pani doktor, która najwyraźniej miała mnie dosyć.

Kilkanaście minut później, kiedy rzekome znieczulenie nie zadziałało, darłam się na całe gardło, że boli i że już nie chcę.

– Spokojnie – bagatelizowała pani doktor, która wbijała cienką igłę w moją skórę tuż pod oczami.

– To jest gorsze od bólu porodowego – syczałam. Bolało, i to bardzo.

– Jeszcze chwileczkę – uspokajała mnie i dalej ze sprawnością kata nakłuwała skórę wokół oczu. Wstrzykiwała mi jakąś bombę

witaminową. Skóra wokół oczu jest bardzo wrażliwa, a ona tam igiełką mi ją nakłuwała i ciach, i ciach. A bolało jak jasna cholera, albo nawet dwie cholery.

Wiem, kurwa, wiem – klęłam w myślach na wrażliwą skórę, na zły los i na panią doktor, która z taką precyzją mi tę igiełkę wbijała. A najbardziej na świecie przeklinałam własną głupotę.

Ja cię pieprzę. Boliiiii – jęczałam w duchu.

– Może przerwiemy?

– Już kończymy… – Uśmiechała się tak słodko, jakby nakłuwanie mojej skóry było największą przyjemnością w jej życiu.

„Już kończymy" trwało jeszcze dziesięć minut. A ja myślałam, że zejdę z bólu. Nigdy więcej. Nie dość, że wywaliłam kupę kasy, to jeszcze wybrałam sobie taki bolesny zabieg.

– Zabieg trzeba powtórzyć za jakieś trzy tygodnie – powiedziała, kiedy nakłuła po raz ostatni skórę.

No, *kurwa,* way. *Moja stopa tutaj już więcej nie postanie* – zapewniałam siebie.

– Pomyślę nad tym.

– Droga pani, nie ma co myśleć, proszę się zarejestrować na kolejną wizytę. Polecam. Proponuję też wyciąć nadmiar skóry z powiek.

Już ja się zarejestruję! Czułam, jak skóra wokół oczu, którą miałam rzekomo wyciąć, zaczyna mi się napinać. Powieki mi spuchły. W ogóle słabo się czułam.

– Dziękuję. – Wykonałam dziwne tiki, jakbym się co najmniej królowej kłaniała i rakiem wyszłam do poczekalni.

– Wygląda pani naprawdę dobrze – powiedziała recepcjonistka. Jakoś jej nie wierzyłam. – Kilka dni i wszystko się zagoi. I będzie pani ślicznie wyglądała.

Odnalazłam drogę do łazienki, stanęłam przed lustrem i nie mogłam wyjść z podziwu, jak fatalnie wyglądałam. Powieki miałam tak

zapuchnięte, jakbym stoczyła walkę na ringu, i dwa popękane sinofioletowe naczynka u nasady nosa. Bogini piękności, odmłodzona.

Jak ona śmiała powiedzieć mi, że dobrze wyglądam! Wyglądam tragicznie.

Weszłam do recepcji, uśmiechnęłam się niepewnie, po czym czmychnęłam w kierunku drzwi, rzucając przez ramię:

– Do widzenia.

Chwyciłam za klamkę, ale pani recepcjonistka odezwała się tubalnym głosem:

– Na kiedy zapisać następny zabieg?

– Ja już podziękuję – odpowiedziałam jakoś dziwnie wysokim głosem.

– Hmmm.... – westchnęła piękna blondynka. – W takim razie ten zabieg nie ma sensu.

Jak to, do jasnej ciasnej Anielki, nie ma sensu? Tyle cierpienia i bólu, a blondyna mówi mi, że nie ma sensu?

– Ale dlaczego? – zapytałam idiotycznie.

– Dopiero seria trzech czy czterech zabiegów powoduje, że skóra się ujędrnia.

– No cóż... – wycofałam się. Przed kolejnym odmładzającym zabiegiem poczytam o nim.

Po drodze do domu kupiłam maść, która miała złagodzić opuchliznę. W łazience nałożyłam na powieki grubą jej warstwę.

– Mamo, co ci się stało? – zapytał Szymek, otwierając szeroko oczy. Delikatnie mówiąc, wyglądałam nie najlepiej.

– Mama była na zabiegu upiększającym. – Artek nie krył rozbawienia, a mi wcale do śmiechu nie było.

– Wcale a wcale nie wyglądasz ładnie. – Szymek kręcił głową. – Wręcz cię zbrzydzili.

– I po co kobiety to sobie robią? – zapytał mój starszy syn, gryząc banana i z powątpiewaniem kręcąc głową.

– Żeby ładniej wyglądać. Za kilka dni opuchlizna zejdzie i wtedy zobaczycie nową mnie.

– Nie wątpię – Mój mąż puścił oko do chłopaków.

***

Tydzień później smarowałam się nadal jakimiś maściami, a opuchlizna jak była, tak była.

– Przynajmniej zmarszczek nie widać – stwierdziła Daria, wgapiając się w moją twarz.

– Już chyba wolę zmarszczki.

– Zniknie ci – przyglądała się mojej buzi – i zobaczysz, że pójdziesz na następny zabieg.

– Na pewno pójdę. Już wolę wyglądać jak stara baba.

***

Mieszkam na osiedlu nimf wodnych, matek obgadywaczek, wszystkowiedzących, matek perfekcyjnych, u których w domach ład i porządek, i ciasto się nie przypala. Matek, które ze swoich córek chcą zrobić na siłę księżniczki. Dziewczynki chodzą w sukienusiach z tiulu, koronek, w kokardach i najważniejsze: nie mogą się pobrudzić, bo mamusia krzyczy na całe gardło „nie pobrudź się". Nic mnie tak nie irytuje jak te słowa mamuś o niebrudzeniu się. Dzieciństwo jest po to, by utaplać się w błocie. Dżizus, ja tutaj nie pasuję. Ja ze swoimi dresami, odpryśniętym lakierem na paznokciu. Ja, która nie znam się na modzie, i nawet nie chcę wiedzieć, co jest w tym sezonie modne. Jakiś koleś albo kolesiówa wymyślają sobie, że w tym sezonie modny jest sraczkowaty pomarańcz i co? Ja mam w tym pomarańczu w kolorze kupki niemowlaczka popylać? Kiedy nie chcę. I na szczęście nie mam jeszcze tak nasrane w głowie, żeby się na siłę dopasowywać.

Matki obgadywaczki dopowiedzą do każdego zdania mnóstwo innych zdań, które zmienią się w burzliwą historię. Bo tylko w burzliwych historiach jest potencjał. Kiedy jakaś inna matka zamieni słowo z jakimś ojcem, który stoi sobie na uboczu, one dopiszą już do tego miłosną historię, żałując męża rzeczonej matki, która puszcza się z innym tatusiem.

***

Poszłam odebrać syna ze szkoły. Zawsze wychodziłam po niego najpóźniej, jak się dało. Raz nawet się spóźniłam i Szymek był na mnie zły. Pogrążone w rozmowach mamuśki łypały na mnie co rusz. Dobrze, że miałam na nosie okulary przeciwsłoneczne, to nie widziały moich popękanych naczynek i zapuchniętych powiek, bo dopowiedziałyby swoją historię, która stałaby się i moją historią. Wyglądałam koszmarnie. Ojcowie, którzy odbierali dzieci ze szkoły, stali zazwyczaj samotnie, wgapiając się w ekrany swoich telefonów i mając wszystko gdzieś, za to tamte kobiety ostrzyły sobie pazurki, rozglądając się na boki.

– Mamooo! – Szymek wraz z innymi dziećmi wybiegł ze szkoły. Wrzeszczał na całe gardło.

– Cześć, kochanie. – Chciałam go pocałować, ale przypomniało mi się, że pod szkołą mam zakaz całowania mojego syna. Nie chciałam narobić mu obciachu. Za rękę też nie mogłam go złapać, bo w tym wieku nie wypada, tak twierdził mój syn. – Jak w szkole? – zapytałam. Kiedy byłam w jego wieku, nie lubiłam tego pytania, a teraz sama powielałam wzorce zachowań swojej matki.

Jakiś dzieciak powiedział mi „dzień dobry", więc i ja mu odpowiedziałam.

– Dlaczego jesteś w okularach przeciwsłonecznych, kiedy jest pochmurno i pada deszcz? – Faktycznie z nieba puściła się mżawka.

– Pamiętasz – nachyliłam się w stronę syna – mam zapuchnięte oczy – szepnęłam mu do ucha.

– Bo chciałaś się odmłodzić? – zapytał retorycznie mój syn, odrobinę za głośno. Matki obgadywaczki gapiły się w moją stronę. A ja uśmiechałam się krzywo. Dziecko twoje własne, krew z krwi, zawsze wie, kiedy coś powiedzieć.

– Miałam zabieg – wyszeptałam przez zaciśnięte zęby.

– I po co ci to było? – powiedział Szymek, kręcąc głową, po czym zwrócił się do kolegi obok nas: – Moja mama się obstrzykiwała, żeby ładnie wyglądać – powtórzył słowa Artka. Jak te dzieci szybko chłoną nie to, co trzeba.

Zmieniłam temat na bezpieczniejszy. Powiedziałam coś o pizzy, którą zrobię na obiad i takie tam. Uśmiechając się przy tym sztucznie.

***

W moim folderze napisałam dzisiaj:

Po trzydziestce możesz.

Po czterdziestce możesz.

Po pięćdziesiątce możesz.

Po sześćdziesiątce też…

Zawsze możesz…

ROZDZIAŁ 6

U babci jest słodko, świat pachnie szarlotką

Mam to szczęście, że moja babcia wciąż żyje. Za dwa dni kończy dziewięćdziesiąt lat. Nie wiedziałam, co jej kupić na urodziny, w końcu zdecydowałam, że kupię jej spódnicę. Moja babcia lubi spódnice. Muszą być na gumce i długie. Najlepiej kolorowe. Tak, babcia uwielbia kolor, a wręcz pstrokaciznę.

– Tatiana, dziecko, świat jest zbyt szary, ja chcę go trochę pokolorować.

I kolorowała go swoimi strojami. Babcia ma piękny głos. Śpiewa swoim sopranem różne ludowe pieśni, kiedy lepi pierogi. Babcia potrafiła ulepić trzysta pierogów, kiedy przyjeżdżały do niej wnuki. Jej pierogi były mięciutkie, a farsz rozpływał się w ustach. Latem pierogi były z jagodami i truskawkami, polane obficie gęstą śmietaną i posypane cukrem. Nikt nie liczył kalorii, bo słodkości trzeba było po prostu wybiegać.

Zapukałam do niej. Usłyszałam za drzwiami jakieś ruchy. Po chwili drzwi się otworzyły.

– Tatiana! – Babcia obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. I ja się do niej uśmiechnęłam. Przyszłam do niej dwa dni przed urodzinami, bo wiedziałam, że w sobotę przyjedzie rodzina i nie będziemy miały takiego komfortu, by ze sobą porozmawiać.

Wręczyłam jej prezent, zaparzyłam w porcelanowym dzbanku herbatę. Mocną. Babcia nie znosiła pić lury.

– Herbata, tak jak miłość, musi być mocna – powiedziała. A ja o tym wiedziałam, bo powtarzała mi te słowa od dzieciństwa.

Babcia do tej pory jest szalona. Jeździ do sklepu na rowerze. Po prostu wsiada na rower i mknie przed siebie, chybocząc się na boki.

– Z błędnikiem mam już problem – powiedziała, popijając mocną herbatę.

– To może przestaniesz jeździć na rowerze? Przecież zawsze ktoś z nas robi ci zakupy – stwierdziłam, łapiąc w dłonie filiżankę w polne maki. Babcia uważa, że należy pić kawę i herbatę z filiżanek, bo lepiej smakują. I ma rację. Wtedy to się celebruje takie picie.

– A jak mi się chałwy zachce albo nawozu do kwiatków mi zabraknie, to wtedy wsiadam i mknę przed siebie.

– Jeszcze coś ci się stanie.

– Stać mi się może też w domu.

Miała rację, ale niechętnie jej tę rację przyznawałam.

– Może zamieszkasz z nami. Przeprowadziliśmy się do domu. Dom jest duży, będziesz miała swój pokoik. – Już nieraz rozmawiałyśmy na temat przeprowadzki babci, ale ona ciągle odmawiała.

– Już chyba o tym rozmawiałyśmy – powiedziała. – Starych drzew się nie przesadza.

– Nie. Masz rację. Po prostu martwimy się o ciebie.

– Na razie jeszcze działam. Chociaż coś tam mi strzyka w kościach, ale działam. – Babcia się uśmiechnęła. Miała w sobie ten swój spokój, którego brakuje młodym ludziom. Spokój w stylu „nic nie muszę" albo w stylu „mam to wszystko gdzieś". – Poczęstuj się miętówką – powiedziała. Nie lubię ogólnie miętowego smaku, ale u babci te miętówki z kryształowej cukiernicy zawsze mi jakoś smakowały. Poczęstowałam się więc jedną. Włożyłam do buzi i poczułam ożywczy smak. Mięta parzyła mnie w język.

Babcia w tym samym czasie rozpakowała pakunek i wyjęła z niego spódnicę, która była uszyta ze skrawków najbardziej kolorowych

materiałów, jakie znalazła krawcowa. Dół obszyła dwiema falbankami, a na górę wszyła cekiny.

– Jest piękna! – Babcia swoimi starymi dłońmi naznaczonymi wypukłymi żyłami i plamami dotykała materiału. – Wystroję się w nią na moje urodziny.

– Jak się z tym czujesz? – zapytałam babcię. Wiedziałam, że mogę z nią rozmawiać na takie tematy szczerze.

– Z moim wiekiem?

– Tak.

– Moja dusza jest taka młoda, tylko ciało jakoś się starzeje i z tym trudno mi się pogodzić. Bo ja bym jeszcze wiele chciała. Umysł wciąż mam sprawny i jeszcze jakieś marzenia.

– Jakie masz marzenie?

– Żeby pojechać nad morze. Pochodzić boso po piasku. Poczuć wiatr we włosach.

Babcia miała długie, siwe włosy, które zwijała w kok na czubku głowy. Na specjalne okazje rozpuszczała je i wpinała w nie kolorowe spinki. Wyglądała wtedy pięknie.

– Jadę sobie czasami na rowerze i czuję ten wiatr. Ale ten nadmorski wiatr jest zdecydowanie inny.

Wybiła dwunasta. Babci zegar głośno poruszył trzy razy wahadłem. To był stary zegar, który miał ponad czterdzieści lat. Pamiętam go tutaj od zawsze. „To, co dobre, tak szybko się nie popsuje" – mawiał mój świętej pamięci dziadek. Dziadka już z nami nie ma, a zegar wciąż wybija godziny.

– Upiekę ci tort – powiedziałam do babci. Chciałam ją uprzedzić, zanim ona wyskoczy z tym, żeby piec. Babcia nie używała miksera. Wszystko robiła ręcznie, a jej biszkopt był puszysty niczym chmurka. Masa do ciasta tak pyszna i dobrze utarta. Babcia ucierała ją w glinianej misce dużą drewnianą łyżką.

– Ja bym sobie sama tort upiekła. Dla was. Byście go może po raz ostatni posmakowali.

– Babciu, nie mów tak.

– To ten wiek. Może za rok mnie nie będzie, a może nie dam rady ukręcić masy. Kto wie? A teraz jeszcze daję radę.

Skinęłam głową. Wiedziałam, że babcia chce czuć się potrzebna.

– Tatiana, a jak u ciebie?

– Potrzebuję zmian. Wiesz, babciu, przyszedł taki czas w moim życiu, że czuję, że się duszę.

– Każdy z nas czasami dochodzi do ściany. I niektórzy ludzie nic sobie z tego nie robią, a inni mówią „dość. Potrzebuję zmiany. Bo mnie rozsadza od środka. Bo nie to miejsce, nie ci ludzie, nawet nie ta ścieżka. Bo już za bardzo wydeptana. Bo czas zmienić toksyczne otocznie. Bo za dużo już tego". I jeśli czujesz, że chcesz to zrobić, to po prostu to zrób. To nie może być tylko czcze gadanie. I co?

– Chcę już się przeprowadzić.

– Już niedługo.

– Tak – westchnęłam. – Wszystko mnie drażni. A najbardziej osoby z mojego osiedla.

– Co jest z nimi nie tak?

– Wiesz, są takie matki obgadywaczki, które mieszkają na moim osiedlu. Nie lubią mnie, bo uważają, że mam od nich lepiej.

– Ludzie zawsze będą gadać.

Przychodzi ten moment, kiedy wiesz, że czas na zmiany w twoim życiu. Bo jeśli czegoś nie zrobisz, to cię rozerwie na strzępy.

Różnie bywa i różnie bywało. Bo raz na górze, a raz na dole. A czasem i w różnych konfiguracjach. Powykrzywiane. Raz na bogato, raz biedniej.

***

Z filtrem i bez filtra. Wino z butli na mrozie i kolacja w jakiejś odjechanej restauracji na koszt wydawcy, więc można pić i jeść, ile dusza zapragnie.

Bo dres wyciągnięty i oko zapuchnięte, bez tuszu do rzęs. A raz wymalowana jak gwiazda.

A ze mnie taka gwiazda jak z koziej dupy trąba.

I raz w tych szpileczkach sobie tuptam, a innym razem wyję pod prysznicem i pytam wszechświat „noż kurwa mać, znowu ja?".

I raz z wdzięcznością do życia, świata, a innym razem z fochem jakimś takim strasznym.

I było tak, że szłam, pchając wózek z dzieckiem, i zaciskałam zęby, bo mnie tylko na ten wózek było stać i na nic innego. I myślałam sobie „i co dalej?".

I było tak, że mogłam sobie pozwolić na to czy na tamto.

Nie mam parcia na szkło. Nie jaram się lajkami, ale jara mnie, jak mi ktoś napisze miłe słowo, że lubi moje poczucie humoru czy coś w tę mańkę.

Jestem tak pogodna, że głowa mała, ale ryczę tyle samo. Bo się wzruszam, bo ktoś mnie wzruszy, bo mi źle, bo nie mogę, jak ktoś kogoś krzywdzi.

Nie zazdroszczę, że ktoś pływa sobie jachtem, ja też w końcu raz się przepłynę. A teraz siedzę na ławce, wcinam bułę, okruszki sobie lecą. A ja mam to gdzieś. I ptaki się zleciały.

I myślę „no jest dobrze".

Człowiek, który nie jest na swoim miejscu, jest jak ryba wyjęta z wody. Po co jej płetwa na lądzie?

Opowiem ci pewną historię, gdzieś tam zasłyszaną, o ludziach. O tym, jak to jest, że oni idą za tłumem. Kiedyś odbyła się pewna aukcja, na której licytowano piękne, wartościowe przedmioty. Osiągały zaskakujące ceny. Jeden obraz nie był zbyt urodziwy i nikt nie znał jego twórcy Giuseppe Gadiniego. Obraz przedstawiał kilka bohomazów. Co

ciekawe, inne bohomazy sławnych twórców sprzedawały się za zawrotną cenę kilkuset tysięcy dolarów. Ale tamte obrazy były znane, a ten nie. Zaczęto licytację od dziesięciu dolarów. Ale i tak nie było chętnego kupca. Nagle z tyłu sali odezwał się głos:

– Czy to ten Giuseppe? Czy to ten?

Ludzie odwrócili się w stronę wysokiego, przystojnego, dobrze ubranego mężczyzny, który wyglądał na nowobogackiego.

W sali słychać było pomruk. Bogaci panowie i panie zaczęli się zastanawiać, czy im się nie obiło o uszy nazwisko Gadini.

Mężczyzna uniósł do góry swoją kartkę i krzyknął zawrotną cenę trzystu tysięcy dolarów.

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy – odezwał się pan z sumiastym wąsem.

– Trzysta pięćdziesiąt pięć tysięcy – powiedziała nobliwa dama w srebrnej sukni.

Część ludzi szperała w swoich telefonach, by znaleźć informację o Giuseppe Gadinim, ale nic znaleźć nie mogli. Cena poszybowała w górę i w końcu licytator przybił cenę pięciuset tysięcy dolarów.

Nowobogacki przygryzł język, by nie roześmiać się w twarz tym wszystkim ludziom, którzy kroczyli ślepo za tłumem. Usłyszeli gdzieś z tyłu coś, co trudno było sprawdzić czy zweryfikować. Kim jest Giuseppe? Co jest na jego obrazie?

Na jego obrazie było kilka plam, namalowanych przez jego trzyletniego synka. To on wystawił ten obraz na licytację.

Tylu jest ludzi, których łatwo przekonać do swoich racji. Ludzi skłóconych z życiem, goniących za sensacją, nieznających prawdy, a zadowalających się wymyśloną historyjką. Bezmyślny tłum kupuje chwytliwy towar, który wcale a wcale mu się nie podoba. Doszukuje się głębi w sprawach bez najmniejszego znaczenia.

***

Wzięłam od babci do poczytania Hłaskę. Babcia była nim zachwycona.

– Nie dość, że taki przystojny, to jeszcze pisać potrafił – powiedziała.

– Babciu, z niego był niegrzeczny chłopiec. – Czytałam jego biografię i kilka artykułów.

– Niegrzeczny i cholernie inteligentny, a to jest najbardziej pociągające. Napisał kiedyś tak – babcia uśmiechnęła się zalotnie – „Ale czy warto spotykać się z idiotami i tracić na nich czas, kiedy jest tyle dobrych książek, tyle ładnych dziewczyn, tyle zabawnych knajp?". Czy warto?

– Nie warto…

– A wracając do Mareczka, to miał twarz rozgrymaszonego chłopaka, figurę kowboja i taki wzrok, który roztapiał damskie serca.

– Bo są tacy mężczyźni.

– I są też takie kobiety…

– No dobra, mów mi, babciu, o twoim idolu.

– Wychował się na Warszawskim Powiślu. Nauka mu nie szła, więc rzucił szkołę. Pracował na budowie, a potem jako szofer, jednak czuł, że ani tu, ani tam jakoś nie pasuje. On chciał od życia czegoś więcej. Są ludzie, którzy jakoś są ze swoim życiem pogodzeni, a są też tacy, którzy łakną szaleństwa w życiu. Hłasko żył na granicy zatracenia i dekadencji. Zakochał się szalenie w Hannie Golde, która była mężatką z dwójką dzieci. I chyba to go najbardziej w tym wszystkim kręciło, bo była niedostępna, bo spotykali się ukradkiem. To przez nią targał się na swoje życie.

– Myślisz, że na poważnie?

– Na poważnie nie robi się widowiska, a Hłasko podciął sobie żyły na klatce schodowej, przed mieszkaniem kochanki. Znalazł go jej mąż i… opatrzył rany. Hłasko długo leczył się z tej miłości, aż poznał Osiecką. Najpierw się przyjaźnili, później się w sobie zakochali. Potem zaręczyli, nigdy ze sobą nie zamieszkali, bo byli zbyt wielkimi indywidualistami. A potem wszystko się rozpadło, kiedy Hłasko wyjechał za granicę. I ona kiedyś do niego napisała „Nie ma kobiet dobrych i złych. Są tylko

mężczyźni, którzy nie potrafią traktować ich tak, jak je traktować trzeba".

I zaczęłam tego Hłaskę czytać. Opowiadanie *Ósmy dzień tygodnia*: „nie widziałem jeszcze ludzi, którzy spotkaliby się w dobrym miejscu życia. Takiego miejsca w życiu nie ma i być nie może. Zawsze zdaje się, że jest zbyt późno lub zbyt wcześnie; że zbyt wiele doświadczenia albo że zbyt mało. Zawsze coś stoi na przeszkodzie". I zaczytałam się w tych jego słowach, zerknęłam na zegarek – po północy. Cholera jasna, miałam umyć włosy. Miałam nazajutrz ważne spotkanie. No trudno, wstanę o piątej, skrzywiłam się. Mycie włosów w pewnym wieku wymaga pewnych wyliczeń, wektorów i wypadkowych. Trzeba też pomyśleć, czy danego dnia będzie opłacało się wymyć głowę, czy raczej nie. Bo jeśli wymyjesz w środę, a masz spotkanie w czwartek, to mycie włosów jak najbardziej wskazane, ale jeśli spotkanie jest w piątek, to czasami lepiej przeciapać ten jeden dzień z niezbyt świeżymi. Kiedy miałam dwadzieścia lat, ba, nawet dwadzieścia pięć, myłam głowę codziennie i fryzowałam się, stylizowałam. Potem nadszedł czas macierzyństwa, kiedy nie zawsze był czas. To był czas pieluch, kupek, kolek, ząbkowania, nieprzespanych nocy i czasami się nie chciało. Wtedy wydawało mi się, że czas bycia świeżo upieczoną mamą to jakiś koszmar, a teraz wróciłabym do tych chwil bez pyskowania i do całowania malutkich stópek Do dojadania posiłków po dzieciach, dojadania wymemłanych chrupek kukurydzianych.

Zaczęło się od włosów, skończyło na kaszkach i kupkach, lepiej jednak zrobię, jak się położę. Uśmiechnęłam się pod nosem i wgramoliłam do łóżka, w którym pochrapywał już Artek. Szturchnęłam go w bok. Przekręcił się. Chrapanie ustało. *No, teraz to mogę spać* – pomyślałam, kładąc swoje zimne stopy na jego ciepłych łydkach.

ROZDZIAŁ 7

Jak to Zenek Martyniuk zawitał w moich progach

Od czterech lat budujemy z mężem dom. Bo chciałam spełnić swoje marzenie o pięknym domku z ogródkiem. No i to marzenie okraszone było bólem, tysiącem łez, „kurwami" rzucanymi w stronę ekipy, która raz na jakiś czas ostro nawalała, wielką niewiadomą, bo niewidome było, kiedy to wszystko się skończy, wybuchami śmiechu i ekscytacji! Mieliśmy go wykończyć w osiemnaście miesięcy, ale ten czas rozciągnął się niczym guma. Ale już jesteśmy na finiszu, a potem wystrój wnętrz, to to, o czym marzę. Nie chcę mieć modnych wnętrz. Chcę, by było przytulnie i kolorowo. Chcę kolorowych poduszek, które może nie będą pasować do zasłoń, i oliwkową sofę, która ponoć nie za bardzo pasuje do beżowych ścian. Chcę mieć mnóstwo obrazków z pięknymi cytatami i widokami w swoim biurze, żeby mnie nastrajały pozytywnie. I najważniejsze – w końcu będę miała swoje biuro, o którym od dawna marzyłam.

Najgorsze, że kredyt się skończył. A wydatków cała masa i ciułamy tak grosz do grosza, by tylko dom wybudować. I zaczyna mnie to czasami przytłaczać. I ciągle sobie powtarzam „ale będziesz mieć dom bez kredytu". W sumie tak, ale od czterech lat nie mieliśmy porządnych wakacji. A ja bym chciała tak po ludzku się wyłożyć i leżeć. Po prostu sobie leżeć i mieć wszystko gdzieś. Ja i plaża, i drineczek z palemką. Ale nastanie taki czas, że ja tego drina z palmą i pod palmą wypiję.

Zaglądam do notesu, a tam notatka, że muszę zadzwonić do pana stolarza. No z nim też mieliśmy przejścia. Pan stolarz robił nam szafę od przeszło czterech miesięcy. Jedną szafkę do przedpokoju. I ciągle

było coś nie tak. Bo płyty na szafę nie doszły. Bo lustro zrobił nie tak, bo zawiasy, bo prądu nie było, bo śnieżyca. Kiedyś do niego zadzwoniłam i powiedziałam do niego z rozpędu:

– *What the fuck*?

– Kierowniczka? – zapytał zatroskanym głosem.

– No ja.

Podczas gdy dla hydraulika byłam szefową, dla stolarza byłam kierowniczką.

– Niech się kierowniczka tak nie stresuje, bo może kierowniczce jakaś żyłka pęknąć czy cóś… – Słyszałam, jak wydmuchuje dym z papierosa. Czy on sobie ze mnie żarty stroił, czy on tak na serio?

***

Kredyt się skończył, a dom niewykończony. Przeprowadzka odkładała się w nieokreśloną przyszłość, co również działało mi na nerwy. Jeśli ktoś z was planuje budowę, to… Niech nigdy nie wierzy w żadne kosztorysy. Budowa domu to studnia bez dna. I nieplanowane wydatki wychodzą cały czas. Bo okazuje się, że działka jest utaplana w glinie i trzeba tę glinę ściągnąć i nawieźć nowej ziemi. A to ogrodzenie jest droższe, niż planujecie, a to kolejna ekipa będzie musiała zrobić poprawki po poprzedniej, bo tamta coś schrzaniła. I oprócz tego dochodzą kłótnie z mężem.

Ile my wojen stoczyliśmy! Ile wyjazdów do Castoramy, Obi i IKE- i odbyliśmy. Wiecie, jak trudną sprawą jest dobrać kibelek albo szafkę pod umywalkę. Albo płytki w odcieniu caffè latte do odcienia frontów szafek? A jeszcze gorzej dobierać oświetlenie. I wszystko niby braliśmy po taniości, a potem przed kasą wielkie bum, bo wszystko kosztowało drożej, niż przypuszczaliśmy. Złotówka do złotówki i do zapłaty kilkaset złotych. Zawsze marzyłam o kominku i… Mamy kominek. Za cenę dziesięciu tysięcy złotych. Wyobrażacie sobie takie ceny? Albo schody? W życiu nie powiedziałabym, że schody mogą kosztować piętnaście

tysięcy. I zapewniam was, że to nie są marmury. Ale wróćmy do kominka. Kominek był biały, potem przerobiliśmy go na czarny, bo nam się nie podobał.

– Wiesz, mi się chyba bardziej ten biały podobał – powiedziałam, zapinając pas i rozmyślając o kominku, który jeszcze wczoraj był biały. I co mi się w tej bieli nie podobało, to już sama nie wiem.

– Nie będziemy na nowo go przemalowywać. – Mój mąż nie miał tego dnia humoru.

– Ale ten czarny pomniejszył jakoś nasz salon…

– Trudno się mówi.

– Popełniliśmy błąd.

– Nie pierwszy i nie ostatni. – Zacisnął ręce na kierownicy. Włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo.

Płytki w bagażniku przesunęły się z łoskotem. *Żeby tylko nic im się nie stało* – pomyślałam.

Dotarliśmy na budowę z kartonem popękanych płytek.

– Myślisz, że nam wymienią? – zapytał z nadzieją w głosie mój mąż.

– Trzeba było nie skręcać tak ostro – fuknęłam.

– Przecież nie skręcałem ostro. To ty położyłaś płytki na środku bagażnika. Trzeba je było o coś oprzeć.

– Nie wiem, czy wymienią, czy nie wymienią, daj mi spokój.

Oboje wzruszyliśmy ramionami i usiedliśmy na podłodze oparci o ścianę.

Czekaliśmy na ekipę wykończeniową, która wykończyła nas oczekiwaniem. Siedzieliśmy na podłodze i czekaliśmy. Ekipy mają to do siebie, że się spóźniają. Niczym gwiazdy na swój koncert. Albo obiecują, że będą i ich nie ma. Mieliśmy ekipę pana Romana, który zwiał z zaliczką. I ekipę od dachu, która śmigała między czterema budowami i robiła nam dach po kawałeczku. Miał być skończony w dwa tygodnie, był w pięć miesięcy. I nerwówka: „bo ty nie potrafiłeś się dogadać”, „to ty wybrałaś tę ekipę”.

***

Kiedy dom już powstał, czyli był w stanie surowym zamkniętym, cieszyłam się jak dziecko.

Wiedziałam, że nie jesteśmy nawet w jednej trzeciej budowy, ale dom fizycznie stał. Przyjechali panowie do tynków i rozwiali moją radość.

– Ktoś wam ściany spierdolił – powiedział pan Krzyś, zapalając szluga.

– A co z tymi ścianami jest nie tak?

– Są krzywe, pani kierowniczko.

Przywykłam do nazywania mnie kierowniczką.

– Ale że bardzo?

– No, kierowniczko, nie bardzo, ale jednak spierdolone.

Uśmiechnęłam się krzywo. Pan Krzysztof zapalił papierosa. Wydmuchał dym.

– Tynki się zrobi – powiedział spokojnym głosem. – Tu dodamy więcej i jakoś to będzie wyglądało.

Przyglądałam się później ścianom jeszcze kilka razy, na oko nie widziałam żadnych większych skrzywień, ale skoro pan Krzyś powiedział, to z nim nie dyskutowałam.

Ekipa pana Krzysia była solidna. Po niej wszedł na budowę pan Romek, wykończeniowiec.

– Chciałabym LED-y dookoła lustra. – Pokazywałam na wnękę w łazience, w której miało znaleźć się lustro.

– Zrobi się. – Pan Romek kiwał głową.

Obawiałam się, że tego nie zapamięta. Przeszliśmy już połowę domu, a pan Roman nic nie zanotował, tylko kiwał głową.

– I schody dębowe.

– Zrobi się.

– I jeszcze płytki w wiatrołapie.

– Zrobi się.

– Ile to będzie kosztowało?

– Jakoś się dogadamy. – Jak widać, pan Roman miał luźne podejście do życia.

– No tak, ale ja muszę iść do banku i kredyt… Rozumie pan? – Starałam się nie pokazać swojego zdenerwowania.

– Jakoś się dogadamy…

Kurwa, co z nim jest? Pan „zrobi się" i „dogadamy się".

No i patrzę na niego, i kiwam głową, on kiwa i chyba się zrozumieliśmy.

Dwa tygodnie później okazało się, że się nie zrozumieliśmy. Kompletnie.

Jakoś się nie zrobiło. Pan Roman zniknął z pola widzenia z moją zaliczką. Nie odbierał telefonu, nie odpisywał na maile. I chyba się nie dogadaliśmy.

Panele się zjebały. Nie same. Wada produktu. Napisałam pismo do producenta, ale je oddalił. Kazał przyjechać z pudełkiem paneli. Pojechałam. Mimo że były powykrzywiane, on uznał, że są w porządku.

Tak było, teraz już jest dom prawie wykończony. Pozostały malutkie detaliki. Mebli nie mamy, ale możemy na razie wziąć te stare. Poza tym znalazłam na śmietniku fotele.

…I szafę też tam znalazłam.

– Zgłupiałaś – usłyszałam od męża, kiedy kazałam mu po nie przyjechać.

– Nie. Posłuchaj. Już to widzę – mówiłam podekscytowana. Przed chwilą wytargałam fotel z kontenera. – Pokrylibyśmy je białą farbą, trochę ją starli. Wiesz, taki styl vintage.

– Będziemy zagracać nowy dom śmieciami z wysypiska?

– Słuchaj, to nie śmiecie, wyglądają pięknie.

– Daj, spokój – powiedział Artek.

A ja wcale nie chciałam dawać spokoju. Żeby rozładować napiętą atmosferę, rzuciłam do słuchawki:

– Może ja bym tę naszą budowę na Instagramie relacjonowała?

– Odbiło ci, serio.

– Ale jakiś hajs moglibyśmy zarobić. I ty byś udawał, że coś z tymi fotelami robisz.

– A daj mi spokój, babo jedna.

Oboje parskaliśmy śmiechem na to „babo jedna".

Dwie godziny później stare fotele i szafa stały w moim gabinecie. Artek zgodził się w końcu, byśmy je przytachali, ale musiałam mu obiecać, że „te graty" nie zaśmiecą innego pomieszczenia poza moim gabinetem. Przytaknęłam, ciesząc się jak dziecko. Nawet go z tej ekscytacji wycałowałam. Po czym, wyżarłam końcówkę nutelli ze słoika. Paluchem wygrzebałam resztki, bo nie chciało mi się szukać łyżeczki. Usiadłam sobie w moim nowym salonie, na podłodze. Bo salon pozbawiony był jeszcze mebli. Na razie mnie na nie nie stać. Mam materac w sypialni, turystyczną lodówkę i szafę. Teraz doszły fotele i druga szafa z altany śmietnikowej. Na nowy początek w sam raz. Albo jak mówi moja babcia, „jak w mordę strzelił". Lubię to jej „strzelanie w mordę". Wypiłam kawę w kubku bez ucha. Ucho od kubka urwało się w czasie transportu. Ale kubek jest, a w nim kawa. Dobra ta kawa, mocna jak cholera, ale wciąż dobra. Bo gdzie to pijać lurę. Jak pić, to tylko coś mocnego. Westchnęłam sobie pełną piersią i pomyślałam „nie wiem, co przyniesie przyszłość". Nie powiem, że o tym nie myślę. Myślę... Cokolwiek przyniesie, to ja się cieszę, że siedzę sobie w moim nowym salonie, na podłodze wyłożonej miodowym drewnem i odczuwam jakąś taką błogość.

***

Tamtej nocy spaliśmy w nowym domu, na materacu. Czułam się, jakbym znów była studentką.

Obudził mnie dzwonek do drzwi. Spojrzałam w prawo, Artka już nie było. Nie mogłam uwierzyć, że tak dobrze mi się spało, że nie słyszałam, kiedy wyszedł. Widocznie mamy w domu dobrą energię. Lub taką, która nastraja do spania. Na ramiona narzuciłam szlafrok. Przeczesałam włosy dłońmi, włożyłam do ust gumę. Otwieram drzwi, a w progu stoi Zenek Martyniuk. Wykapany taki, z zalotnym uśmiechem.

Wszystkich bym się spodziewała, ale nie Zenka. Może przyjechał mi zaśpiewać o oczach zielonych?

– Dzień dobry… – Zenek Martyniuk obdarzył mnie najszczerszym uśmiechem świata. Ale coś mi się u niego nie zgadzało. Ząb. Prawdziwy Zenek nie ma połyskującej złotej dwójki, o ile dobrze kojarzę.

– Dzień dobry. – Nie wiedziałam, o czym miałam dalej rozmawiać z sobowtórem Zenka, bo Zenkiem to on na pewno nie był.

– A uszanowanko, rączki całuję. – Mężczyzna zaczął wykonywać coś, co miało przypominać ukłony. W pierwszym odruchu też miałam ochotę mu takie ukłony oddać, ale jakoś siłą woli się powstrzymałam.

Zenek chciał całować mi ręce, które były w rękawicach. Na noc zrobiłam sobie kurację z parafiny i czegoś tam jeszcze, coby mieć gładkie dłonie, i włożyłam w różowe rękawice.

– Dzień dobry… – powtórzyłam osłupiała.

Zenek nie był Zenkiem, tylko Tadkiem. A Tadek był hydraulikiem, który przyszedł na spotkanie w celu przeinstalowania rury, którą poprzedni hydraulik wsadził nam do sypialni. Mieliśmy rurę od sracza w sypialni. A mówiłam poprzedniemu panu, żeby robił zgodnie z planem. Po to, do cholery, ten plan domu kupiliśmy.

– Pani… – zaczął Zenek, to znaczy Tadek. Westchnął i zapalił papierosa, wydmuchał mi dym prosto w twarz. Kichnęłam. – Ktoś pani tutaj robotę spierdolił… – powiedział.

No, to to ja akurat już wiedziałam.

– No tak… Jakie pan rozwiązanie proponuje? – zapytałam grzecznie.

– Pani, no da się zrobić…

– No tak… Może pan zwróci uwagę na plan.

– Eeeee. – Machnął ręką, po czym ponownie zaciągnął się papierosem. – Jakbym tak robił wszystko, co te inżyniery wymyślą, toby ludzie mieli w domu nasrane.

I jak się okazało, miałam tak jakby nasrane w sypialni mojego domu, do którego nie wiadomo kiedy miałam się przeprowadzić.

– Co pan proponuje?

– Pani, no co ja pani powiem – potarł ręką brodę – i tak pani nie zrozumie. No, zrobi się.

– No dobrze, ale wie pan, tak bez demolowania ściany, no nie wiem.

– No mówiłem, że pani nie zrozumie, zrobi się.

– A ile to będzie kosztowało?

– Ile to będzie kosztowało? Jakoś się dogadamy.

I znowu jakoś się nie zrobiło, nie dogadaliśmy się.

A ja już byłam tym wszystkim naprawdę zmęczona.

***

Wieczorem napisałam liścik, trochę dla siebie i po trochu też dla ciebie:

Kochana, odpocznij sobie.

Może dzisiaj nie był to Twój dzień, zasłużyłaś na miły wieczór…

A może dzisiaj góry przenosiłaś, ale też jesteś zmęczona. A walnij się pod kocyk. Napij herbatki, odpręż się…

A może suniesz do przodu w jakimś bagnie. Choć na chwilę wygramol się z niego (wiem, jest ciężko), choć na chwilę zapomnij o problemach.

„Zła wiadomość jest taka, że nic nie trwa wiecznie.

Dobra wiadomość jest taka, że nic nie trwa wiecznie…”

Kochana, przecież wiesz, kim jesteś, wiesz, na co zasługujesz.

Im jestem starsza, tym bardziej wiem, że chcę spokoju ducha. Chcę wokół siebie ludzi, którzy generują w moim sercu radość…

Tak, wiem, że świat czasami potrafi być zły, a ludzie dokopać… Ale to Ty, decydujesz, co zrobić z tym, co oni powiedzą, o czym napiszą. Możesz zatkać uszy i się tak nie przejmować.

Kochana, dziś wieczór należy do Ciebie…

ROZDZIAŁ 8

Nie ma to jak wspomnienia

Lubię czasami się tak porządnie wybeczeć, słuchając ulubionych piosenek. Beczę sobie i wspominam. I to nie są jakieś gorzkie wspominki, ale takie rozczulające. I wtedy sobie wspominam moją pierwszą i drugą pracę.

Pracowałam jako kelnerka i sekretarka w czasach mojej świetności. Prace do siebie podobne, ale wolałam jednak kelnerowanie, bo tam mogłam spotkać różne typy ludzi, w korporacji spotykałam gajery i garsonki. Może i byli spoko ludźmi, ale na spotkaniach biznesowych strasznie się spinali i nie potrafili wyluzować.

Pamiętam ten moment, kiedy złożyłam wypowiedzenie w mojej pracy, którą szczerze lubiłam, ale pani prezesowej szczerze nie znosiłam. To był babol. Babole to taki specyficzny typ kobiet, które są niezadowolone ze swojego życia w ogóle i w szczególe i postanawiają w rewanżu uprzykrzyć życie innym. One mają w sobie jakiś wewnętrzny jad, którym zatruwają innych ludzi. Czerpią satysfakcję z tego, że komuś dokopią. I zamiast być fajną babką, to one wolą być babolem.

One są tak zgorzkniałe, że próbują i tobie obrzydzić życie. Byłam młodą dziewczyną i ta młodość kłuła w oczy panią prezes najbardziej. Bo nie ma większego zagrożenia dla babola niż młoda kobieta, która na dodatek podoba się mężczyznom. Byłam ładną dziewczyną. Naturalną, która niespecjalnie zwracała uwagę na swoją urodę. Po prostu się podobałam i już. Wydaje mi się, że bardziej ze względu na sposób bycia. Byłam wesoła. Ogólnie cieszyło mnie życie. A pani prezes próbowała mi to życie spieprzyć na wszystkie możliwe sposoby. Na dodatek chyba

wyczuła, że jej mąż mnie lubi. Bardziej jak córkę niż przyszłą niedoszłą kochankę, ale jej to przeszkadzało. Kiedy on powiedział, że przygotowałam superprezentację, ona wbiła mi szpilę, że kawa była niedobra.

I kiedy ja wylewałam łzy w poduszkę, że nie zaparzyłam dobrej kawy, z pomocą przyszła mi babcia.

– Srał pies kawę – powiedziała z rozbrajającą szczerością, używając jej ulubionego zwrotu „srał pies". „Srał pies" obok „jak w mordę strzelił" plasował się w pierwszej dziesiątce babcinych powiedzonek. – Nie będziesz przecież parzyła komuś kawy do końca życia. Kawa to tylko przystanek na twojej drodze do szczęścia.

I miała rację. Nie zajmuję się zawodowo parzeniem kawy. Kawę mam za sobą, babola też. Wyciągnęłam wnioski na przyszłość, żeby się nie przejmować takimi bzdetami, bo jeśli ktoś będzie chciał uprzykrzyć ci życie, to to zrobi, czy tego chcesz, czy nie. A zazwyczaj się przecież nie chce.

Kiedy skończyłam pracę sekretarki, zatrudniłam się w kawiarni. Praca kelnerki mi się podobała, bo trafiłam do fajnego lokalu. Kawiarnio-księgarni. Wyobrażasz sobie, że codziennie wchodzisz do kawiarni i czujesz ten zapach kawy wymieszany z zapachem książek. Bo przecież książki tak specyficznie pachną i te prosto z księgarni, jeszcze przez nikogo niedotykane, i te stare woluminy, które nadgryzł ząb czasu, a ich kartki były przewracane przez setki palców.

W kawiarni Pod Skrzydlatym Aniołem kawę parzyło się w imbryczkach. Nie było tutaj nowoczesnych ekspresów do kawy. Do kawy dodawaliśmy śmietankę, którą właściciel kupował na targu od rolnika. Dosypywaliśmy też różnych przypraw, a w pojemniczkach przy gościach stawialiśmy miód. Kilka rodzajów. I można było sobie tym miodem osłodzić kawę. W wystroju kawiarni przeważały drewno i stare cegły. Regały na książki były drewniane. To był prawdziwy dąb. Czasami przychodziłam do pracy wcześniej i dotykałam tych regałów. Brałam

sobie jakąś książkę i czytałam z zapałem opowieść. A i zaparzałam sobie taką aromatyczną kawę.

Do Skrzydlatego Anioła, który mieścił się w starej kamienicy, przychodzili specyficzni ludzie. To nie były gajery z korpo, raczej artystyczne dusze albo złamane serca, albo marzyciele, byli też samotnicy z wyboru… I ci, którzy potrafili cieszyć się kawą, spokojem i tą chwilą – ta chwila miała dla nich ogromne znaczenie – którzy podziwiali piękno kawiarni. Przychodzili także nałogowi książkoholicy. Był też pan hydraulik, który miał duże dłonie. Na jego skórze widoczne były plamy. Był rosłym mężczyzną, ponaddwumetrowym. I wyglądał uroczo, kiedy czytał *Przeminęło z wiatrem*. A jeszcze bardziej rozczulał mnie jego widok, kiedy widziałam, jak powstrzymuje łzy. Zastanawiałam się, o czym myśli… Większą część klientów stanowili stali bywalcy, których znałam z imienia. Czasami przychodzili tutaj z żonami, czasami z przyjaciółkami, a następnym razem znowu z żonami. Nigdy nie myliłam ich żon z ich kochankami. I nie osądzałam. Jeden pan powiedział mi kiedyś, że kocha je obie. Czy można kochać dwie kobiety jednocześnie? Nie wiem. Nie potępiam, nie mówię „nie". Nigdy nie możemy czegoś powiedzieć na sto procent, dopóki sami tego nie przeżyjemy. Pamiętam, że ja w tej kawiarni miałam tyle pozytywnych przeżyć, takich duchowych. Bo to niesamowite, kiedy siedzisz w kawiarni, wdychasz te wszystkie zapachy i myślisz sobie „chciałabym, by tak wyglądało niebo". Byłam wtedy dwudziestoparoletnią dziewczyną, która potrafiła to docenić.

I wiesz, co ci powiem, Kochana, musisz znaleźć swój kawałek nieba. Raz na jakiś czas musisz do niego odlecieć. I nawet jeśli ktoś podetnie twoje skrzydła, to je sobie na nowo przyklej i leć tam za wszelką cenę. Do swojego nieba. Tyle jest teraz presji, że praca, że trzeba dom kupić, że trzeba być supermatką, superpracownicą, piękną babką, ale nikt ci nie powie „zadbaj o swoje prywatne niebo".

Ja coraz częściej odpływam do swojego nieba. Zostawiam za sobą niektóre sprawy. Nie na wszystkie wiadomości odpisuję od razu. Nie

gnam gdzieś, nie wiadomo gdzie. Już tak nie spinam pośladków. Lubię moje niebo, z rozgardiaszem, z ciepłym kocykiem, z dobrą książką. Z kawą lub herbatką...

Mój starszy syn Krystian też ma w sobie takie coś ze mnie. Ma prawie siedemnaście lat i jest w nim taki zachwyt. Młodszy ma powiedzonko „a co mnie to obchodzi". Kiedy mówię do niego „zobacz, jaki piękny zachód słońca", on odpowiada, że co go to obchodzi. Ale uśmiecha się i patrzy. Może z wiekiem mu to minie. Mnie też kiedyś inne rzeczy obchodziły.

Pamiętam siebie siedemnasto-, osiemnastoletnią. Zawsze byłam wrażliwa, tylko może nie na urok kawiarni i brukowanych uliczek, ale na przykład na piosenki. Pamiętam, kiedy z moją przyjaciółką słuchałyśmy Lady Pank albo Perfectu, albo Varius Manx i śpiewałyśmy na całe gardło piosenki.

I czasem razem płakałyśmy na nich. Płakałyśmy na *Dirty Dancing* i *Bodyguardzie*. Ale też raz na meczu, bo nasz ulubiony piłkarz był kontuzjowany.

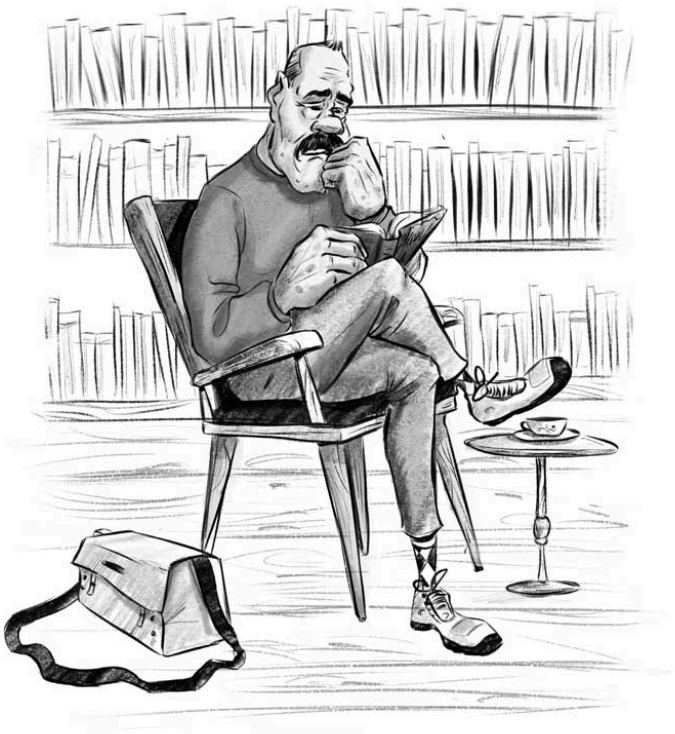

***

Wracam do rzeczywistości, otwieram mój niebieski notes, w którym notuję rzeczy do artykułów, i zapisuję:

Czasami chciałabym, aby ludzie sobie mówili, jak jest, a nie jak wypada, by było.

„Hej, mam dzisiaj kiepski dzień".

Zamiast zasłaniać się: „W porządku" na pytanie „Jak się masz?".

A ty czasami się nie masz wcale, ani dobrze, ani nawet średnio.

Chciałabym, byśmy mieli w sobie taką siłę, by nie czuć potrzeby wyprowadzania innych z błędnych założeń na swój temat.

A niech będą w błędzie, a my róbmy swoje.

Chciałabym, byśmy zrozumieli, że używa się rzeczy, a nie ludzi.

I chciałabym, byśmy się wszyscy czasami tak porządnie wyśmiali…

Aż byśmy boki zrywali.

ROZDZIAŁ 9

Dzień z życia Tatiany

Moje dni jakoś nie różnią się od siebie. Nie ma tutaj wybuchów fajerwerków ani nikt nie budzi mnie, całując namiętnie w szyję na powitanie, ani tym bardziej nie rozsypuje płatków róż na pościel. Oto ja. Budzę się o piątej trzydzieści. Przeciągam i powstaję do życia niczym mops. Wkładam na stopy bambosze. Tak. Na trzydzieste dziewiąte urodziny dostałam od mojej mamy bambosze. Jakby w pewnym wieku nosiło się bambosze. Schodzę na dół i zaparzam cały dzbanek mocnej, czarnej kawy. Uwielbiam mocną kawę. Gorzką, bez mleka i cukru. Gorącą, taką, co to parzy usta.

Wkładam naczynia do zmywarki, bo poprzedniego dnia jakoś nikt tego nie zrobił. Ścierka jest już tak zasyfiona, że idę z nią do łazienki i wrzucam ją do kosza na brudną bieliznę. Świat jest jeszcze w mroku, spokojny taki. A ja jakaś niespokojna. Ostatnio jestem jakaś rozdrażniona. Artek powiedział, że reaguję tak, bo dobijam do czterdziestki. Wkurza mnie to, że przypomina mi o tym coraz częściej.

Wracam do kuchni, wkładam chleb do tostera, wyciągam z lodówki masło. Do garnka wlewam mleko, wsypuję płatki i robię owsiankę.

Ranki są moje. Myślę, że dużo kobiet ma takie swoje poranki albo swoje wieczory. Takie kilka minut, kiedy sobie myślisz o tym wszystkim.

Popijam kawę. I coraz częściej sama siebie pragnę przekonać, że to, co mam, jest naprawdę czymś, z czego powinnam się cieszyć. I niby się cieszę, ale czasami sobie popłaczę.

A potem się winię za to, że płaczę.

Tak sobie myślę, że przed tą czterdziestką chciałabym jeszcze coś przeżyć. Ale moja przyjaciółka uświadomiła mi, że tak wygląda życie. A ja czasami mam ochotę ją zapytać „serio?".

– No serio – powiedziała, przemykając do mnie na poranną kawę. – Wpajają nam od dziecka jakieś shity o Kopciuszku, Śpiących Królewnach i o tym, że książę nas uratuje. W końcu jakiś tam książę pojawia się na naszej drodze. I wtedy dopamina zalewa nam ośrodki racjonalnego myślenia.

– Czyli nam się tylko wydaje, że to książę?

– Tak. Właśnie tak jest. Bo on, ten nasz niby-książę, w tych pierwszych wyrzutach dopaminy cokolwiek zrobi, cokolwiek powie, to my wzdychamy i ach, i och, a potem się okazuje, że jego beknięcie nie jest takie urocze, jak było w tej pierwszej fazie wyrzutów. I puszcza bąki, i zostawia po goleniu włoski na umywalce. I na początku to wszystko nas tak bardzo zachwycało, a potem, kiedy opadną emocje, zdajemy sobie sprawę, że książę jest zwykłym śmiertelnikiem, a nie bogiem sprawującym władzę na Olimpie.

– Nigdy się nie zachwycałam, kiedy Artkowi się odbiło.

– Ale wszystkim innym byłaś zachwycona. Co powiedział, co zrobił. Myślisz, że nie pamiętam? – No tak. Kogo jak kogo, ale Darii to oszukać nie mogłam.

Daria była członkiem mojego życia, odkąd pamiętam.

– Ludzie w tym pierwszym zauroczeniu obiecują sobie gruszki na wierzbie, a potem przychodzi życie.

– I powinni nas uczyć o tym zwyczajnym życiu. O tym, żebyśmy kochały tych pokrzywionych śmiertelników, bo z nas też żadne księżniczki.

– To co? Bojkotujemy bajki o Kopciuszku?

– Nie. Dopisujemy nasze własne zakończenie.

– Daria, mój związek jest taki...

– No jaki?

– No właśnie siaki. – Skrzywiłam się. – Dryfujemy po mieliznach codzienności.

Daria włożyła do ust czekoladkę, popiła ją winem i spojrzała na mnie, jakby widziała mnie pierwszy raz.

– A gdzie ma dryfować?

– W obłokach? – odpowiedziałam po chwili zastanowienia, popijając kawę.

– Kochana, co ja bym dała za tę codzienność. Za te kapcie szurające, za te rodzinne wypady za miasto.

– Ostatnio zadaję sobie pytanie „czego ja chcę?".

– A może powinnaś zadać sobie pytanie, czy to jest dobrze, że chcesz tego czy tamtego? Tatiana, świat zwariował z tymi wszystkimi umoralniającymi gadkami. Z tym, żeby wpajać ludziom, co mają robić, by im było dobrze. Bo jak jest niedobrze, to już wielki dramat.

– Wiesz co? – Wytarłam ostatni talerz i postawiłam go na półce w szafce. – Może powinnam pójść za głosem serca?

– Pewnie. – Wyczułam, że Daria ze mnie kpi. – Może wyjedź medytować z mnichami tybetańskimi. Mrucz pod nosem, wdychaj dym z kadzideł. I docieraj do swojego wnętrza. Co tam rodzina, dom, lata pracy! Jedź i mrucz pod nosem. I pobieraj energię z kosmosu. Niech przepływa przez ciebie. – Daria uniosła ręce, zamknęła oczy i zaczęła się kołysać to w lewo, to w prawo, wydając z siebie mrukliwe dźwięki.

– Sądzisz, że już mi odwala? – zapytałam, śmiejąc się.

– Sądzę, że możliwe. Tatiana, czasami jak człowiekowi jest za dobrze, to mu się w dupie przewraca. Rozumiem, że może nudzić cię codzienność. To zrób coś z tym, nie musisz od razu iść za tak zwanym głosem serca. Zamykać się w klasztorze i wdychać opary z kadzideł.

Wybuchnęłam śmiechem. Uwielbiałam to, że Daria potrafiła tak dosadnie powiedzieć, co ma na myśli.

– Świat się zmienia, Tati, ale my ludzie tak naprawdę wciąż potrzebujemy tego, by żyć w jakimś takim poczuciu bezpieczeństwa.

Nie musimy się zmieniać z każdym rokiem, nie musimy gnać na łeb na szyję z wywieszonym językiem, żeby osiągnąć jakieś niestworzone marzenie, które mamy w głowie.

– Ale co, usiąść tak i siedzieć? Kisić się we własnym smrodzie?

– Nie. – Daria włożyła do buzi kolejną czekoladkę i się skrzywiła. – Fuuu – powiedziała.

– Orzech?

– Mhm.

– Wypluj, jak chcesz. – Moja przyjaciółka nie cierpiała orzechów.

– No i tak zrobię – powiedziała, mamrocząc.

Daria poszła do toalety, a po chwili z niej wróciła. Nalała sobie do szklanki wody i wypiła duszkiem.

– Nie zrozumiałaś mnie. Człowiek powinien się dalej rozwijać, powinien się uczyć, czytać książki. Tylko nie gnać za mrzonkami.

– I nie zostać zgredem.

– Właśnie. A nawet jeśli trochę pozgredujesz ze swoim mężem, to zgredujecie razem. My ludzie mamy takie posrane wyobrażenia. – Przerwała na chwilę, odwróciła do góry nogami pudełko z czekoladkami i wzięła sobie właściwą, bez nadzienia orzechowego. – Lepiej przeczytać, niż ponownie się naciąć. – Włożyła pralinkę do ust.

– No lepiej.

Nalałam wina do kieliszków.

– Czyli odradzasz mi opuszczenie rodziny? – zapytałam, puszczając do niej oko.

– Odradzam.

– Może przestanę zadręczać się drobiazgami i dzielić rzeczy na ważne, dość ważne i gówno ważne.

– To byłoby najlepsze rozwiązanie.

Usłyszałyśmy trzaśnięcie drzwiami. Oczywiście nie pozostawiłam tego trzaśnięcia bez echa.

– Mówiłam, żebyście nie trzaskali drzwiami – rzuciłam ostro.

– Mówiłaś. – Mój starszy syn wszedł do kuchni. – Cześć, ciociu. – Krystek uśmiechnął się do Darii.

– Joł – powiedziała moja przyjaciółka.

Oboje spojrzeliśmy na nią jak na kosmitkę.

– No co?

– Joł – zaśmiał się Krystek, który uwielbiał moją przyjaciółkę.

– Lekcje zrobione? – zapytałam bez sensu.

– Mamoooo… – jęknął.

– No co?

– Jak tam twoje zajęcia hip-hopowe – zapytała Daria, czym zyskała przychylność mojego syna. Mój pierworodny chodził na zajęcia, na których tańczył hip-hop, a raczej kręcił się na głowie i plecach.

– Coraz lepiej, cioteczka. Widzę cię tam – powiedział, a ja poczułam się dotknięta, bo mnie mój syn nigdy nie widział na takich zajęciach. Ba, nawet mojego tatuażu wydziaranego na łopatce nie podziwiał.

Trochę sobie pogadali, a ja w tym czasie zmyłam naczynia. Tego wieczoru jeszcze kilka razy zadumałam się nad swoim życiem, nad moją rozmową z Darią.

Czasami zastanawiam się, czy my, kobiety, nie za dużo sobie wyobrażamy. Ba, czy my, współcześni ludzie, zbyt wiele nie oczekujemy od życia. Bo nowe telefony, dobre samochody, domy z klimatyzacją, marmurowymi podłogami. Przemeblowania. I my byśmy sobie czasami chcieli tak życie częściej odnowić. Bo w tym życiu jakoś nudno. A może jesteśmy już na tyle świadomi, że powinniśmy iść za głosem serca? I za tym, że jeśli chcemy sobie odnowić, to sobie odnawiamy?

Wzięłam prysznic, Artek też, a potem wylądowaliśmy w małżeńskim łóżku. Oboje rzadziej niż kiedyś mamy ochotę na łóżkowe igraszki. Wiem, gdzie mnie dotknie, on też wie, co ja zrobię. Taka przewidywalność. Ale może to i dobrze? Może nie zawsze trzeba mieć ekscesy? Czasami wydaje mi się, że taki małżeński seks w długoterminowych związkach jest taki, jakbyśmy czytali instrukcję

obsługi popsutej pralki albo tę samą książkę któryś raz z rzędu. Już nas tak nie kręci jak na początku.

Po numerku odwróciliśmy się do siebie i oboje zasnęliśmy. Ponoć tak wygląda życie.

Był sobotni poranek. Pospałam trochę dłużej. Kiedy weszłam do kuchni, Artek smażył jajecznicę. Chłopcy o coś się kłócili.

– Zjesz trochę? – zapytał mnie mój mąż.

– Zjem – powiedziałam, uśmiechając się.

Krystianowi się odbiło.

– Prosiak! – wrzasnął Szymek.

– Możesz nie bekać jak świnia? – rzucił w jego stronę Artur.

– Wieprz. Jestem samcem. Wolę być wieprzem niż świnią – odparł spokojnym głosem mój syn, pakując sobie do buzi kolejną porcję jajecznicy.

– Uspokójcie się! – zgromiłam ich. – Jak ktoś by was słyszał, pomyślałby, że to jakaś patologia.

– Mamusiu, wyluzuj. U każdego na chacie jest taka patola! – zaśmiał się Krystek. – U nas to jeszcze luz.

– Równaj w górę, a nie w dół – powiedział Artur.

Krystek z Szymkiem zaczęli się śmiać.

Do kubka nalałam kawę. Zapytałam męża, czy on też się napije. Ale powiedział, że otworzy sobie sok.

Chłopcy zjedli śniadanie, wstawili naczynia do zmywarki, po czym poszli do siebie. A ja poczułam się, jakby moja dusza opuszczała ciało.

– Jak minął dzień ? – Artek podał mi talerz z jajecznicą. Ja popijałam kawę i zaczęłam się śmiać. – Czemu się śmiejesz?

– Bo jem jajecznicę, którą zapijam białą kawą.

– I czym się tu przejmować? Skoro tak lubisz.

Skoro tak lubię… Uśmiech nie schodził mi z twarzy.

– Jakie plany mamy na dzisiaj? – zapytał.

Tyle razy już padło to pytanie przy tym stole. W ilu małżeństwach pada takie oklepane pytanie? Albo inne: „jak ci minął dzień?".

I co na nie odpowiadamy? Żalimy się na szefa dupka albo opowiadamy coś o jakimś projekcie. Narzekamy, że długa kolejka do kasy, że głowa nas bolała albo odpowiadamy: „dobrze".

– Trzeba jechać na budowę.

– I wezwać hydraulika, żeby podłączył nam zlew – dodał Artek.

Mówił coś jeszcze o dachu i rynnach, a ja chciałam mu wykrzyczeć, że mnie to wszystko smuci. Wcale mnie nie cieszy ten nowy dom ani to, że jem teraz jajecznicę, ani to, że każdy mój dzień wygląda, jak wygląda. Chociaż na pewno sporo ludzi zamieniłoby się ze mną na życie. Ja też bym się zamieniła z nimi.

– Widziałam wczoraj niesamowity zachód słońca. Był taki magiczny – powiedziałam w odpowiedzi na te rynny i ten dach. Naprawdę zachód wczorajszego dnia był fenomenalny. Wyobrażasz to sobie? Ludzie pędzą przed siebie. Centrum dużego miasta. Z telefonami przy uchu, a ty stajesz z tą swoją siateczką z zakupami i patrzysz, jak słońce chowa się za wysokimi wieżowcami tętniącego miasta. I może ktoś się na ciebie spojrzy i pomyśli, że baba oszalała. Może i ty się zastanowisz: „kurde, oszalałam". Bo powinnaś się pośpieszyć. Ale stoisz w tym swoim rozgardiaszu, w tej swojej codzienności i oglądasz ten zachód, i sobie myślisz: „coś innego. Coś dostrzegłam. Coś innego".

– Zachód słońca? Co ma zachód słońca do rynny?

Zachciało mi się płakać, kiedy tak na niego patrzyłam.

– Aha. – Artek spojrzał na mnie i pewnie sobie myśli, że nieźle mi już odbiło. Patrzę w te jego szczere oczy, na tę jego twarz, taką znajomą, i nie wiem sama, co mam mu powiedzieć. Że czuję samotność. Bo chłopaki mają swoich znajomych, swoje życie, że nie chcą się już tak często do mnie przytulać, że Szymek zaczął się mnie wstydzić pod szkołą. Że nie podniecam mojego męża tak bardzo jak kiedyś. Daria powiedziała mi, że to naturalna kolej rzeczy. Że ta namiętność i pożądanie gdzieś ulatują. Z czasem... A ja bym tak nie chciała. Ja bym

chciała, żeby dzieci mnie bardziej potrzebowały, a mąż pożądał. I powinnam może to sobie jakoś przetłumaczyć, że tak jak teraz mam, to mam dobrze. Ale nie potrafię.

I zamiast powiedzieć mu o tym szczerze, mówię mu, żeby napił się ze mną kawy.

Nie wraca już do mojego zachodu słońca, a ja nie pytam o dach, hydraulika i rynnę.

***

W poniedziałek odbyłam rozmowę w jednym z wydawnictw, dla którego miałam napisać kilka artykułów. Mój redaktor zlecił mi współpracę z cudowną psycholożką i terapeutką Anią.

– Piszcie o czym chcecie, byle tylko się czytało i klikało – powiedział.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie z Anią, bo od pierwszego zdania złapałyśmy wspólny język.

– Szefie, wypuścimy takie artykuły, że będzie się klikało. – Ania uśmiechnęła się do naczelnego zalotnie.

– No! – Podniósł do góry palec i po chwili zniknął za przeszklonymi drzwiami.

Zaparzyłam w kuchni kawę i rozłożyłyśmy z Anią notesy na stole.

Ania, podobnie jak ja, wypija hektolitry kawy.

Zanim zabrałyśmy się do pracy, uciełyśmy sobie pogawędkę.

– Co najbardziej nas dołuje? – zapytałam, otwierając zeszyt.

Ania upiła łyk kawy.

– Dołuje nas to, co powinno nas teoretycznie cieszyć. Czyli spokój ducha. Z jednej strony tak bardzo go sobie życzymy, z drugiej panicznie się go boimy.

– Bo wstajemy, szykujemy śniadanie dla dzieci i męża. Pijemy swoją kawę. Jesteśmy zdrowe. I tu nagle oczy nam zachodzą łzami i siup ryczymy, bo w sumie takie nie do końca szczęśliwe jesteśmy.

– Ale popatrz. Czy to nie jest tak, że my szukamy dziury w całym? Prowadziłam setki terapii z kobietami, którym takie zwyczajne życie przeszkadzało i wdawały się w jakiś gorący romans, żeby „coś jeszcze w tym życiu przeżyć". I miały te swoje przeżycia, które sprawiały, że poziom dopaminy się podnosił. Tylko takie romanse są dobre na chwilę, potem więcej w nich huśtawek nastrojów, niż to wszystko warte. A ich kochanek, który był na początku gorącym facetem, potem okazał się oczywiście zimnym draniem albo psycholem. I powiem ci, że jakieś osiemdziesiąt procent kobiet pyta potem siebie: „co mi się w tym moim dawnym życiu nie podobało?".

– Tylko my jesteśmy w pewnym sensie samotne.

– Bo wielu kobietom się wydaje, że mąż i rodzina zapełnią nam jakieś braki w systemie. A braków mamy całkiem sporo. Tylko że te dziury my same powinnyśmy sobie łatać. Mąż czy dzieci mogą dać nam narzędzia, igłę i nici, a resztę my dziergamy. Kolejna sprawa to to, że nam się ciągle wydaje, że jesteśmy niewystarczające. Niewystarczająco ładne. Tak, temat urody stawiam na pierwszym miejscu, bo dużo kobiet nie wierzy, że są piękne. I potem wychodzącą z tego hocki-klocki, bo one chcą tak bardzo przeglądać się w oczach innych mężczyzn. I robią to za wszelką cenę. Bo facet lubi blondynki, a one są brunetkami, i wtedy siup, zmieniają kolor włosów. I nie za dobrze się czują w blond, ale czego się nie robi, by mu się podobać. I to taki banalny przykład, ale tak jest. I to jest smutne. Bo nasze mamy i ojcowie mówili nam, że dziewczynka powinna być skromna, bo wiedza pierwsza, a uroda przeminie. Pewnie, że przeminie, ale dlaczego nie mamy się z niej pocieszyć?

– Wiesz, pamiętam taką sytuację z dzieciństwa. Sąsiadka powiedziała przy mnie do mamy, że ma ładną córkę, na co moja mama, żeby tak przy mnie nie mówiła, bo mi się w głowie poprzewraca. I moja mama zrobiła to z dobroci serca, ale ja sobie pomyślałam: jestem „niewystarczająca".

Ania przyniosła nam dolewkę kawy.

– Wiemy, o czym pisać. – Zrobiła jakieś notatki. Ja też w punktach wypisałam sobie wnioski z naszej rozmowy. – I tego kobiety potrzebują. Mamy dość słodkiego pierdzenia. Potrzebujemy prawdy i zapewnień ze strony innych kobiet: „ja też tak mam".

– A wiesz, co mnie jeszcze wkurza? – Postukałam długopisem o blat stołu.

– Hmmm?

– Wkurza mnie też, kiedy kobietom się mówi, że one muszą coś przetrwać. Przetrwać burzę, że jeśli mąż od ciebie odszedł do innej, to też masz trwać i dawać sobie radę. A czasami musisz się położyć i wyleżeć swój ból. Czasami nie masz siły trwać. Czasami chcesz po prostu poryczeć. Kiedy jesteś w żałobie, kiedy wali ci się zdrowie, kiedy ktoś na odcisk nadepnął. Cholera jasna, czasami nie da się trwać, zaciskać zębów i wkładać uśmiech numer dziesięć na twarz. Czasami trzeba zwinąć się na łóżku w kłębek i pochlipać sobie.

– Świetnie! – wykrzyknęła Anka. – Potrzebujemy właśnie takich artykułów.

– I jeszcze tego, że będąc mamą, też masz czasami dosyć macierzyństwa. I to nie jest tak, że nie kochasz swoich dzieci. Bo kochasz bardzo, bardzo mocno, ale po prostu czasami nie wyrabiasz. I chcesz spokoju albo od nich odpocząć. A potem kochasz tak bardzo, kiedy słodko śpią.

– I wiele kobiet potrzebuje takiego wsparcia. I zapewnienia „nie, nie jesteś złą mamą. Ja, ty i ona też tak czasami mamy".

– I nie ogarniamy.

– I mamy ochotę ukatrupić męża.

– Bo chrapie.

– Albo nie zmienił żarówki.

– Albo kupił bułki z sezamem, a mieszkacie pod jednym dachem od piętnastu lat i chyba powinien wiedzieć, że ty ten sezam niekoniecznie lubisz.

– I trzeba czasami odpuścić sobie i światu. Bo cokolwiek zrobisz albo czego nie zrobisz, to… świat i tak się nie zawali!

ROZDZIAŁ 10

Zbliżają się święta

Czytałam komentarze kobiet pod moim listem do świętego mikołaja i się uśmiechałam.

Nie spodziewałam się, że zostanie tak ciepło przyjęty.

Przeczytałam go jeszcze raz.

Drogi Święty Mikołaju, nie daj Bóg, śnięty!

Piszę do Ciebie, chociaż nie zawsze byłam grzeczna. Ale sądzę, że z Ciebie równy gość i zrozumiesz, że niekiedy nie opłaca się być zbyt grzeczną, bo i po co? Jak to mówią, życie zbyt krótkie, a ja musiałam czasem tupnąć nogą. I wydrzeć się też musiałam, kiedy tak mnie wkurzali.

Podjadałam ciastka na diecie.

Przedkładałam niekiedy swoje racje nad racje innych. Bo jak to, żeby moje nie było na wierzchu? Zgłupieć też mi się zdarzyło i fruwałam nad ziemią, zamiast stąpać twardo po tym padole.

Już od listopada czekam na Ciebie, widziałam już kilku mikołajów, ale nie byli Tobą. Ciebie to ja od razu bym poznała. Mam tak, że jak poznaję fajnych facetów, to ja ich tak łatwo nie zapominam.

W sumie nie proszę Cię o wiele, bo ja mam wszystko, czego mi potrzeba do szczęścia. No, prawie wszystko.

Może coś na zmarszczki, bo coraz głębsze? Ale, jak to moja przyjaciółka powiada, a ona mądrze gada, zmarszczki to mi się od nadmiaru wrażeń wyprasują, a takowych w ostatnim czasie nie brakuje. Więc nie, nie chcę nic na zmarszczki. Za wszelkie garnki też podziękuję. Nie wiem dlaczego, ale ostatnimi czasy podarowujesz mi sprzęt kuchenny. Książką nie pogardzę ani dobrymi pierniczkami, cudnymi bibelotami też nie, byle nie sitko czy noże.

I może zrobisz tak (wiem, że masz moc), żeby wszystkie skarpetki się znajdowały, bo nie wiem, jak to jest, że one gdzieś przepadają po każdym praniu. I żeby moi mężczyźni potrafili znaleźć w lodówce masło, które stoi na środkowej półce, i czapkę, która leży zawsze w przedpokoju... I aby mama – czytaj: ja, autorka – mogła czasami poleżeć w wannie, bez tego pukania i pytania „mama, co tam robisz? Bo sikać mi się chce". Zaznaczam, że wcześniej ta mama pytała, czy komuś się nie chce sikać, bo mama zajmuje łazienkę.

I gdybyś mógł usunąć z mojej drogi wszystkie klocki lego. Bo kiedy stąpam nocą do kuchni, by się napić wody, to gołą stopą muszę nastąpić też na jeden czy dwa klocki. A każda mama wie, jakie to uczucie w ten klocek bosą nogą...

I tych nastoletnich humorków niech będzie mniej.

Albo wiesz co? Nie zmieniaj tego, bo ja wiem, że żyję, wiem, że bez tego „mama", „Tatiana", „żono moja", jakoś by mi smutno było. A tak wiem, że jestem potrzebna. Choćby po to, by zwolnić łazienkę.

Czytasz i się zastanawiasz „o co tej babie chodzi?". A wiesz, że ta baba czasami też nie wie, o co jej chodzi? To może powinnam więcej chodzić? Muszę się pochwalić, że ostatnio robię więcej niż dziesięć tysięcy kroków.

Dwa lata temu otrzymałam od Ciebie odpowiedź, że nie da się, po prostu się nie da zrozumieć kobiet. Ja Cię nie proszę o to, byś zrozumiał wszystkie kobiety, bo to wręcz niemożliwe, ale jakbyś się postarał i trochę mnie zrozumiał, byłoby mi jakoś fajnie i lżej na duszy!

Mikołaju, ja Cię nie chcę stawiać w kłopotliwej sytuacji, ale chciałabym, byś przybył do mnie i w te święta wlazł kominem, zjadł ciastko, które dla Ciebie zostawię, i rozsypał jakiś magiczny pył, który sprawi, że przyszły rok będzie tak samo fajny jak ten. Trochę zwariowany, ale równie fajny. Mam tyle planów do zrealizowania i wierzę mocno, że z Twoją pomocą to wszystko mi się uda!

Mikołaju, i tą radością też sypnij, żebym umiała docenić to szczęście, które mam, bo czasem zapominam, a nie chcę zapominać, chcę nieustannie o tym pamiętać.

Za rozsądek podziękuję, bo ja lubię być czasami nierozsądna. Powagi nie potrzebuję, za dużo mamy ludzi nazbyt poważnych. Daj tej radości też innym ludziom. I zdrowia, i szczęścia, dla każdego uszytego na miarę.

I żebyś mi tak szepnął na uszko, dokąd iść trzeba, bo dokąd nie trzeba, to ja sama polezę. Tak już mam. Ale wiesz, że czasem fajnie zboczyć z drogi?

Ty to musisz wiedzieć, tyle już latasz po tym świecie i założę się o wszystko, że raz czy dwa zboczyłeś z obranego kursu.

Czekam na Ciebie!

Z uściskami

Tatiana (Ty wiesz która)

PS I spraw, by czekolada nie była tak kaloryczna.

Zamknęłam laptop, usadowiłam się na sofie i zaczęłam przeglądać Instagrama, zamiast sprzątać. Kiedy oglądam zdjęcia na Instagramie, to wydaje mi się, że u wszystkich święta wyglądają bajecznie, tylko nie u mnie. U mnie jest mydło i powidło, i zaganianie chłopaków do sprzątania, kiedy im się „nie chce". Więc mi też się nie chce.

Przeglądałam zdjęcia choinek. W tym roku na tapet wchodzą bombki w kolorze majtkowego różu, w zeszłym panowała biel, dwa lata wcześniej złoto ze srebrem. A teraz rządzi majtkowy róż z domieszką metalicznej szarości.

Moja choinka przy tej majtkowej wyglądała jakoś tak nie na czasie. Wszystko na niej było. Zanim owo „wszystko" znalazło się na niej, zastanawiałam się, czy może nie pójść w te róże, ale chłopaki pokręciły głowami. Tak więc na mojej choince znalazły się i papierowy łańcuch, i gliniane aniołki, i orzechy, a na dokładkę plasterki krzywo uciętych pomarańczy. I siedziałam sobie na kanapie, i gapiłam się to na ekran komórki, to na moją choinkę, i pomyślałam sobie, że jednak jestem oryginalna. I nasza choinka jest na swój sposób naprawdę ładna.

Zadzwoniłam do Darii, która w tym roku po raz pierwszy postanowiła wyprawić wigilię u siebie. Jej mama na wieczerzę zapraszała co roku swoje siostry z rodzinami, tym razem pałeczkę przejęła moja przyjaciółka.

– Co u ciebie? – zapytałam, po czym włożyłam sobie do ust lizaka.

– Nie ciamkaj mi do słuchawki – fuknęła Daria.

– Jesteś w złym humorze?

– Rybę zjebałam.

– Jak to „zjebałaś"?

– Przesoliłam i się rozpadła podczas smażenia. A wiesz, chciałam dobrze wypaść.

– To pominiesz rybę.

– Kutię też zwaliłam, makaron się rozpadł.

– Zawsze możesz zamówić catering. A ja zlew zatkałam.

– Chyba już mi o tym mówiłaś jakiś czas temu? – Daria chrząknęła.

– Nie, to było dwa dni temu. Artur go odetkał. A ja go znowu przytkałam. Pewnie kapucha się tam dostała.

– Hmmm…

– Zjadłam jeszcze zawartość bombki Rafaello. A potem sobie przypomniałam, że tymi pralinami miałam udekorować tort.

– I co?

– Nie udekorowałam. Jest tort zimowy bez zimowych pralin. Wiesz, to miały być kulki śniegu.

Parsknęłyśmy śmiechem, bo obie dostrzegłyśmy surrealistyczny wydźwięk naszych opowieści.

– Wiedziałam, że mnie pocieszysz.

– Od tego jestem, kochana, od tego jestem. W dodatku mam dwie wigilie, jedną z teściową, drugą z moją mamą. I teraz mamy problem, która przed którą. I powiem ci, że za rok jadę na Kanary na okres świąteczny.

– Mówiłaś tak w zeszłym roku i dwa lata temu.

– Ale za rok o tej porze, nasz dom będzie już wykończony i będzie mnie stać na Kanary…

Zaczęłyśmy się śmiać.

***

Wigilię jakoś przetrwaliśmy, za to pierwszy dzień świąt postanowiliśmy spędzić tylko we czwórkę. Wymyśliłam, że pójdziemy na rodzinny świąteczny spacer, ale napotkałam mur obojętności.

– Święta są po to, by odpoczywać – usłyszałam od Szymka.

– I spędzać je rodzinnie. Czy ja zawsze muszę toczyć wojnę z wiatrakami? – zapytałam, chociaż nie spodziewałam się odpowiedzi.

Miały być piękne rodzinne święta, takie wręcz instagramowe. Zaczęłam to sobie wyobrażać: idziemy we czwórkę, trzymając się za

ręce. Nie no, teraz to już ostro odjechałam. Nie wyobrażam sobie, byśmy we czwórkę trzymali się za rączki. Na tę myśl sama się do siebie uśmiechnęłam.

– Czy muszę iść z wami? – jęknął mój starszy syn, zdejmując słuchawki.

– Fajnie, by było gdybyś poszedł, spędzimy rodzinny czas – powiedziałam spokojnym głosem. Jeszcze się uśmiechając.

– Co ty masz z tym spędzaniem razem czasu? – Leżał taki rozwalony w pieleszach. Godzina dziesiąta, a mnie normalnie trafiało.

– To, że miło jest coś razem zrobić. Raz w tygodniu można.

Westchnął.

Poszłam do sypialni, gdzie z kolei mój mąż gnił sobie na wyrku i przełączał kanały. A byłam przeciwna telewizorowi w sypialni. Nie wiem, po jakiego grzmota mielibyśmy oglądać telewizję w sypialni.

– Mieliśmy iść na spacer – zaczęłam.

– A gotowi jesteście? – Pstryk.

– Pogadaj z Krystianem, on nie chce iść.

– To niech nie idzie. Po co go zmuszasz?

– Bo chcę rodzinnie spędzić czas – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

Czemu nikt mnie nie rozumie? Spojrzałam na Ginger, która łasiła się do Artka. *Zdrajczyni* – pomyślałam.

– Jesteś terrorystką – stwierdził mój mąż, uśmiechając się szeroko.

– Zbieraj się, bo jak sama stąd wyjdę, to obiecuję wam to, że już nigdy do was nie wrócę.

– Straszysz nas tak od kilku lat.

– W końcu to zrobię! – fuknęłam w duchu świątecznej miłości.

Wyszłam z pokoju i zajrzałam do kuchni, gdzie Szymek siedział przy stole i grał w jakąś grę na tablecie.

– Wyłącz to, wychodzimy na spacer.

– Są święta, nie chce mi się… – jęknął młodszy syn.

Miałam ochotę wrzeszczeć. I zrobiłam to, darłam się na całe gardło, że jeśli za dziesięć minut nie wyjdziemy, to od nich odchodzę i więcej mnie nie zobaczą.

Usłyszałam głos mojego męża:

– Ruszaj dupę, widzisz, co się z matką dzieje! – To do Krystiana, który burczał coś pod nosem, ale w końcu zwlekł się z łóżka. Szymek pobiegł do łazienki, aby być tam przed ojcem i starszym bratem.

Pół godziny później wyszliśmy na zewnątrz. Poszliśmy do pobliskiego parku opatuleni po same uszy, bo temperatura spadła grubo poniżej zera. Ponoć istnieją dwa rodzaje kobiet. Te, które zimą mimo mrozu, doskwierającego zimna wyglądają pięknie w krótkich futerkach, rozpiętych kurteczkach, spódniczkach i długich kozaczkach na cieniutkiej szpileczce. Drepczą niczym nimfy, przeskakując oblodzenia. Nie straszne im śnieg, lód ani mróz. I te, które wkładają puchowe kurtki i włochate czapy. A także buty niczym śniegowce na wyprawy w góry. W takim ekwipunku wyglądają jak bałwany.

Ja zaliczam się do grupy puchowych kurtek i czap. Szczególnie zimą nie chce mi się być piękną. Kiedyś mi się chciało. Dziś stawiam na wygodę i żeby mi było ciepło w uszy, ręce, dupsko. Włożyłam kozaki na grubej podeszwie, z futerkiem, kurtkę sięgającą kolan, puchową, cieplutką. Na głowę gruba czapa, na szyję szalik, a na dłonie grube, wełniane rękawice. Idę sobie dumnie i jest mi ciepło i wygodnie. Czasy kusych kurteczek odsłaniających nerki i zdejmowania czapki, gdy tylko mama nie widzi, bezpowrotnie minęły.

***

Szymek znalazł jakiś kij i szturchał nim brata. Krystian nie wytrzymał i go popchnął. Młodszy mu odpyskował.

– Chłopaki, nie wstyd wam?! – zawołałam za nimi. Bo mi za nich wstyd.

Odpowiedział mi stłumiony śmiech męża. W parku było pięknie. Zima w tym roku dopisała. Lekki mróz skuł stawik. Słońce przebijało się przez ośnieżone gałęzie drzew.

Wyjęłam telefon i robiłam zdjęcia.

– Może strzelimy sobie wspólne foto? – zaproponowałam rodzinie.

– Ja to bym coś zjadł – odpowiedział Szymek.

– Oooo, to toto. – Mój mąż wskazał budę z hot dogami.

– Najlepszy punkt programu. – Krystian zatarł ręce.

We trzech wiedzeni zapachem hot dogów i hambugsów poszli do białej budy, zostawiwszy mnie z telefonem, którym chciałam zrobić piękne zdjęcie.

– Chcesz coś mamo? – Mój najmłodszy syn ma na tyle przyzwoitości, że zapytał. W sumie ja też zgłodniałam. Miałam ochotę na hamburgera z różnymi sosami, z serem i podsmażaną cebulką.

– Hambugsa bym zjadała – rzuciłam.

– Przecież się odchudzasz. – Mój mąż pokręcił głową.

– Dzisiaj nie, są święta. – Byłam na niego zła, że wytyka mi moje plany dietetyczne przy dzieciach.

– Mamo, bądź konsekwentna – śmiał się Krystian.

– No to nic nie chcę. Odwalcie się.

Kilka chwil potem Krystian wręczył mi hambugsa.

– Jeszcze cieplutki, dla naszej kochanej mamy.

– Odwalcie się – burknęłam pod nosem.

– Ładnie to tak, by matka tak się do dzieci zwracała? – Jakiś starszy mężczyzna pokiwał głową z politowaniem. – Taki wstyd. Taki wstyd… – ciągnął staruszek, a ja czułam, że się rumienię.

– Przez was wychodzę na jakąś patologiczną matkę – powiedziałam, kiedy starszy pan był już poza zasięgiem. Wzięłam w rękę hamburgera i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Hamburger był wyśmienity. Mięciutka bułeczka, serek roztopił się pod gorącym mięskiem. Ogóreczek i cebulka świetnie się razem komponowały. No żyć nie umierać.

Zjedliśmy, obeszliśmy park dwa razy dookoła. Artek pocałował mnie w policzek. Szymek rzucił śnieżką. Nieidealnie. No nieidealnie, ale zajebiście. I chociaż wkurzają mnie tak, że czasami mam ich ochotę rozszarpać, to jednak ich szalenie kocham.

***

Nowy rok zaczęłam z przytupem. Tak sobie postanowiłam. Żadnych przeszłych dram, utyskiwań. Co będzie, to będzie. Najpierw wizyta u lekarza. Kiedy weszłam do gabinetu, starałam się sobie usilnie przypomnieć, kiedy goliłam pachy. Bo nogi i okolice bikini dzisiaj, ale pach chyba nie goliłam. Czy może goliłam? Na wszelki wypadek nie będę podnosiła do góry ręki. Właściwie po co miałabym ją podnosić?

Doktor zadał kilka pytań.

– Tylko gardło. Silny ból, i to taki, że nie mogę przełykać… – poskarżyłam się.

– Kaszel? Katar?

– Nie.

– Dobrze, proszę się rozebrać. Zbadam panią.

Pan doktor osłuchał mnie stetoskopem, sprawdził gardło patyczkiem, węzły chłonne na szyi i pod pachami. Pachy nieogolone. Jaki obciach! Uśmiechnęłam się niemrawo. Doktor młodszy ode mnie z dziesięć lat odwzajemnił uśmiech.

– Węzły chłonne w porządku, tylko migdały zainfekowane. Przepiszę antybiotyk – powiedział ciepłym tonem, nie przestając się uśmiechać.

– Dziękuję. – On nadal się uśmiechał. I ja też, by pokryć zażenowanie.

Po dwóch dniach czułam się względnie dobrze. Na tyle, by móc coś popisać:

Przyszedłeś.

Taki przyczajony… Niczym przyczajony tygrys, ukryty smok.

Świeżynka taka.

Bez starych naleciałości.

I chciałoby się powiedzieć: bo z Tobą zaczynam od nowa.

Ale wiem, że nie zrobisz „pstryk" i wszystkiego nie rozwiążesz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

No co ty… bo tak się nie da.

I będzie dobrze, ale będzie też źle.

Po prostu będzie, jak będzie. I trzeba będzie jakoś na klatę wziąć.

Nie można od Ciebie, świeżaku, za dużo wymagać, bo co, jeśli nie udźwigniesz. Od siebie powymagam.

Stary trochę nas przeczołgał: pod górę, z góry, daj, Młodziaku, trochę nam odpocząć.

Nie będę nadawała na Staruszka, że było tak cholernie źle, bo mimo tego całego popaprania odnalazłam swoje szczęście… swoją drogę.

Mimo iż dał mi tak w kość jak żaden jego poprzednik.

Niczego nie żałuję.

Dziękuję mu, za każdy oddech, każde piękne spotkanie, nawet za wylane łzy…

Za dobro, jakiego doświadczyłam od ludzi.

Koniec o Starym. Ty, mój nowo narodzony…

Co przyniesiesz?

Czym sypniesz?

Czym polejesz?

Daj nam zdrowie.

Trochę zachwytów.

Spokojnych powrotów do normalności.

Mniej załamań.

Miłości.

A gdy będzie ciężko, spraw, byśmy mogli pojechać/pójść/potruchtać w takie miejsce spokoju, gdzie usiądziemy z daleka od wszystkiego i zastanowimy się, czy warto.

Daj nam więcej zrozumienia dla siebie i innych.

Bo to, że ktoś się uśmiecha, nie znaczy, że nocami nie płacze w poduszkę.

To, że ktoś odniósł sukces, nie oznacza, że nie jest poturbowany.

Każdy, ale to każdy ma swoje bolączki.

Daj nam też:

uśmiechu,

przytulania,

i chwil z bliskimi.

Odwiedzin bez zakazów/nakazów...

Chcę, byś każdemu z nas powiedział: poradzisz sobie, jak zawsze!

Oj, i gdyby tak za Twojego panowania wygrały lojalność, szacunek i prawda, byłoby naprawdę miło.

Naucz nas, żeby porzucić bagaż przeszłości: żal, pretensje, wspomnienia.

I porzucić bagaż przyszłości, który bez sensu dźwigamy na swoich barkach: oczekiwania i wszelkie wymagania.

Byśmy potrafili docenić to, co mamy.

Czesław Miłosz w *Dolinie Issy* napisał: „Nie myśl, człowieku, jakie inne byłoby twoje życie, bo inne byłoby nie twoje".

Nie robię postanowień noworocznych. Nie lubię. Lubię, jak wychodzi w praniu. Wiem jedno: chcę pozostać sobą. Pragnę zdrowia dla siebie i swoich bliskich. I by mieć tę miłość, którą noszę w sobie.

A co będzie, to będzie.

Bo było...

No było...

Była awantura o chuj wie co.

Było.

I tak do dupy, że miałam napuchnięte powieki od wylanych łez.

Ale przyniosłeś też chwile radości, śmiechu i światło w napotkanych ludziach.

Ktoś odszedł, ktoś inny przyszedł.

Ktoś mnie potwornie zranił i nie miał odwagi powiedzieć „przepraszam".

Coś się zaczęło, ale też skończyło.

Nauczyłam się jednego: nigdy nie oceniaj ludzi po tym, co o nich słyszałaś/słyszałeś od innych. Porozmawiaj, poznaj, a potem wyraź swoje zdanie.

Jeśli chcesz kogoś o coś zapytać, pytaj, a nie obrabiaj mu zad za plecami.

Wiadomości szukaj u źródła.

Wiem też, że jeśli ktoś zadał ci ból, to życie rozliczy go z każdej Twojej łzy… Każdej.

Przekonałam się, że przyjaźń i miłość mają przeogromną moc: na dobre i na złe, na lojalność, na podły poranek i cukierkowe popołudnia, na wyciągnięcie ręki…

I zdrowie – jak go nie ma, jest naprawdę źle.

Wiem, co to bezsilność, taka, że trudno podnieść się do życia, ale wiem też, co to ogromna siła, która sprawia, że jednak się nie poddajesz.

Poznałam fantastycznych ludzi, którzy robią takie rzeczy dla innych, że aż mi dech zapierało.

Doświadczyłam prawdziwego wsparcia od ukochanych osób, które ze mną były, każdego dnia!

Co jeszcze.

Było…

Kilka tupnięć nogą.

Kilka znaków zapytania, wykrzykników, kropek.

Słońce/deszcz/zawierucha/rozpierducha.

Nadal nie wiem, co oznacza hashtag #pornfood, ani nie ogarniam TikToka. Chociaż mi to do szczęścia niepotrzebne.

Byłam na kilku imprezach w krzakach.

Po ciemku szukałyśmy koreczków i w końcu nie wiedziałyśmy, czy jemy koreczki z pieczarką, czy może jednak ślimaka.

Śpiewałam na całe gardło „co mi, Panie, dasz w ten niepewny czas".

Wzruszałam się: bo czyjeś słowa, bo empatia, bo ręka, która trzyma drugą dłoń. Bo spacer, bo rozmowa, bo… czyjeś serce. I czyjaś ciężka praca.

Szybowałam w przestworzach.

Zaliczyłam upadek.

Śmiałam się, że mi tchu brakowało, ale też chlipałam w poduszkę.

Wywaliłam z prywatnego fejsa ludzi, z którymi mi nie po drodze, z którymi nie utrzymuję kontaktu, którzy są znajomymi z fejsa, ale w realu to nawet „cześć" nie powiedzą.

Odetchnęłam pełną piersią, potem włożyłam maseczkę i znowu myślałam, że się uduszę.

Nie oglądam się za siebie. Już nie. Zaufaj mi, tak lepiej. Nie wrócisz do tego, co było, choćbyś tego bardzo chciała. Wszystko, co masz, to dzisiaj. A co się wydarzy jutro – tego nawet bogowie nie wiedzą.

ROZDZIAŁ 11

Historia pewnego buziaka

Jestem całuśna i nic na to nie poradzę. Moi domownicy uciekają przed moimi pocałunkami. Wieczorem jeszcze mogę sennego młodego wycałować, bo starszy z małżonkiem już tacy niekoniecznie są nastawieni do moich buziaków. Więc kiedy mój Szymonek odlatuje w objęcia Morfeusza, ja wtedy go cmokam. Mimo że już ma dziewięć lat, kiedy śpi, dostrzegam w nim jeszcze tego malutkiego Szymusia, dwu- i trzyletniego, który wtulał się we mnie. A teraz? Teraz to on już odgania się ode mnie jak od natrętnej muchy.

Nie ma mowy o pocałunkach przy kolegach ani przed bramą szkoły. On się wręcz wstydzi tych moich pocałunków.

Ocknęłam się ze snu. Poczułam, że ktoś wbija mi w żebra stopę. Otworzyłam jedno oko, potem drugie i zdałam sobie sprawę, że to mój młodszy syn wgramolił się do łóżka, zajmując większą jego powierzchnię. Pocałunków to nie chce, ale raz na jakiś czas jeszcze z nami śpi. Popatrzyłam na niego z czułością i nagle usłyszałam za plecami głos:

– No nareszcie!

Obróciłam głowę, a nade mną stał mój starszy syn.

– Krystian! – krzyknęłam. – Czemu nade mną stoisz i się we mnie wgapiasz? – To naprawdę było takie przerażające.

– Czekałem, aż wstaniesz. – Wzruszył ramionami.

– To mogłeś mnie obudzić, zamiast wgapiać się w matkę.

– Wiedziałem, że zaraz wstaniesz.

– Skąd? – Czy już powinnam zacząć się bać własnego dziecka?

– Bo nie śpisz dłużej niż do siódmej trzydzieści.

Spojrzałam na zegarek i ogarnęła mnie panika. Była siódma trzydzieści sześć. W porę przypomniałam sobie, że dzisiaj jest niedziela. Błoga rodzinna niedziela. Czyli gotowanie rosołu, bo tak ich przyzwyczaiłam. Ale w sumie ja ten rosół lubiłam gotować. Rodzinne granie w planszówki, mecz Krystiana.

– Dlaczego czekasz, aż wstanę? – szepnęłam, bo nie chciałam obudzić Szymona. Niech śpi jak najdłużej. Bo kiedy wstanie, będzie głodny. A ja potrzebowałam przed jego śniadaniem wypić w spokoju kawę.

– Bo nie wiem, gdzie jest mój strój piłkarski.

– A dlaczego nie możesz go poszukać?

– Szukałem i nie znalazłem. Mamooo… – jęknął.

Odsunęłam na bok stopę mojego młodszego syna. *Matko, nie wiedziałam, że spocona stopa dziecka może tak śmierdzieć* – pomyślałam, po czym wstałam.

– Idziesz boso – zwrócił mi uwagę Krystek.

– No i?

– Zawsze się drzesz, jak my chodzimy boso.

Miał rację. Krzyczałam na nich, kiedy biegali po zimnej podłodze bez kapci. Poczułam podirytowanie. Jak to łatwo wpaść w sidła swojego czczego gadania.

– Znajdę ci ten strój i włożę kapcie.

– Rób, jak chcesz. – Wzruszył ramionami i odsunął z czoła kilka kosmyków włosów. – Tylko nie zwracaj nam potem uwagi.

– Gdzie ojciec? – zapytałam.

– Grzebie coś w samochodzie.

– Nie mogłeś jego zapytać o strój?

– Przecież on nie wie – stwierdził.

– Co wy byście beze mnie zrobili? – zapytałam retorycznie, a potem złapałam się na tym, że zachowuję się jak moja własna teściowa. Ona

wiecznie biadoliła o tym, co zrobimy, kiedy ona umrze. Właściwie za życia nie mamy z nią zbyt dobrego kontaktu, więc to jej mielenie językiem jest w sumie bezsensowne.

Bardzo kocham swoją rodzinę, ale niekiedy zdarzają mi się chwile, że mam ich wszystkich po dziurki w nosie. Obserwuję różne strony na fejsie. Te mądre strony. I tam ktoś powiedział, że mam prawo do takich odczuć, a więc ja sobie na nie pozwalam i cieszę się, że w tym całym shicie znajduje się ktoś, kto myśli podobnie do mnie.

Znalazłam nieszczęsny strój piłkarski, który wisiał w łazience, na suszarce. Wystarczyło go tylko zdjąć.

– Nie widziałeś?

– Sprawdzałem w szafie.

Pokręciłam głową i weszłam do kuchni. Wypiłam kawę, zrobiłam śniadanie.

Kilka chwil później siedzieliśmy z dzieciakami przy stole.

– Tata zaraz przyjdzie – powiedział Szymon, pakując do buzi kolejną porcję kulek czekoladowych. Obiecywałam sobie solennie, że od poniedziałku będą się zdrowo odżywiać, ale poniedziałki mijały, a ich nawyki żywieniowe wciąż były nie najlepsze. Kiedy próbowałam zaserwować rodzinie coś zdrowego na śniadanie, napotykałam opór. W ciągu dnia natomiast przemycałam im w pożywieniu warzywa i owoce. Więc podsumowując, nie było aż tak źle, ale zawsze mogło być lepiej.

Do kuchni wszedł Artek, który nachylił się nade mną i pocałował mnie w ucho.

– Fuuu – skrzywił się Szymon.

– To normalne, kiedy dwoje ludzi się całuje – powiedział Artur, puszczając do syna oko.

– No, ale w waszym wieku to chyba już nie – dodał Krystian.

– W ucho? – zaśmiał się Szymon.

Chwilo, trwaj. Rodzinna sielanko!

Grzanki wyskoczyły z tostera, a ja położyłam je na talerzyku. Posmarowałam masłem i dżemem.

– Jem tosty bez masła – wybrzydzał Krystek.

– Jezuuu, masz siedemnaście lat i matka ci usługuje. – Artur klepnął syna po plecach.

– Tobie też robi śniadanie. – Krystian przewrócił oczami, a na jego twarzy pojawił się ten szelmowski uśmieszek charakterystyczny dla nastoletniego wieku.

– Też mamie gotuję, a ty nie – odbił piłeczkę Artek. Zachowywali się jak dwa koguty.

– Ciii.– Wiedziałam, że muszę ugasić ten spór, bo zaraz wybuchnie awantura.

– Krystek całował się z dziewczyną! – Szymek odłożył łyżkę i spojrzał na nas. – I to jest miłość! Mój brat się zakochał! – Szymek był wyraźnie rozbawiony. Myślałam, że Krystian zadławi się tostem. W kuchni zapanowała cisza.

– Zamknij się! – Krystian był wyraźnie wkurzony na brata.

– Wpychał jej rękę pod bluzkę. Widziałem ich pod klatką! – Młodszy syn był wyraźnie zadowolony, że cała uwaga jest na nim skupiona.

– Ooooo… – wyrwało się mojemu mężowi, jakby pozazdrościł synowi tej chwili. U nas w związku od lat nie było takiej spontaniczności. Poza tym u kogo z takim stażem jest spontaniczność.

– Jeśli jesteś zakochany… – Złapałam kubek, bo nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Nie jestem – rzucił jakby od niechcenia, ale ja zauważyłam już ten rumieniec, który malował się na jego policzkach.

– Więc po co ją całujesz? – zapytałam. Dla mnie to byłoby niedorzeczne całować się z kimś, do kogo nie żywi się żadnych uczuć.

– Bo lubię… I ona najwidoczniej też. Sama mi to zaproponowała. Nie zrobiłem nic wbrew jej woli.

– Jezuuu. Co za czasy… – Odstawiłam kubek na blat.

– Mamo, skończ. – Krystian wstał od stołu. Mój mąż też.

– Zawiozę cię na mecz – zwrócił się do syna.

– Luz… – odpowiedział Krystian.

Zostałam zastygła w jakiejś dziwnej pozie. Czy to tak teraz wygląda? Luz, pocałunki ot tak, dla funu? W jakim ja świecie żyję?

Chciałam coś powiedzieć, ale Szymek, „kapuś rodzinny", zapytał:

– Co to jest? – Stał nad otwartym koszem na śmiecie.

– Zamknij to, bo wali! – krzyknął mój drugi syn.

– Co? – Podeszłam do młodszego syna, a on ręką wskazywał na papierki po czekoladowych cukierkach.

– Papierki. – Poczułam, jak rumieniec wpełza na moje lico.

Wczoraj wieczorem o dwudziestej powiedziałam moim synom, że na noc się nie je słodyczy. Skomleli, ale byłam twarda, po czym o godzinie dwudziestej zero pięć cichaczem sama zjadłam dwa cukierki.

– Jadłaś wczoraj cukierki czekoladowe? – Szymek spojrzał na mnie z politowaniem i pokręcił głową.

Artek chrząknął, a Krystek dodał:

– Mamo, ty i to twoje odchudzanie.

– Zjadłam – przyznałam się do winy.

– Oj, mamo, mamo. – Mój syn pokręcił głową.

Wszyscy wyszli z kuchni, a ja stałam jak ten kołek, z poczuciem winy, bo napchałam się na noc cukierkami. I z myślami kręcącymi się wokół współczesnych związków.

Chciałabym, żeby moi synowie nie wykorzystywali dziewczyn. Tylko że tej dziewczynie widocznie taki układ odpowiadał. Muszę pogadać z Krystianem na ten temat. O emocjach, uczuciach. O tym, co ważne. Jutro. A dziś… Zjem jeszcze jednego cukierka. Tak na osłodę.

ROZDZIAŁ 12

O dobrych radach cioci kloci

Mam taką ciocię. Teresę. Ciocia Teresa lubi uszczęśliwiać innych swoimi dobrymi radami. Bo przecież ona już tyle przeżyła, że wie najlepiej co i jak. Nie zliczę, ile gorzkich słów od niej usłyszałam. Zaczęło się od tego, że nie powinnam rodzić dziecka w tak młodym wieku, bo jeszcze tyle przede mną, a ja pakuję się w pieluchy. Kiedy urodziłam drugie dziecko, to ciocia Tereska rozkładała ręce, że za późno. Po trzydziestce to już powinnaś mieć odchowane dzieci, a nie pakować się w kolejną ciążę.

Ciocia Teresa czepiła się też mojej pracy. Bo praca na etacie powinna być, a ja byłam bezetatowa. A etat to rzecz święta. Zaproponowała mi, że mogę stemplować listy na poczcie (gdzieś już to słyszałam), jakby mi nie wyszło z tymi tekstami do gazet, portali i z tymi tłumaczeniami.

I mnóstwo takich doradzaczy, którzy rozwalą twój system nerwowy albo ci solidnie dowalą. Sąsiadki obgadywaczki, życzliwe koleżanki i lepiej wiedzący koledzy.

Zastanawia mnie dlaczego.

Po co udzielać rad innym, i to nieproszonym?

Są też rady typu „teraz to jeszcze nic, zobaczysz, co będzie potem" albo „czemu obrączki nie nosisz?", albo „jedno dziecko? Lepiej dwoje".

„Po co ten tatuaż, ten kolczyk w pępku?"

Bo tego chcę, bo o tym marzyłam. Bo to moja sprawa i broszka – mam czasami ochotę powiedzieć.

„A jak się pomarszczysz?" Będę pomarszczona z kolczykiem w pępku i tatuażem.

Są też rady typu „po co tyle beczysz?”. To wtedy, kiedy on odchodzi w siną dal albo kiedy mam problem z dzieckiem, albo kiedy po prostu coś mnie wzrusza. Beczę i już. I mam do tego prawo. I proszę, ciociu Teresko, i inna pociotko, i życzliwa sąsiadko, nie bagatelizujcie moich lęków, traum, obaw. I nie mówcie: przestań beczeć. Bo skoro beczę, to znaczy, że na łeb mi niebo runęło.

A czasem, jak wyśpiewuje Kayah z Pezetem, nisko jest niebo. I czasem nam to niebo na głowę spadnie i niekiedy jest na nim milion burzowych chmur. I muszę sobie to jakoś poukładać. A wcześniej i ten deszcz mnie zmoczy.

I to co, że mam kilka kursów skończonych, kilka dyplomów za mną, kilka eventów, webinariów? Mów motywacyjnych. Życia sama muszę się nauczyć. Musi mnie sparzyć, musze przełknąć trochę żółci i zrzygać też się muszę.

Kolejny tekst cioci Teresy jest taki: „Kiedy będziesz w moim wieku…”. Kiedy będę w twoim wieku, to co? A może nie dożyję. A jeśli dożyję, może inaczej będę zapatrywała się na różne sprawy. Tego nie wiemy ani ja, ani ciocia Teresa.

Jeśli macie takie Tereski w rodzinie, szanujcie, posłuchajcie, ale jednym uchem wpuśćcie, drugim wypuśćcie.

Oczywiście, że czasami sami poprosimy kogoś o radę. I wtedy tak, porada jak najbardziej wskazana. Radzę się mojej przyjaciółki Darii. To ona jest moim katalizatorem, moją trampoliną moją przyjazną duszą.

Razem się śmiejemy, razem beczymy. To ona była ze mną, kiedy odeszły mi wody płodowe. To ja ją tuliłam, kiedy kolejny złamas wykorzystał jej dobre serce.

Czasem sobie coś wizualizujemy. Na przykład to, że ośmieszamy wspólnego wroga. Razem klniemy na czym świat stoi, a raz się tak pokłóciłyśmy na środku ulicy, że się omal nie pobiłyśmy. Ja ją uszczypnęłam, a ona mnie pociągnęła za włosy.

Życie nas zmienia, ale nasza przyjaźń trwa. A jej rady są dla mnie bezcenne. Oczywiście, nie zawsze się z nimi zgadzam, czasami mam je

w poważaniu, a potem okazuje się, że i tak ona miała rację. Bo Daria ma po prostu nosa do różnych spraw i tak zwanego czuja.

***

– Wychodzę – rzucił do mnie Artek.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek. – Uśmiechnął się przebiegle. – Nie chcę wam przeszkadzać w babskich pogaduszkach. – Widziałam, że powstrzymuje śmiech.

– Nie odchodź – powiedziałam teatralnym głosem. Nie chciałam, by znikał i zostawiał mnie z ciocią Teresą sam na sam. W ogóle powinnam być bardziej stanowcza i odmówić jej spotkania. Przecież nie miałam na nie ochoty. Ale odezwała się we mnie ta Tatianka, której głosik szeptał: „przecież ciocia Teresa jest samotna i potrzebuje się wygadać".

Kilka minut później siedziałam naprzeciwko cioci Teresy, która pożerała drugi kawałek mojego ciasta. Wyglądało na to, że jej smakuje, ale widocznie nie za bardzo, bo się w końcu odezwała:

– Trochę zakalcowate.

– Nie wydaje mi się, ciociu. – Specjalnie położyłam nacisk na słowo „ciociu".

– I za słodkie – dokończyła, po czym nałożyła sobie na talerzyk trzeci kawałek. Nie no, nie żałowałam jej, ale po co wtrąca takie uwagi, skoro pożera moje wypieki w zastraszającym tempie.

– Jak, ciociu, u ciebie?– zagadałam. Znacie te wszystkie rozmowy z ciociami i wujkami, na które tak naprawdę nie macie ochoty? Rozmowy o niczym, bo różni was wszystko, a temat się nie klei.

– Tatianka, no u mnie stara bieda.

– Dobrze, że nie nowa, ciociu. – Byłam lekko ironiczna. Też nałożyłam sobie kawałek ciasta.

– Tatiana, bo mąż cię zostawi – wypaliła nagle ciotka, a ja zastygłam w bezruchu, zastanawiając się, dlaczego Artek miałby mnie porzucić. Może ciotka coś wie.

– Dlaczego?

– Widać, że ostatnio ci przybyło.

– Co mi przybyło?

– Kilogramów i zmarszczek.

O ty, babolu jeden – pomyślałam nieprzychylnie o ciotce. Pani idealna się znalazła. Zastanawiają mnie tacy ludzie – przychodzą do kogoś w gości i jadą po nim jak po łysej kobyle. Przypomniał mi się tekst, który wykorzystałam kiedyś w swoim artykule: „możesz pozwolić ludziom, żeby po tobie chodzili, a oni nadal będą narzekać, że nie leżysz dość płasko".

– Artek też nie młodnieje.

– Mijałam go na klatce. – Ciocia siorbnęła i odłożyła na spodek filiżankę. – Powiem ci, że mężczyzna w średnim wieku, to jednak ciacho. My, kobiety, mamy gorzej. On to ma prezencję. Trochę posiwiał na skroniach, ale powiem ci, że to dodaje mu uroku. Uważaj, Tatiana, i ja na twoim miejscu nie jadłabym tego ciasta.

Ciasto mi zbrzydło od tych wywodów ciotki.

– A gdybym to ja sobie kogoś znalazła?

– Tatiana, dziecko. – Ciotka zaczęła się śmiać. – Nie te lata… Nie te lata. Jeszcze jakbyś wyglądała jak ta… No ta… – zaczęła mi pstrykać palcami nad uchem – J.Lo… To rozumiem.

Chciałam coś zripostować, ale ciotka dalej mówiła.

– A jak tam twoja praca?

– Nie narzekam.

– Nie widzę entuzjazmu. – Zmarszczyła brwi tak mocno, że na czole pojawiły się dwie poprzeczne bruzdy. – Tatiana, bo co innego praca na etacie, a te umowy zlecenia… A emerytura tuż za rogiem.

– Ciociu, do emerytury mam dobre dwadzieścia lat, albo i więcej. Zresztą płacę składki.

– Tatiana… – Ciotka z politowaniem pokręciła głową.

Zadzwonił telefon.

Chwyciłam go i wyszłam na korytarz.

– Tak, szefie? Spotkanie… Hmmm… Mam gościa – mówiłam głośno.

– Nie idzie za dobrze? – Mój mąż po drugiej stronie linii śmiał się głośno.

– No, cóż jak mus to mus. Będę za dwadzieścia minut, góra pół godziny.

– Zostaw klucze pod wycieraczką – zaśmiał się i rozłączył.

Wróciłam do pokoju.

– Praca wzywa. Muszę jechać do redakcji.

– No widzisz, gdybyś miała pracę na etacie, to tak by tobą nie poniewierali. No cóż, będę się zbierała. – Cioteczka podniosła się z krzesła. Jęknęła.

– Co się stało?

– W kościach mi łupnęło – westchnęła. A mnie się zrobiło jej na swój sposób szkoda. – Zapakuj mi, dziecko, tego ciasta. To sobie zjem do kawy.

– Ciociu, w twoim wieku cukier nie służy.

– Tatiana, dziecko. – Wygładziła rękami swoją spódnicę. – Wydaje mi się, że jestem dużo szczuplejsza od ciebie.

Chciało mi się śmiać, bo ciocia wyglądała na dużo pulchniejszą ode mnie. I nosiła ubrania ze trzy numery większe, ale niech jej będzie.

Pożegnałam się z ciocią i odprowadziłam ją do samochodu. Sama włożyłam buty i sweter i poszłam do swojego samochodu. Czekałam, aż ciocia odjedzie, po czym wyszłam z samochodu i włożyłam klucze pod wycieraczkę i odpaliłam silnik. Wybuchnęłam gromkim śmiechem. Co ja najlepszego odwalam? Zachowuję się jak nastolatka.

No cóż… Czasami życie zmusza człowieka do nieracjonalnych zachowań.

Wiem już jedno: że moja droga przez życie jest moją drogą przez życie. Tak samo jak i twoja czy cioci Teresy należy do ciebie czy cioci. Każdy idzie sam tą swoją drogą, tylko przez chwilę towarzyszą nam na niej inne osoby. A to mąż, dzieci, przyjaciele, rodzina, obcy ludzie, znajomi. Ale oni raz z tobą idą tą drogą, innym razem nie. I to twoje i tylko twoje wybory, czy skręcisz w prawo, czy w lewo. Czy pod górę, czy z góry. Czy z rozpędu, czy truchtem. To twoja decyzja, gdzie zrobisz przystanek, a gdzie przebiegniesz maraton.

Są takie wydarzenia, z którymi człowiek sam musi się uporać, a nie wysłuchiwać rad innych osób.

Po trzydziestym piątym roku życia spłynęła na mnie jasność, jakby mnie oświeciło. Zdałam sobie sprawę, że najgorszą rzeczą, jaką mogłabym zrobić, jest słuchanie rad cioci Teresy.

Niech każdy żyje swoim życiem. Najbardziej kochający rodzic, ciocia czy babcia nie uchronią cię przed wywrotką. A życie polega też na tym, żeby się i trochę powywracać.

ROZDZIAŁ 13

A wybecz się porządnie

Bo jeśli czegoś nie zrobię, to wszystkich zawiodę – tyle razy tak myślałam. A ty?

Bo jesteś silna, bo kto jak nie ty, bo musisz działać, bo musisz się podnieść.

Tyle już przeszłaś, a teraz co?

No właśnie, a teraz się rozwaliłaś.

I masz prawo do zjeżdżania tyłkiem z górki i poleżenia sobie na dole. Masz prawo do tego, by czasami się rozwalić.

Nikt nie zostaje obojętny, kiedy wali mu się życie, kiedy czyjaś śmierć, kiedy zdrada, kiedy w pracy bardzo źle, kiedy dziecko coś odwaliło, i w dodatku mąż, bo złe wyniki badań. A ty chcesz przyjąć to na klatę. Bo zawsze brałaś i jakoś sobie z tym radziłaś.

Nie musisz udawać, że jest dobrze, kiedy dobrze nie jest. Ryknij sobie. Porządnie, niech gluty lecą.

Ja czasami wyję do poduszki, czasami ją obsmarknę.

Przypomniała mi się pewna historia sprzed kilku lat. Siedziałam jak skamieniała w ogrodzie na niewygodnym krześle. W sercu miałam totalny chaos i rozpierduchę. Była przecudowna pogoda. Słońce mocno dogrzewało, ptaki trajkotały, a ja patrzyłam na moją zabandażowaną nogę. Kilka godzin wcześniej stopa ześlizgnęła mi się z krawężnika, upadłam, skręciłam kostkę i obdrapałam sobie kolana do krwi. Podeszli do mnie jacyś ludzie, którzy bardzo chcieli mi pomóc. Pamiętam, jak sobie powtarzałam w myślach, że muszę zachować zimną krew i trzymać fason, i że nie powinnam się rozpłakać. *Nic mi nie jest* –

powtarzałam w duchu. To nie złamanie, tylko skręcenie, kilka obdrapań. Takie nic. Mimo że wszystko mnie piekło i bolało, próbowałam siebie i innych przekonać, że to takie nic. Na płacz pozwoliłam sobie w ogródku, kiedy byłam sama.

Ile razy mówisz do siebie „nic się nie stało”?

Jak nic, jak stało się tak wiele!

To kilka zadrapań?

Nawet jeśli to będzie jedno malutkie zadrapanie, to i tak może boleć.

Może jakaś nieżyczliwa koleżanka puści na twój temat plotkę, może zakłuje cię czyjś brak empatii, ale to zawsze coś. Nie wmawiaj sobie, że to nic.

I płacz, krzycz, nie tłum emocji.

I czasami potrzebna będzie terapia, bo już życie tak ci się porządnie rozwaliło, że nie dajesz sobie rady sama. Bo czasami potrzebny ci będzie drugi człowiek do wygadania. A kiedy indziej nie obejdzie się bez leków wspomagających twój system nerwowy.

Ktoś kiedyś powiedział: „bo świat jest teraz pełen ludzi z depresją, z lękami, z nerwicami. Czy aby nie przesadzamy?”.

Nie. W świecie jakoś brakuje nam obecności tego drugiego człowieka. Czułych słów.

W świecie zaganianym.

W świecie, gdzie dom na domu, gdzie piękne wnętrza domów, a z naszymi wnętrzami jakoś nie do końca w porządku.

W świecie syfu informacji. Zbyt szybkiego przekazu. Nie ma czasu na stopklatkę.

I obiecujemy sobie: jutro pojadę, jutro zadzwonię, jutro się tym i tamtym zajmę. A jutro przemienia się w pojutrze…

Spoglądam na kota. Moi synowie przynieśli go do domu kilka dni temu.

Nazwali go Ginger, bo jest rudy. Ktoś przywiązał go do drzewa i zostawił na pastwę losu. A moi dzielni bohaterzy odwiązali go, wzięli na ręce i przynieśli do domu. Szybko się u nas zaaklimatyzował. Byliśmy z nim u weterynarza, który powiedział, że Ginger to okaz zdrowia.

Okazało się też, że Ginger to kotka, ale już jej imienia nie zmienialiśmy, żeby nie mieszać jej w głowie. Ginger potrzebowała miłości, tak sobie to tłumaczyłam, bo łasiła się do każdego, a najbardziej lubiła, jak drapało się ją za uchem.

Kładę rękę na grzbiecie Ginger i mówię do niej:

– Jesteśmy we dwie. Dwie kobity w męskim świecie.

Mruczy pod nosem, a jej łeb opada ciężko.

Drugą ręką stukam w klawiaturę:

Kochanie, ja wiem, co to zły dzień, tydzień, miesiąc, a nawet rok.

Wiem też, że człowiek jest w stanie to przetrwać.

Czasami już jest na dnie dna, ale trwa.

Kochanie, rozumiem…

Co to ból po stracie i jak to jest przeżywać żałobę.

Kochanie, wiem też, jak to jest, kiedy zdrowie się sypie, a wyniki badań te i tamte są złe.

Ale wiem też, że można wyjść z różnych opresji.

Kochanie, nie jesteś sama/sam.

Tulę Cię do serducha, otwieram szeroko ramiona.

Chcę Ci powiedzieć, że za jakiś czas życie się naprostuje. Za jakiś czas…

Kochanie, zaufaj… Na końcu mroku jest zawsze jakieś światełko.

Bo zdarzają się nieszczęśliwe zbiegi okoliczności i cała masa cudów.

ROZDZIAŁ 14

Wyrzut sumienia jest jak wrzód na tyłku

Przeczytałam jeszcze raz mój tekst. Podobał mi się i wydawało mi się, że trafi do kobiet:

Czasami musisz walczyć sama ze sobą.

Zakładasz uśmiech, płaszcz uszyty z odwagi i wychodzisz z domu, i mijasz ludzi pozornie szczęśliwych, którzy pod uśmiechem skrywają swoje tęsknoty, smutki, żale... Choroby, o których nikt nie wie. I na swoich ramionach tachają swoje krzyże i nostalgię, melancholię, stratę, i w garnuszku kilka kawałków serca, które nijak nie dadzą się złożyć w całość. Idą prężnie, ale niekiedy odczuwają, jak bolą niezagojone rany. I połykają łzy do środka.

Mijacie się codziennie. I nic o sobie nie wiecie.

A może Ciebie i Ją/Jego tak samo boli dusza. Ból w innym natężeniu... Ale boli...

Czasami stoisz nad przepaścią i myślisz, że jedyne rozwiązanie to skoczyć tam.

To spacer po linie, która chybocze się na boki. Między promykiem nadziei a beznadzieją.

Chcesz żyć, ale boisz się żyć.

Mnóstwo pytań, na które nie znam odpowiedzi...

Mnóstwo zdań, które czytam i nie wiem, co na nie odpisać...

Bo jeśli czytasz, że komuś wali się świat, a ktoś inny ciężko choruje... to szukasz odpowiednich słów...

Bo kiedy napisała do Ciebie pielęgniarka po ciężkim dyżurze, że jest już u kresu sił…

Bo jeśli samotna matka choruje, i nie wie, co powiedzieć swojemu dziecku, to człowieka zatyka.

I jeśli ci ludzie piszą do Ciebie, by znaleźć jakiekolwiek ukojenie, to czujesz się wyróżniona… bo liczą na to, że może jakoś słowem utulisz i może nie będziesz pieprzyć farmazonów, że jakoś wszystko się zaraz ułoży… czasami nie zaraz… czasami boli zbyt długo.

Kochanie, ja czasami nie wiem, co mam napisać.

Nadzieja czasem przychodzi i odchodzi… Ale dobrze, byś o niej pamiętała.

Wkurza mnie to, że ludzie, którzy naprawdę potrzebują pomocy, jej nie dostają. A dostają ci, którzy wyciągają łapska zawsze i wszędzie.

Nie rozumiem, jak można pokazać kawałek cycka, tyłka na Instagramie i dostawać za to kasę.

Nie rozumiem, że nie doceniani są ci, którzy mają złote serca, piękne dusze.

Nie rozumiem, że promowana jest głupota zamiast wiedzy i mądrości.

Słucham wywiadów z mądrymi ludźmi i z podziwem myślę „co za mądrość, co za wiedza, i jaka skromność!".

Naukowcy, wolontariusze, pielęgniarki. Geniusze.

I zwykłe/niezwykłe mamy i wojowniczki/wojownicy dnia codziennego.

Ojcowie, którzy nierówno zaplotą warkocz swojej córce, a przecież tak się starali, i wyszło, ale krzywo.

I piekarze, co chleb upieką. I wielu innych…

Bo zamiast krzykaczy spokój i cisza…

Cisza niekiedy tak pięknie się broni.

I nie trzeba się obfotografowywać, żeby czynić dobro.

Dobro skrada się po cichutku.

Z szeptem, z drobnym gestem.

Bo gdybyśmy więcej się uśmiechali, więcej zauważali… Gdybyśmy czasami chcieli…

Gdybyśmy wyciągali ręce…

Gdybyśmy przytulali więcej.

Kochali mocniej…

Zamknęłam laptop. Westchnęłam i pomyślałam, że potrafimy sobie wyrzucić wszystko, że coś z nami jest nie tak, że nie jesteśmy dobrymi matkami, córkami, że za mało zrobiłyśmy, że przerwałyśmy dietę, że za mało śpimy, za dużo śpimy, że projekt wykonany nie na czas, że pranie niewstawione, że to i tamto też.

I ja w tym wyrzucie piekę i gotuję. I wychodzi mi piękne ciasto drożdżowe, puchate, o waniliowym aromacie. I roladki zawijane też mi wychodzą. A kiedy nie wychodzi, to jestem sobą rozczarowana. I chciałabym to w sobie zmienić, ale jeszcze jakoś nie potrafię.

I spieprzyłam mięso, to znaczy przepieprzyłam i postanowiłam, że chrzanię to, i wyszłam sobie do kawiarni, na kawę. Bo w domu kawa nigdy tak nie smakuje jak w kawiarni. Bo klimat, bo ktoś dla ciebie zaparzy i poda. W drodze do kawiarni chwycił mnie wyrzut sumienia, że może powinnam jednak upiec drugi kawałek karkówki, ale ostatkiem sił się powstrzymałam, nie zawróciłam do kuchni, tylko wyszłam z domu.

Z tym wrzodem pulsującym z tyłu głowy poszłam sobie do kawiarni. Usiadłam przy stoliku, który znajdował się przy oknie. Zdjęłam maseczkę, którą włożyłam do kieszeni swetra. Nie stroiłam się za bardzo, bo nie miałam ochoty. Chciałam złapać po prostu trochę oddechu. I po tylu miesiącach zamknięcia nas na wszystko napić się kawy w kawiarni. Celebrować tę chwilę. Uśmiechnęłam się do siebie.

Do stolika podeszła kelnerka, która wyglądała jak Ania z Zielonego Wzgórza. Długie włosy miała splecione w dwa warkocze. Kolor tych włosów był ognisto rudy, lśnił w słońcu, które wślizgiwało się do wnętrza kawiarni przez szybę. Dziewczyna miała na nosie kilka piegów i szeroki uśmiech.

– Co dla pani? – zapytała ciepłym głosem.

– Czarną kawę i kanapkę z tuńczykiem poproszę. – Uwielbiam tuńczyka i wszelkiej maści ryby.

– Już się robi. – Skinęła uprzejmie głową.

Gdy odeszła, spojrzałam przez okno i oniemiałam. W tym samym momencie jakiś mężczyzna odwrócił w moją stronę głowę. Iwo.

Nie mogłam w to uwierzyć. On chyba też, bo przystanął, pomachał mi ręką. Odmachałam mu. Przez chwilę się tak na siebie patrzyliśmy, jakbyśmy zmysły postradali.

Miałam go w znajomych na Facebooku, ale od przeszło osiemnastu lat nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Zresztą nie był aktywny na fejsie, więc nic o nim nie wiedziałam.

Wszedł do kawiarni prężnym krokiem. Był w jasnym garniturze. W rękach trzymał skórzaną aktówkę.

– Tatiana – niemal wykrzyknął. Widziałam, że cieszy się z naszego spotkania.

– Iwo. – Uśmiechnęłam się do niego i wstałam z krzesła. Zawsze podobało mi się jego imię. Było takie niespotykanie. Powiedział, że jego mama nazwała go tak, bo podczas ciąży, czytała książkę, w której główny bohater miał tak na imię. Był waleczny i romantyczny.

Stałam jak głupia, taka dziwnie podekscytowana. On w końcu do mnie podszedł i lekko mnie do siebie przytulił. Zapach jego perfum był oszałamiający. Mogłabym tak trwać w jego uścisku, ale przerwała nam kelnerka.

– Dla pani kanapka z tuńczykiem. Zrobiłam na ciepło – powiedziała Ania z Zielonego Wzgórza, stawiając na stoliku talerzyk z kanapką. – A dla pana? – Uśmiechnęła się do Iwa.

Widać było, że jej się spodobał. Nie dziwiłam się, że kobiety się do niego tak uśmiechały. Może nie był szalenie przystojny, ale miał w sobie jakiś magnetyzm. A kiedy mrużył oczy, to chciałoby się z nim zgrzeszyć. *O czym ja mówię!* – skarciłam siebie w myślach.

– Kawę poproszę i kawałek jakiegoś ciasta – powiedział niskim głosem.

– Czekoladowe? Szarlotka? – Dziewczyna wgapiała się w niego jak w obrazek, a ja poczułam jakieś nieuzasadnione poczucie zagrożenia z jej strony. Była taka ładna i taka młoda.

– Obojętnie. Zjem wszystko z wielką przyjemnością. – To dziwne, ale on nawet nie patrzył na tę dziewczynę, za to wlepiał oczy we mnie. Kelnerka poczuła się lekko zawiedziona, ale powiedziała uprzejmie:

– Dla pana wybiorę coś specjalnego.

Odeszła, a my usiedliśmy przy stoliku. Wgapiałam się w niego jak jakaś nawiedzona. *Dopadło mnie przeznaczenie* – pomyślałam. Żadne tam przeznaczenie, ale ja chciałam tak myśleć.

Głupio mi tak było wgryźć się w tę bułę z tuńczykiem. Ale równie głupio było zamówić i nie zjeść jej. Na szczęście obok mnie pojawiły się sztućce. Odetchnęłam z ulgą, że nie będę musiała się w tę bułę wgryzać. Bo znając mnie, zaraz by mi ten tuńczyk zaczął wypływać bokiem.

Miałam ściśnięte gardło od wzruszeń i chciało mi się płakać. Modliłam się w duchu, by tylko się nie rozbeczeć.

Spojrzałam kątem oka na swoje odbicie w lustrze i zdałam sobie sprawę, że nie powinno mieć dla mnie znaczenia, jak wyglądam, a jednak miało. Odruchowo przeczesałam włosy palcami.

– Co u ciebie? – zapytał.

– Jakoś do przodu – powiedziałam, a potem ochrzaniłam siebie w duchu, że udzieliłam mu tak durnej odpowiedzi.

– Widziałem na fejsie, że jesteś szczęśliwą mężatką, z dwójką dzieci.

– Czy taką szczęśliwą? – Wzruszyłam ramionami.

– A nie?

– No wiesz, różnie bywa. Ale nie narzekam. – Nie chciałam wyjść na jakąś desperatkę, która spotyka po latach dawną miłość i biadoli nad obecnym życiem. – Mam dwóch wspaniałych synów. A ty?

– Córeczkę.– Wyjął z kieszeni telefon i pokazał mi zdjęcie córki.

– Śliczna – powiedziałam z pełnym przekonaniem, gdyż dziewczynka była naprawdę ładna. Chyba przypominała matkę, bo do Iwa miała podobne tylko nosek i usta.

Zaległa między nami na chwilę cisza.

Kelnerka postawiła przed Iwem talerzyk z ciastem i kawę. Mężczyzna podziękował, a kobieta odeszła.

– Wciąż jesteś piękna – powiedział, a ja poczułam, jak oblewam się rumieńcem. Tego dnia nie czułam się atrakcyjnie. W ogóle to ostatnio nie czułam się jakoś ponętnie. A tutaj takie słowa.

Rozmawialiśmy chwilę o życiu, o tym, gdzie pracujemy. Okazało się, że Iwo jest przedstawicielem handlowym w dobrze prosperującej firmie kosmetycznej.

– Szczerze ci powiem, że nic nie wiem o damskich kosmetykach, a na spotkaniach ściemniam. Wcześniej przeczytam ulotkę i… – Wzruszył ramionami. Wyglądał jak taki słodki, zagubiony nastolatek. Roześmialiśmy się.

– Fajnie, że piszesz. Zawsze miałaś do tego dryg.

– Szkoda, że do matmy takiego nie miałam. – Przypomniałam sobie matematyczkę, profesor Błońską, która powtarzała mi w kółko, że ludzie to ze mnie nie wyrosną.

– Ale ludzie z ciebie wyrośli. I to cudowni ludzie. – Dotknął mojej ręki swoją dłonią, a ja czułam się tak, jakbym miała wystrzelić w kosmos. Serce biło mi tak szybko, że myślałam, że zaraz wyskoczy mi z piersi.

Zjadłam bułkę, on ciasto. Wypiliśmy kawę, ale wciąż nie mogliśmy się nagadać. On zadzwonił do klienta i odwołał spotkanie. Powinnam jeszcze tyle rzeczy zrobić, choćby obiad ugotować. *Będzie pizza z zamrażalnika* – pomyślałam.

– Iwo… – westchnęłam. – To cudowne spotkanie, ale chyba każdy musi iść już w swoją stronę.

– Nie chcę iść w swoją stronę – powiedział to tak lekko, jakby to było oczywiste.

Też nie chciałam, ale podniosłam się z krzesła.

– Dasz mi swój numer telefonu? – Uśmiechnął się speszony.

Zawahałam się, po czym doszłam do wniosku, że to nic takiego. Stary znajomy, któremu dam numer telefonu. Podyktowałam mu.

– Wiesz, że zadzwonię…

– Wolałabym, żebyś do mnie napisał.

– Nie chcesz kłopotów? – Puścił do mnie oko.

Rozbrajała mnie jego szczerość. Nie odpowiedziałam na jego pytanie.

– Napiszę.

Wstał i otworzył szeroko ramiona, a ja się w niego wtuliłam.

To było niepotrzebne, ale takie bardzo przyjemne.

Bo zdarzają się człowiekowi w życiu takie nieracjonalne chwile.

Niedorzeczne.

Takie, które nie powinny mieć miejsca. A mimo wszystko człowiek leci do nich jak ćma do światła. Daria powiedziałaby „jak mucha do gówna". Na samą myśl uśmiechnęłam się do siebie. Może i w tej chwili jestem taką gównianą muchą?

***

Powtarzałam sobie w myślach, że kocham swojego męża. Kochałam go naprawdę. Oczywiście, że się kłóciliśmy i że miewaliśmy kryzysy. Ujmowały mnie w nim spokój i pogoda ducha. I jeszcze milion rzeczy, ale kiedy dostałam wiadomość od Iwa, jakby serce wyłączyło mój mózg i przestałam myśleć.

„Miałabyś ochotę zjeść ze mną kolację?" – napisał kilka minut po tym, jak wyszłam z kawiarni.

Wgapiałam się w tę wiadomość i nie mogłam uwierzyć, że do mnie napisał.

Mijałam przechodniów na ulicy i uśmiechałam się od ucha do ucha. Czułam, jakbym odlatywała w kosmos. Ja pieprzę. Jedno spotkanie,

garść komplementów, a ja zachowuję się, jakbym miała osiemnaście lat.

Miałabym, pewnie, że bym miała ochotę zjeść z nim kolację, ale czy powinnam?

Wbrew swoim zasadom, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew zaklinaniom mojej przyjaciółki, że mi odbiło i mogę stracić więcej, niż zyskać, wydepilowałam się od stóp do głów. I wskoczyłam w małą czarną, która faktycznie jest mała. *Coś przyciasna* – pomyślałam, kiedy dokonałam oglądu mojej sylwetki w lustrze. Zdjęłam ją. I włożyłam obciskające gacie w zestawie z wyszczuplającymi rajstopami. *No chyba nie będzie mnie rozbierał?* – zachichotałam w myślach. Chociaż przemknęło mi przez głowę, że to mogłoby być przyjemne.

Restauracja, do której zaprosił mnie Iwo, była naprawdę ekskluzywna. Mieściła się w podziemiach jakiejś starej kamienicy. Zjechałam windą i niemal dostojnym krokiem ruszyłam do sali. „Niemal" robi jednak różnicę, bo chybotałam się na boki na niebotycznie wysokich szpilkach. Nie wkładałam takich od kilku lat, ponieważ od kilku lat stawiałam na wygodę. Ale tego wieczoru chciałam czuć się sexy. Wchodziłam do środka pełna obaw, lekkiej ekscytacji, zażenowania. Pełna wspomnień, które kotłowały się w mojej głowie. Ale z szerokim uśmiechem na twarzy, bo czułam się jak milion dolców. A jakieś wewnętrzne światło wypełzło na moje policzki w postaci naturalnego różu.

Podeszłam do stolika, przy którym czekał już na mnie Iwo. Podniósł się, delikatnie położył rękę na moich plecach. Przeszył mnie dreszcz ekscytacji i podniecenia.

– Cześć, Iwo.

Mężczyzna obszedł stolik i odsunął dla mnie krzesło. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jakiś facet odsuwał dla mnie krzesło. Takie małe gesty sprawiają kobiecie niebywałą radość.

– Cześć. – Nachylił się w moją stronę i pocałował w policzek, a ja poczułam się jak gwiazda filmowa.

Zamówiliśmy tortellini, zestaw sałat i karafkę wina, a na deser tiramisu. Szczerzę mówiąc, nie obchodziło mnie to, co będę jadła, cieszyłam się na towarzystwo Iwa.

– Wyglądasz naprawdę ładnie.

– W ciągu dwóch dni mówisz mi to już chyba z dziesiąty raz. – Cieszyły mnie te komplementy od niego. Sięgnęłam po kieliszek i upiłam łyk wina.

– Bo nie mogę się na ciebie napatrzeć.

– A ja ciebie nasłuchać… – Promieniałam. – Zachowujemy się niczym nastolatkowie.

– Wtedy, kiedy mieliśmy te osiemnaście lat, było nam ze sobą dobrze.

– To była klasa maturalna, to chyba dziewiętnaście.

– A kochałem się w tobie od pierwszej. Teraz nie marnowałbym tyle czasu.

– A co byś teraz najchętniej zrobił? – Wyraźnie z nim flirtowałam, wpatrując się w jego piwne oczy.

– Teraz najchętniej bym cię pocałował.

Na szczęście stanął przed nami półmisek sałat, bo nie wiedziałabym, co zrobić z oczami. Potem rozmawialiśmy na temat sytuacji politycznej w Polsce i na świecie. O tym, że Iwo lubi sadzić kwiatki.

– Ale że w ziemi lubisz grzebać? – Śmiałam się na całego, popijając wino.

On też się śmiał. Odchylił się na krześle i wyglądał uroczo.

– Wyobraź sobie, że tak. Jakoś to mnie odpręża.

– Kryzys wieku średniego. Nie pomyślałabym. – Pokręciłam głową. Spinka, którą miałam spięte włosy, zsunęła się z nich. A włosy pasmami opadły na moje ramiona. Iwo wyciągnął w moim kierunku rękę i odgarnął je do tyłu. W tym geście było tyle czułości, że aż mi dech zaparło.

– Zawsze lubiłem twoje włosy.

– Wiem. – Wstałam od stolika. – Muszę cię na chwilę przeprosić – powiedziałam i wymknęłam się do łazienki.

Ja pieprzę – zaklęłam w duchu – *co tu się odpieprza?*

***

Spojrzałam w lustro i zobaczyłam rozpaloną od emocji kobietę w średnim wieku. Najchętniej przemyłabym twarz wodą, ale wtedy zmyłabym ze skóry podkład. Zamiast tego sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Darii.

Streściłam jej wszystko, okraszając rozmowę achami i ochami, i peanami na temat Iwa.

– Lecę już, bo pomyśli, że mam zatwardzenie. Siedzę już osiem minut. – Spojrzałam na wyświetlacz telefonu.

– Weź się ogarnij – rzuciła do telefonu Daria.

– O co ci chodzi?

– O ten tramwaj, co nie chodzi. Dokończ deser i się pożegnaj. I wracaj do domu. Do rodziny.

– Wiesz co? – Nie tego od niej oczekiwałam.

– Wiem, że miłe spotkanie miłym spotkaniem, a życie życiem.

Rozłączyłam się. Wiem, że moja przyjaciółka chciała dla mnie dobrze i próbowała mi przemówić do rozsądku, który był w tamtej chwili w fazie budyniowej, ale czułam, że odlatuję, i co najgorsze – podobał mi się ten odlot.

Wyszłam z łazienki, wciąż chybocząc się na boki. Dodatkowo wypiłam już trzy kieliszki wina, więc kąt nachylenia był coraz większy. Klęłam w duchu na te szpilki, ale postanowiłam trzymać klasę.

Usiadłam przy stoliku i nie wiedziałam, czy już miałam omamy, czy widziałam przed sobą kieliszek, który parował.

– Wow! – rzuciłam tylko. Nie wiedziałam, czy mam pić.

– Zamówiłem dla ciebie drinka – powiedział.

– I to takiego z oparami.

– Paruje jak i ja… – Spojrzeliśmy sobie w oczy. Poziom mojego odpału był naprawdę wysoki. Czułam, jak topnieję pod tym jego spojrzeniem.

I nagle rozległ się dźwięk mojego telefonu.

Sięgnęłam to torebki. Dzwonił mój młodszy syn. Wiedziałam, że muszę odebrać.

– Halo – szepnęłam, zakrywając dłonią słuchawkę.

– Gdzie jesteś? – darł się do słuchawki Szymek, jakby go ze skóry obdzierano. Tutaj naprzeciwko mnie moja dawna miłość, tutaj nogi ogolone, tutaj moje szpilki i ja taka wzdychająca, a po drugiej stronie słuchawki rodzinne życie, moje życie. I teraz tak, mam dwa wyjścia. Mogę skłamać dziecku, ale Iwo usłyszy moje kłamstwo, a tego bym nie chciała, dlatego odpowiedziałam pytaniem na pytanie:

– Co się dzieje?

– Tata zamówił pizzę z papryczkami chili. A ja nie lubię.

– To je zdejmij.

– Nie mogę, bo to miejsce, gdzie leżała papryczka jest już skażone… – jęczał mi do telefonu.

– To zrób sobie kanapkę… – Starałam się być opanowana, choć średnio mi to wychodziło. Spojrzałam na Iwa, był rozbawiony.

– I tu jest problem, mamo. Nie ma chleba.

– To niech któryś z was pójdzie po chleb. Jestem na spotkaniu… – Chciałam jak najszybciej zakończyć tę żenującą rozmowę.

– Mamooo – marudził. A z oddali słyszałam głos mojego męża, który sprawił, że poczułam się winna:

– Miałeś nie dzwonić do matki, ona jest na spotkaniu. Rozłącz się, coś wykombinujemy.

– Kocham cię – zakończyłam, rozłączyłam się i schowałam telefon do torebki. – Przepraszam– zwróciłam się do Iwa spokojnym tonem. – Mój syn.

– Rozumiem. Znam to.

– Z dziewczynkami jest chyba inaczej.

– Myślę, że podobnie. Moja córka jest jedynaczką i mimo że staramy się jej nie rozpieszczać, to jednak jest rozpieszczona. – Uśmiechnął się szeroko. Odwzajemniłam jego uśmiech, ale czułam się skrępowana rozmową o dzieciach. Musiał to zauważyć, bo zapytał: – Co jest? Tatiana? – Chwycił kieliszek i łyknął parującego drinka. Zrobiłam to samo.

– Nie chcę rozmawiać o dzieciach. Jakoś mnie to krępuje…

– Nie rozmawiajmy ani o dzieciach, ani o naszych małżeństwach…

I nie rozmawialiśmy.

Czas szybko płynął, a my wspominaliśmy stare dobre czasy. Całą czwartą klasę byliśmy nierozłączną parą. Z biegiem lat uświadomiłam sobie, że to ja byłam w nim bardziej zakochana niż on we mnie. Ale nieważne, ważne, że on teraz tak na mnie patrzył…

Po kolacji umówiliśmy się na kolejne spotkanie, a potem na drugie. I niby nic się nie działo, a działo się wszystko.

Moje życie to nieustanne myśli o nim. Byłam nim pochłonięta… A to już nie było za dobre.

ROZDZIAŁ 15

Jazda bez trzymanki

Wyszłam z Darią na rower. Lubiłyśmy te nasze przejażdżki. Jeździłyśmy dla zdrowotności, by rozruszać kości. Tak jak nie lubię biegać czy ćwiczyć w domu, tak na rower chętnie wsiadam i pedałuję. Poza tym moja przyjaciółka wzięła mnie na spytki.

– No i? – zapytała, patrząc na mnie spode łba.

– Pytasz o Iwa?

– Tak, pytam o Iwa... – Zaczęłam szybciej pedałować, ona też.

– Jest boski.

– Ale masz męża i dzieci.

– Tak, a on ma żonę.

– Co nie przeszkadza wam umawiać się na schadzki.

– Schadzki to za duże słowo. Po prostu kilka razy się spotkaliśmy. – Nie przestawałam się uśmiechać.

– Promieniejesz.

– Daria – jęknęłam i zmieniłam przerzutkę, bo wjeżdżałyśmy pod górę.

– Tylko się nie zakochuj ani nie wdawaj w romans.

– To tylko przyjacielskie spotkania.

– Srutu tutu pęczek drutu. W tym wypadku nie ma czegoś takiego jak przyjacielskie spotkania. Oboje chcecie czegoś więcej i się nie oszukuj.

Nie oszukiwałam się. Byłam przerażona swoimi myślami. Wyobrażałam sobie nas w różnych sytuacjach i łóżko też w tych wyobrażeniach odgrywało kluczową rolę. Już miałam coś odpowiedzieć,

ale koło placu zabaw na drzewie zobaczyłam wiszące do góry nogami dziecko.

– Zaraz się spierdzieli i dopiero będzie! – Pokręciłam głową z dezaprobatą.

– To Szymek. – Daria patrzyła się w stronę drzewa.

– Mój Szymek? – Zmrużyłam oczy, bo nie wzięłam okularów.

– No tak, twój.

Dziecko uczepione było gałęzi nogami i huśtało się na boki.

Podjechałam do niego w te pędy. A za mną Daria.

– Złaź z drzewa! – wrzasnęłam na całe gardło.

– To twoja mama? – zapytała mała blondyneczka, przed którą mój syn robił te wszystkie wygibasy.

– Nie! – odpowiedział, patrząc mi w oczy.

Jak nie, jak tak? – chciałam krzyczeć. Rodziłam cię dziesięć godzin w bólach, a ty się mnie wypierasz? Gówniarzu jeden.

– Jestem jego mamą. Jestem! – powiedziałam, jakbym chciała namówić mojego syna do złożenia prawdziwych zeznań.

– Fajnego ma pani syna – dodała dziewczynka. No i trochę mi humor poprawiła, bo jednak miała rację, fajny był.

– Szymek, złaź z tego drzewa – powiedziałam do dziecka, robiąc synowi obciach.

– Bujam się na nim od dwóch godzin i nic mi nie jest – odrzekł poważnym tonem. – A ty przychodzisz i robisz akcje.

Złapał się rękami gałęzi, zrobił fikołka i zeskoczył. Dobrze było mieć go na ziemi.

– Szymek, jadę z ciocią na przejażdżkę – powiedziałam. – Kiedy będę wracała, nie chcę cię widzieć na drzewie, rozumiesz?

– Postaram się ciebie nie zawieść, mamusiu. – Popatrzył na mnie tymi swoimi wielkimi ślepiami. Chciało mi się śmiać, bo przecież w tym jego piskliwym głosiku wyczułam ironię.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze starał.

– Jakżeby inaczej, mamusiu.

Uśmiechnęłam się pod nosem i odjechałam.

– Niezły ten twój syneczek – powiedziała przyjaciółka, kiedy odjechałyśmy kawałek dalej.

– Niezły… – Śmiałam się na całe gardło.

Wróciłam z przejażdżki dwie godziny później. Daria wpajała mi do głowy, żebym zakończyła znajomość z Iwem, bo do niczego dobrego to nie doprowadzi.

– To tylko kilka uniesień, a możesz stracić więcej, niż zyskasz – powiedziała na odchodne.

Wiedziałam, że ma rację, ale wiedziałam też, że na razie tego nie skończę. Za bardzo się wkręciłam w tę znajomość. Iwo był dla mnie odskocznią od mojego życia. Myślałam, że takie wyskoki na trampolinie odgrzewanych uczuć są zabawne. Jakże się myliłam!

Przebrałam się, wzięłam prysznic. Szymek był już w domu.

Szymek jest dzieckiem żywiołem. Dzieckiem, któremu nie zamyka się buzia. Jestem z niego dumna, bo wie wiele rzeczy na różne tematy. Od kosmosu, przez piłkę nożną, kończąc na gotowaniu. Mój synek uwielbia pomagać mi w kuchni. Lubi ze mną piec i gotować. Czasami też to lubię, a czasami to jego pomaganie mnie po ludzku wkurza. Bo wszystko gotujemy kilka minut wolniej, a ja czasami chcę szybciej, bo tyle rzeczy do ogarnięcia.

A moja mama mówi mi wtedy: wyluzuj. I babcia ją popiera z tym wyluzowaniem. Tylko że ostatnio wolałabym pobyć w kuchni sama i posłuchać sobie muzyki.

– Obiecałaś pierogi – powiedział mój młodszy syn, podwijając rękawy.

– I będą pierogi. Może ulepię sama, to wtedy dostaniesz je szybciej.

– Pomogę ci. – Jego buzię rozpromienił uśmiech. Skinęłam głową.

Wyjęłam stolnicę, mąkę, jajko, sól… Farsz miałam już wcześniej przygotowany.

I lepiliśmy razem pierogi. Ale jakoś to moje ciasto mi nie wyszło, za bardzo klejące i Szymek mi powiedział, żeby mąki dodać. Dodałam. On kichnął, mąka niczym śnieżny puch rozsypała się po całej kuchni.

– Szymek, na litość boską! – krzyknęłam, jakbym faktycznie miała powód do krzyku. Byłam na siebie zła, za ten wybuch.

– Co? – zapytał z zatroskaną miną, robiąc przy tym te swoje duże oczy.

– Patrz, co robisz! Mąka wszędzie! – Wskazałam na ściany w mące.

– Przecież takie rzeczy się zdarzają – powiedział do mnie.

– Mówiłam, że sama zrobię. Oj, idź już do swojego pokoju, ja to sprzątnę.

– Wolę gotować z babcią albo prababcią – rzucił przez ramię i wyszedł. A mnie dopadły wyrzuty sumienia, bo nie musiałam tak nerwowo reagować. Bo niepotrzebnie się na niego wydarłam. Ile razy nas, matki, dopadają takie wyrzuty? Bo za ostro, bo swoją złość przelewamy na dzieci i męża. A ja ostatnio jestem taka nerwowa, bo wolę spędzać czas sama na rozmyślaniach o Iwie niż z rodziną. Nie lubię siebie za to. Naprawdę siebie za to nie lubię.

Kilka chwil później weszłam do pokoju Szymka. Leżał na łóżku zwinięty w kulkę. Widziałam tylko jego plecki. Było mi tak po ludzku głupio i źle.

– Kochanie, przepraszam. – Podeszłam do niego i pomasowałam go po tych drobnych pleckach. – Po prostu cię przepraszam.

Widziałam, jak jego plecki drżą.

– Musisz nauczyć się cierpliwości – odpowiedział z rozbrajającą szczerością, a mnie coś ścisnęło w dołku.

– Postaram się – obiecałam mu.

– To staraj się mocniej. – Odwrócił głowę w moją stronę. Jego pociągła buźka wyrażała sto różnych emocji. Jego oczy były zaczerwienione. Serce pękało mi na kawałeczki.

– Szymek, jest mi strasznie głupio, że nakrzyczałam na ciebie z powodu mąki.

Splótł ręce na kolanach.

– Pomyśl – powiedział tonem mojej mamy – czy rozsypana mąka to powód, żeby na kogoś krzyczeć?

– Nie – odpowiedziałam z pełną świadomością. I potem pomyślałam o tych wszystkich bezsensownych powodach, gdy tak bardzo się denerwowałam o byle co.

Pomyśl, kochana moja, ile ty razy pokazywałaś swoją złość bez powodu. Bo mąka, bo kilka ubrań rozrzuconych. Bo mówiłaś dziesięć razy, by pokój posprzątać, a pokój nadal niepoposprzątany. Ile tych krzyków było niepotrzebnych? Ile dram wywołanych bez sensu?

Kiedy byłam w ciąży, moja babcia powiedziała do mnie, że każdy z nas jest ogromnym cudem i ma swój potencjał. I my ten potencjał często w ludziach gasimy, a inni ludzie gaszą go w nas. Za pomocą słów, gestów, pewnych zachowań gasimy u innych wiarę w siebie. Bo może mój syn ma predyspozycje, by zostać superkucharzem, a ja przez swoje darcie się go zniechęcam do tego, by próbował pichcić w kuchni. Bo mąka się rozsypała? Sama byłam na siebie zła.

– Moja babcia, a twoja prababcia, zanim się urodziłeś, powiedziała, że jesteś cudem – zwróciłam się do Szymka, całując go w czoło.

– Dobrze, że powiedziała to, zanim się urodziłem – rozchmurzył się. – Widziałaś, jaki byłem brzydki tuż po urodzeniu?

Zaczął się śmiać.

– Noworodki takie są. Pomarszczone, czerwone… – Śmiałam się razem z nim.

– To co z tym cudem?

– Widzisz, jesteś niepowtarzalny. Jedyny w swoim rodzaju. My, rodzice, chcemy byście mieli dobre stopnie, byście wiedzieli, co jest stolicą Francji, a krzyczymy na was z powodu mąki, podkopując waszą wiarę w siebie. I co z tego, że będziesz wiedział, że Paryż to stolica

Francji, skoro nawet nikomu tego głośno nie powiesz, bo twoja matka się na ciebie ciągle darła, a ty będziesz bał się odezwać.

– Eeee… Aż tak źle to nie jest. Wiem, kiedy się odezwać, i kiedy ktoś mnie zapyta o stolicę Francji, to mu odpowiem. – Uśmiech zagościł na jego twarzy. – Drzesz się na mnie, ale też czasami jesteś fajna.

– Serio?

– Serio.

Przytuliliśmy się do siebie mocno.

***

Byłam niewyspana. W nocy pisałam artykuły i robiłam redakcję tekstu. Wiedziałam, że tylko dobra kawa mnie uratuje. Poszłam do babci.

– Wejdź, dziecinko. – Babcia wpuściła mnie do środka. Z siatki wyciągnęłam ciasto i nałożyłam na talerz w drobne różyczki. Babcia miała już zaparzoną kawę w porcelanowym dzbanku w kolorze granatowym z małymi kwiatkami. Wyjęłam z szafki mój ulubiony wyszczerbiony kubek. Nalałam do niego kawy, czarnej jak smoła, z ostrymi przyprawami. Babcia w młodości miała znajomego Greka, który nauczył ją parzyć wyśmienitą mocną kawę. „Wiesz, ci Grecy to gorąca krew i kawa u nich musi być mocna, gorąca, taka, co to pobudza". Babcia piła kawę od kilkudziesięciu lat i nigdy nie powiedziała do mnie: nie pij tyle kawy, bo coś tam. Moja mama zawsze mnie upominała, że picie kawy szkodzi. A babcia i wino, i kawę popijała i ma się dobrze.

– I jak? – zapytała, kiedy zobaczyła moją rozmarzoną twarz.

– Co mogę ci powiedzieć? Jest pyszna.

– Cieszę się, że umiesz dostrzegać takie drobne przyjemności. To przychodzi chyba z wiekiem.

– Dzięki, babciu. Nie jestem aż tak stara – zaśmiałam się.

– Jesteś piękną, mądrą, dojrzałą kobietą. Jesteś po prostu szczęściarą. – Babcia wzięła moją rękę w swoje dłonie.

– Czasem o tym zapominam, czasem nie doceniam tego wszystkiego, co mam. – Pomyślałam o Iwie i o tym, że ostatnio wszystkie moje myśli krążyły wokół niego. Nie cieszyły mnie spacery z rodziną ani nic.

– Wiesz co? – Babcia wstała z krzesła. Usłyszałam, jak jej stawy trzeszczą. Zaszurała swoimi kapciami, które kupiłam jej dwa lata temu u górali. Babcia kochała góralskie kapciuchy. – Waszemu pokoleniu wpaja się różne motywacyjne slogany: dostrzegaj chwilę, celebruj ją, rozwijaj się, wyciągaj wnioski. – Wzięła w swe pomarszczone dłonie cukiernicę z miętówkami i postawiła na stole. Usiadła na krześle. – Kiedyś po prostu się żyło i nie zastanawiało nad takimi rzeczami. Wiedziało się, że w życiu są lepsze i gorsze dni, ale jak to mówi mój prawnuk, a twój syn, nie rozkminiało się, czy tak powinno być, czy nie. Teraz te wszystkie uczone panie i panowie z telewizorów czy z tych internetów mówią nam: żyj tak, aby było ci dobrze, ciesz się chwilą. Ciesz się, że masz swój kubek. A człowiek raz się cieszy, a innym razem o tym zapomina i to też jest okej, i nie ma w tym jakiejś tragedii.

– I wiesz co? Ja myślę, że tak powinno być… Żeby nie robić wielkich dram, kiedy człowiek wstaje naburmuszony i nie cieszy się z tego, że mu słonko za oknem świeci. I nie skacze z radości, że jest w tym miejscu, a wolałby być w tamtym. Nakrzyczałam na Szymka wczoraj, bo rozwalił mąkę.

Babcia dotknęła mojej dłoni.

– Cierpliwość też przychodzi z wiekiem. Mnie już pewne sprawy tak nie irytują jak kiedyś. Kiedyś sprzątałam mieszkanie co sobota, bo gdzie to tak na niedzielę dom brudny zostawić. Potem przekonałam się, że niedziela da radę też bez mojego sprzątania. Do swoich dzieci też nie miałam cierpliwości, z wami już postępowałam inaczej. A prawnuków to już mogłabym jeść łyżkami. Czujesz się źle, że skrzyczałaś syna, to go przeproś.

– Już to zrobiłam, babciu, ale niesmak pozostał.

– Zostaje, kochana. Niesmak zostaje… Ale każdy z nas popełnia błędy. Każdy z nas czasami krzyknie bez potrzeby, obrazi się na dłużej, niż

powinien. Zje o jedną łyżkę czekolady za dużo, przekroczy granice, których wypadałoby nie przekraczać z czystej przyzwoitości, ale czasami przyzwoitość diabli biorą.

Oj, bierą – pomyślałam o moich tajnych spotkaniach z Iwem. Oj, bierą…

– Babciu, czy twoim zdaniem za mało mówimy o swoim smutku? O uczuciach? Jak to było u ciebie? – Postanowiłam zmienić temat. Miałam napisać artykuł na piątek, a nic mi nie przychodziło do głowy i właśnie przed chwilą wpadłam na pomysł, by napisać o uczuciach i emocjach dawniej a teraz.

Babcia się uśmiechnęła. Na chwilę zamyśliła.

– Ja… Byłam niepokorna. Kiedyś było inaczej. Dzisiaj jest inaczej. Nie mówię, czy lepiej, czy gorzej. Kiedyś nikt nikogo nie pytał, czy jesteś szczęśliwa. Żyło się. I to nie zawsze szczęśliwie. Moja świętej pamięci siostra Janka mówiła „jest, jak jest", a ja jej odpowiadałam: „ale może być lepiej". Janka urodziła czworo dzieci, nigdy nie pracowała, bo utrzymywał ją mąż. Ja pracowałam wtedy na pół etatu w mleczarni. Byłam kierowniczką i mówiłam do Janki: „chodź ze mną, etat ci załatwię. Masz odchowane dzieci". Jej dzieci chodziły już wtedy do szkoły. Mogła pracować do trzynastej. Ale Mieciu jej nie pozwalał. Miała krzyż pański z Mieciem.

– Był dla niej niedobry? – zapytałam.

Babcia się zadumała.

– Raz dobry, innym razem niedobry. Ale tak nie można. Nie można tak człowiekowi w życiu robić zamętu. Kiedyś Mieciu tak się upił, że Janka do mnie z dziećmi przybiegła. Bo zaczął w nich rzucać talerzami. I we mnie wtedy taka siła wstąpiła, taka siła – babcia była bardzo przejęta tym, co mówiła – że wyrwałam sztachetę z płotu i pobiegłam w koszuli nocnej do Miecia. Dostał ode mnie kilka razy. Chciałam, by poczuł to, co czuła moja siostra. Nie mówię, że bicie kogoś jest dobre, ale kiedy człowiek jest na granicy wytrzymałości, to może stracić cierpliwość. I ja straciłam.

Na chwilę się zamyśliłam. Pamiętam moją ciocię Jankę. Była zawsze taka radosna. I jakie ona miała poczucie humoru! Tyle wycierpiała, a umiała żartować sobie z tego życia. Miała długie do pasa włosy, które wiązała w kok. I miała takie same oczy jak moja babcia. Zielone. Kocie. Nosiła plisowane spódnice do pół łydki i malowała usta na bordowo. Grała na akordeonie tak dobrze, że z jej przygrywkami były najlepsze zabawy.

– I dobrze, że czasy się zmieniły – powiedziała babcia. – My długo cierpiałyśmy w milczeniu.

– Babciu, czasy się zmieniły, ale też za dużo nie rozmawiamy o tym, co nas boli. Teraz są czasy „ciesz się ze wszystkiego". Czasy „im więcej, tym lepiej". A czasami po prostu dopada człowieka smutek.

ROZDZIAŁ 16

Kiedy sił ci brak

Dostałam zlecenie. Dobrze płatne. I nie powiem, że się z niego nie ucieszyłam, bo w naszym wypadku każdy grosz się liczył.

Oczywiście Szymek, jak to on, musiał wtrącić swoje trzy grosze:

– Pieniądze szczęścia nie dają. – Popatrzył na mnie, uśmiechając się łobuzersko. – Sama tak mówiłaś, kiedy powiedziałem ci, że jakbym miał górę kasy, to kupiłbym sobie lamborghini.

– Tak, ale tu chodzi o nasz dom.

– Moglibyśmy ulepić sobie lepiankę z błota i słomy i też bylibyśmy szczęśliwi. Tak robią biedni ludzie w Afryce i są szczęśliwi. Pamiętasz o tym, mamusiu? – Pamiętałam. Robiłam wszystko, żeby nie parsknąć śmiechem, kiedy wbijał mi szpileczkę za szpileczką. Bo to ja mu o tej nieszczęsnej lepiance powiedziałam.

– Podsunę ten pomysł tatusiowi. – Zaczęłam się śmiać.

– Zanim coś powiesz, zastanów się dwa razy – powiedział Szymek, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

„Przygadywacz" mój kochany.

Kasa kasą, ale faktycznie całą sobą czułam ten projekt.

Nowy portal kobiecy poprosił mnie, abym odpowiadała na pytania czytelniczek, i to na prywatnych telekonferencjach, które będą wyświetlane na portalu. Kiedyś pisało się listy, teraz wszystkie spotkania są na żywo, przez zoomy, skype'y i inne komunikatory i są one chętnie oglądane.

To było coś nowego, coś fajnego i coś ekscytującego, a ja lubiłam wyzwania. Nie wiedziałam do końca, czy się nadaję, ale raz kozie

śmierć, pomyślałam, i się zgodziłam.

Wdrożyłam się szybko. A te spotkania z kobietami mnie wzruszały. Były to spontaniczne spotkania na luzie, bez spiny, bez układania wcześniejszych pytań. Po prostu rozmowa się toczyła.

Kiedyś połączyłam się z Marią. Maria była śliczną dziewczyną. Miała tak przepiękną twarz, że niejedna kobieta na pewno zazdrościła jej urody. Jej ojciec był Rosjaninem, matka Polką. Marysia urodziła się w Warszawie i lubiła, kiedy zwracano się do niej Masza. Tak mówił jej świętej pamięci tato. Po jego śmierci Maria tylko tak się przedstawiała.

– Wie pani… Nie chcę zabrzmieć jak desperatka, ale ja chciałabym prawdziwie żyć i być kochana przez jakiegoś mężczyznę – powiedziała. W jej oczach zauważyłam smutek. Pożałowałam, że jest to spotkanie online, bo w realu mocno bym ją do siebie przytuliła.

– Maszka, to nie desperacja, to pragnienie każdego człowieka – powiedziałam do niej.

– Co pani widzi? – zapytała niespodziewanie Masza.

– Przepiękną kobietę. Młodą. Uśmiechniętą.

– Jestem chora… Nie chcę mówić, co mi jest. Nie chcę się uzewnętrzniać, po raz któryś opowiadać o swojej chorobie. Od tego mam mdłości. Ale żeby rozjaśnić sytuację, chciałabym pani powiedzieć, że jeżdżę na wózku. Staram się żyć normalnie. Studiuję na ASP. Kocham malować. Dostałam się tam bez problemu i za pierwszym razem. Podróżuję, smakuję życia. Pracuję w szkole podstawowej. I… naprawdę doceniam życie, ale mam czasami zjazdy w dół. I przychodzą takie dni, że chciałabym mężczyzny u swojego boku. Wie pani… – przerwała, by zaczerpnąć powietrza – mnie to bardzo wkurza, że o nas, osobach z niepełnosprawnościami czy schorowanych, czasami się zapomina. I to nie tak, jak pani myśli. To wykluczenie jest inne. Zapomina się, że też mamy potrzebę obcowania z drugim człowiekiem, że też poszukujemy miłości, że też chcemy być kochani, przytulani i chcemy uprawiać seks.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. To są właśnie te momenty w życiu, kiedy nie wiesz, co odpowiedzieć.

– Nie chcę, by mi pani doradzała, żeby się zapisać na jakiś portal randkowy albo coś w tym stylu. Chcę tylko, by mi pani powiedziała, jak stawiać czoła życiu. Bo wie pani… – Podrapała się po policzku. – Mam momenty, kiedy sobie myślę, że nie daję rady… Bo przecież nie daję rady wędrować po górach. Czasami nie daję rady gdzieś tym cholernym wózkiem podjechać.

– Masza… Bycie silną to wcale nie jest to, że masz codziennie się uśmiechać, mówić, jak to jest pięknie, zdobywać szczyty, te górskie i te wszystkie inne. To nie jest udowadnianie sobie, że dajesz radę, bo czasami tej rady nie dajesz. Bycie silną oznacza, że to twoja decyzja, kiedy mówisz „wstanę z łóżka", gdy najbardziej na świecie nie chce ci się z tego łóżka wstać. Kiedy bierzesz prysznic i starasz się zmyć z siebie wszystkie smuteczki dnia codziennego. Siła bierze się z twoich decyzji. Siła to też pokonywanie swoich lęków, kiedy problemy wyłażą na ciebie z lodówki, szafy, spod pierzyny. A ty stajesz i mówisz do siebie „dzisiaj się nie dam". Siła jest wtedy, kiedy odbierasz telefon od szefa, a przed chwilą płakałaś, ale wiesz, że musisz też wykonywać swoje obowiązki w pracy, w domu… Kiedy zwinęłabyś się najchętniej w kłębek w łóżku, a prasujesz pościel. Kiedy pieczesz dla dzieciaków ciasto, którego wcale nie chce ci się piec, ale miłość do nich jest większa od wszystkiego. Siła jest wtedy, kiedy aby nie martwić mamy czy przyjaciółki, mówisz „u mnie w miarę dobrze". Ale siła jest też wtedy, gdy dzwonisz do najlepszej z najlepszych swoich duszyczek i mówisz do niej „złap mnie za rękę. Dzisiaj złap mnie za rękę".

– Tatiana… – Dziewczynie drżał głos. – Ja ci dziękuję za te słowa. Być może ty mnie dzisiaj uratowałaś… Być może mnie uratowałaś.

Rozłączyłam się z nią. Byłam rozemocjonowana. Pomyślałam, że każdy z nas potrzebuje czasami takiego koła ratunkowego od drugiego człowieka. Każdy z nas… I jeśli ktoś rzuci w odpowiednim czasie

w twoją stronę takie koło, to jesteś uratowany. Nie utoniesz. A w dzisiejszym świecie tak łatwo utonąć i zostać niezauważonym.

Zadzwoniłam do Ani, mojej kochanej psycholożki, z którą współpracowałam.

I opowiedziałam jej o Maszy. Rozmawiałyśmy długo. Potem zmieniłyśmy temat na nasz cykl artykułów.

Tego dnia połączyłam się też z kobietą, która chciała opowiedzieć mi o swoich rozterkach. Kiedy ją zobaczyłam, pomyślałam, że jest w opłakanym stanie. I taka była. Miała zapuchnięte powieki, na pewno wylała mnóstwo łez. Pod oczami miała fioletowe sińce.

Opowiedziała mi o swoich rozstaniach i powrotach do męża.

– Wróciłam dla dobra dziecka – powiedziała słabym głosem.

Zarówno ja, jak i ona wiedziałyśmy, że prawda jest inna.

Ile razy słyszałam o takich powrotach niby dla dziecka. Ale dziecko nie chce uczestniczyć w szopkach i gierkach swoich rodziców. Dziecko najbardziej na świecie chce spokoju.

– Czy aby na pewno kierujesz się dobrem dziecka? – zapytałam.

Kobieta niespodziewanie się rozłączyła.

Obie znałyśmy odpowiedź.

Uzależnienie nie od człowieka, ale od wyobrażeń na jego temat i strach przed samotnością. Nieważne z kim, byle tylko nie być samemu. Zrobiło mi się smutno, że nie mogę jej pomóc… Ale takie jest życie, nie wszystkim pomożesz i nie każdy pomoże tobie.

Otworzyłam folder z notatkami i zaczęłam pisać.

W dzisiejszym świecie zapotrzebowanie na prawdę, na spokój ducha, na prawdziwych przyjaciół nabiera większej wartości…

W dzisiejszych czasach, w których za dotknięciem ikonki wysyłasz całą masę słów, w których telefon przynosi powiadomienia jedno za drugim, coraz bardziej czujemy się samotni i zagubieni.

Kiedy uśmiechnięta pani z uśmiechniętym panem w jednym poście i kolejnym, a w ich codzienności wcale nie jest im do śmiechu.

W dzisiejszym świecie niektórzy myślą, że definiuje ich piękne ciało, zapominają o tym, że ważniejsze jest to, jak się czujesz przy jakimś człowieku. Jaką energię on ci daje, a jaką zabiera.

Gdzie ze związku w związek...

Przebieramy w ofertach zakupu/sprzedaży.

W ludziach przebieramy.

Dziś jesteś moim znajomym, a jutro ze znajomych cię wywalę.

Przestań obserwować / zaobserwuj.

Gmeramy w ludzkich życiach, sprawdzając statusy.

Życie nie jest statusem.

I zdajemy sobie w pewnym momencie sprawę, że...

Czegoś nam brakuje...

Zrozumienia.

Empatii.

Miłości... Oddania.

Lojalności...

Naleśników z musem jabłkowym na śniadanie.

Przytulenia.

Ciszy. Pocałunków. Spacerów. Splecionych dłoni.

Fioletu nieba.

Słów wypowiedzianych do ucha i tych prosto w oczy.

ROZDZIAŁ 17

O tragediach i kilku innych smutkach

Tego dnia Szymek wrócił z treningu bardzo zdenerwowany. Nie chciał ze mną rozmawiać. Poszedł prosto do pokoju ojca. Składałam pranie na korytarzu i dlatego słyszałam ich rozmowę. No dobrze, przyznaję się, trochę podsłuchiwałam.

– Bo ja chcę być tak dobry jak Krzysiek – powiedział płaczliwym głosem mój młodszy syn.

– Człowiek rozwija się tylko wtedy, kiedy podąża własną drogą, nie stara się być kimś innym. Nie ma dwóch takich samych ludzi, a próba naśladownictwa zazwyczaj kończy się źle – tłumaczył mój mąż spokojnym głosem.

– Ale ja też chcę być dobrym piłkarzem.

– Musisz więc więcej ćwiczyć. Coś nie bierze się z niczego. – Chwila przerwy. Mogłam się założyć, że Artek przytula Szymka.

– Trener mówi, że jedni mają lepsze predyspozycje, a inni mniejsze.

– Jeśli piłka nożna nie będzie twoją drogą, to sobie pójdziesz inną.

– Ale ja chcę być piłkarzem.

– Łap więc piłkę i idź ćwiczyć. Praca jest kluczem do sukcesu. – Podobało mi się, kiedy Artur rozmawiał z dziećmi jak z dorosłymi.

Szymek jednak rozwył się na dobre.

– Czemu płaczesz? Ze złości? Ze smutku? – Głos mojego męża był bardzo ciepły. Byłam pewna, że teraz nachylał się nad Szymkiem i go przytulał.

– Bo to tragedia… Nie strzeliłem ani jednego gola. Taka tragedia – lamentował Szymek.

– Opowiem ci pewną historię… To będzie opowieść o pewnej kobiecie. Sypiała na dworcu Warszawa Centralna. Miała trzydzieści pięć lat, wyglądała na pięćdziesiąt. „Kto by się tym przejmował”, powiedziała kiedyś mężczyźnie, który nalewał jej zupę. „Przejmujesz się w ogóle czymś?”, zapytał ją mężczyzna, który pracował jako wolontariusz i pomagał bezdomnym. „Czymś tam się przejmuję, ale niewiele jest już rzeczy, którymi mogłabym się przejmować. Nie warto”. Kobieta była mądra, bystra i miała jakiś żar w oczach. Czuć też od niej było nieprzyjemny zapach. Swędziało ją niemal całe ciało i co chwila się drapała. Nie chciała dać sobie pomóc. A może tak się mu tylko wydawało? Ilekroć przynosił jej jakieś rzeczy, ona je rozdawała. Nawet porcją zupy potrafiła się podzielić z kimś, kto już swoją zjadł. „On już jadł”, nie wytrzymał kiedyś wolontariusz i powiedział o tym kobiecie. „Może się nie najadł”, uśmiechnęła się łobuzersko. „Ale ty będziesz głodna”. „Może tak, a może nie…” Była w niej jakaś przekora, a mężczyzna zastanawiał się wielokrotnie, dlaczego taka kobieta jest bezdomna. Co się w jej życiu stało, że wylądowała na bruku. Nie chciała o tym opowiadać, a on snuł różne domysły. Zawsze była dla niego życzliwa i on też ją polubił. Spotykali się już od roku i dużo ze sobą rozmawiali. Tak że jakaś więź się między nimi zrodziła. Kiedyś oblał egzamin, był studentem trzeciego roku medycyny. Nie miał ochoty na gadki. Był po prostu zły i zawiedziony. I wtedy podeszła do niego bezdomna. Po raz pierwszy powiedziała mu, że ma na imię Marika. „Śliczne imię”, skomplementował. Sam nie wiedział dlaczego, ale poczuł w sercu radość. „Wiem”, położyła mu swoją brudną dłoń na ramieniu i powiedziała: „Są rzeczy ważniejsze od niezdanego egzaminu”. Spojrzał na nią i wtedy przekonał się, że ma rację…

Artur skończył opowiadać. Ja zamarłam z koszulką przy piersiach.

– Tato, masz rację. Są większe tragedie niż to, że nie strzeliłem gola.

– Ma prawo być ci przykro. Masz prawo odczuwać złość, ale, synku…

– Rozumiem, tato.

***

Tego dnia napisałam:

Odpuść sobie, nie zadręczaj się. Co będzie, to będzie, i tak się zdarzy, i tak.

Z Twoim zamartwianiem lub bez niego…

I pewnie, że rozstania bolą, i nieważne, czy był to typ spod ciemnej gwiazdy, jasnej gwiazdy czy spod księżyca. Czy filmowy amant, czy książę bez konia.

Boli jak jasna cholera.

I słowa ranią, ale słowa mają też moc sprawczą. I dodają otuchy, wiary.

Znajdź takie miejsce w swoim życiu, w swoim małym światku, tylko dla siebie…

Życie bywa piękne, ale trudne.

I bywa tak, że jest cholernie ciężko, by potem było w miarę… A potem znowu fajnie.

Nie zadowalaj wszystkich dokoła, nic z tego dobrego nie wychodzi.

Bądź Ty, zadowolona/zadowolony.

Masz prawo się załamać. Masz prawo beczeć, wycierać nos, kląć na czym świat stoi.

Krzycz, kiedy nie możesz więcej znieść. A tupnij nogą!

Za jakiś czas będzie inaczej.

Za jakiś czas zatańczysz w deszczu, będziesz podziwiała/podziwiał tę burzę z innej perspektywy, z oddali.

I to tak zatańczysz… Jak wymachniesz nogą i rękami!

Każda burza, każda rozpierducha kiedyś mija.

Przestań w kółko siebie pytać: „dlaczego to mi się przydarzyło?". Nie wiem tego ja ani nie wiesz Ty. I nieprawda, że ból uszlachetnia – potrafi sponiewierać, dziad jeden!

Ale kiedy w kółko będziesz o to pytać, i tak nie znajdziesz odpowiedzi.

Trzymaj się. No musisz jakoś się trzymać. Złap się choćby cienkiej gałęzi, przejdź po tej linie, która wisi nad przepaścią. Przejdź na drugą stronę.

ROZDZIAŁ 18

Życie jak w transie

Wiem, że mi odbiło. A to już plus, że zdaję sobie z tego sprawę. Bo jak człowiek jest uświadomiony, to pewne sprawy łatwiej przyjmuje.

Czułam się dobrze w tym stanie zakochania. Ostatnie moje lata to były pranie, sprzątanie, gotowanie, szkoła, zajęcia pozalekcyjne moich dzieci. A nagle miłość mnie wzniosła na wyżyny. Latałam, fruwałam i ciągle głupio się uśmiechałam.

Daria w kółko powtarzała mi, że nie dostrzegam tego, co ważne. Ale może nie chciałam dostrzegać?

Dopadały mnie oczywiście takie chwile, kiedy zastanawiałam się „no dobra, teraz tak szybuję w obłokach, ale co potem?". Ale wolałam spychać je gdzieś w głąb duszy.

***

No i pojawił się On. Wcale nie przyjechał do mnie na białym koniu, miał opla. Ale… był moim marzeniem, to znaczy tak mi się wydawało w tamtej chwili zamroczenia. Bo przecież myślałam sobie: „Nic mnie już w życiu nie spotka, dobijam do czterdziestki i to już koniec". A tu nagle takie emocje, takie ekscytacje i w ogóle takie rzeczy!

I nawijał mi ten makaron na uszy, a ja go zdejmowałam i tak sobie wciągałam jak spaghetti w wersji *romantico*.

I wciskał mi kity, jaka ja mądra, piękna i że ze mną tak cudnie. (Później się okazało, że on te kity nie tylko mi wciskał, ale ja chciałam wierzyć w swoją wyjątkowość). I łykałam te głodne kawałki. Ja, kobieta

rozumna, kobieta, która niejedno widziała, słyszała i przeżyła, tak się zachłysnęłam lepkością jego słów. Wariatka. Chciałam być nabierana na łyżkę jego słodkich do wyrzygania słów. Oczywiście wtedy te słowa były dla mnie jak miód.

I tak mi odwaliło, że te emotikonki wszystkie mu słałam. Od serduszek czerwonych po serca w kolorze czekolady.

On napisał „Dzień dobry".

I ja bum, serducho, takie, wiecie, z którego wytryskują inne serducha.

„Hej, bejbe... Jak mija dzień?"

„Tęsknię..."

I znów mu serducho, takie z kokardką, słałam i potem jeszcze tę buźkę z oczami serduchowymi.

I robiłam dla niego zdjęcia. Pamiętajcie, jeśli będziecie strzelać fotki dla przyszłego kochanka, to upewnijcie się, że w lustrze czy waszych okularach nie odbija się postać waszego dziecka, ewentualnie męża. Raz strzeliłam sobie selfie, a w odbiciu lustrzanym Szymek wkładał skarpety. I wysłałam takie zdjęcie z wydętymi ustami i z Szymkiem w tle do Iwa. Żenada roku. Ale kilka takich żenad zaliczyłam. Zdjęcie z króliczymi uszami, które dobre są dla piętnastolatki, ale nie dla kobiety czterdziestoletniej. Wysłałam mu też zdjęcie z opadniętym ramiączkiem, które ukazywało rowek między moimi piersiami i moje nagie ramię. I wtedy mi się to wydawało takie cudne. I on pisał:

„Chciałbym cię pocałować w ramię".

I moja odpowiedź lotna:

„Chciałabym, byś mnie w to ramię całował..."

***

I mąż poszedł w odstawkę, bo po osiemnastu latach to on wcale nie taki ach i och i nie mówi, że wyglądam pięknie...

I dzieci jakoś mnie nie obchodziły. Teraz to tak mi wstyd, ale wtedy...

Wtedy to ja pląsałam w obłokach. Niczym ta nimfa, wróżka czy jakaś inna pindolina.

No i zakochiwałam się coraz intensywniej. Wiecie, jak to jest, tak całą sobą. My, kobiety, jesteśmy w tym specjalistkami. Wiedziałam, że z każdym dniem popełniam coraz większy błąd, ale mimo wszystko w to brnęłam. Takie słodko-gorzkie było to brnięcie, bo gdzieś z tyłu głowy pojawiały się wyrzuty sumienia.

Brnęłam jak w błocie jakimś.

– Śmierdzisz! – usłyszałam na korytarzu.

– Sam śmierdzisz, gówniarzu – odciął się mój starszy syn.

– Nie takim tonem! – krzyknęłam do nich, chowając komórkę do kieszeni.

– Mamo, on wczoraj był na treningu i nie wziął prysznica, i śmierdzi – wołał Szymek.

– A ty pierdzisz! Non stop pierdzisz! – Krystek szturchnął brata.

– Uspokójcie się, do cholery! – Nie wytrzymałam i zaczęłam się drzeć.

– Mówiłaś, żeby nie przeklinać.

Miałam ochotę powiedzieć, że „cholera" to nie przekleństwo, ale zamilkłam.

Poszli we dwóch do kuchni, ogarnięci tą braterską miłością, gdzie jeden drugiego szturcha.

Nachyliłam się nad koszem i wyjęłam z niego brudne ciuchy. Słyszałam, jak płatki śniadaniowe grzechoczą w miskach. Normalnie wyskoczyłabym z łazienki i pobiegła do kuchni, wrzeszcząc, że niezdrowo się odżywiają, że zamiast jeść płatki czekoladowe, powinni zjeść owsiankę, ale tego dnia miałam to gdzieś. Niech jedzą, co chcą. Ja czekałam na wiadomość od Iwa. Telefon w kieszeni bluzy zawibrował. Wyjęłam go z uśmiechem na twarzy i poczułam rozczarowanie – to nie wiadomość od Iwa, ale mail z pracy. W mostku mnie jakoś dziwnie ukłuło i byłam na siebie naprawdę zła. Kiedy Iwo długo do mnie nie

pisał, czułam rozgoryczenie, złość i frustrację. I to mi się w tym moim zakochaniu nie podobało.

Daria miała rację, mówiąc o tym, że w romansach jest więcej negatywnych uczuć niż tych pozytywnych. Nieustannie zastanawiałam się, co on w danym momencie robi, czy mnie nie zdradza. To śmieszne, bo przecież nie byliśmy w żadnym związku, a ja byłam o niego cholernie zazdrosna. I zdawałam sobie sprawę, że chciałabym go mieć tylko dla siebie.

Kilkanaście minut później dzieci wyszły do szkoły, mąż do pracy, a ja nie potrafiłam się skoncentrować na pracy. Co chwila zerkałam na telefon. W końcu jest wiadomość od niego. Poziom adrenaliny i dopaminy wzrósł. A ja od stanu rozczarowania przeszłam do rozanielenia.

Napisał, że o mnie myśli. Ja oczywiście też o nim myślałam, odkąd otworzyłam oczy.

Obiecałam sobie, że nie będę odpisywać od razu, ale chęć odpowiedzenia była silniejsza od moich postanowień. Odpisałam, że też o nim myślę i nie mogę się doczekać kolejnego spotkania.

Na co on… że może posuniemy się krok dalej.

Serce mi łomotało. Z jednej strony rodzina, mąż, którego nigdy nie zdradziłam, z drugiej Iwo. Mój Iwo, którego szalenie pragnęłam.

Przyszła kolejna wiadomość.

Napisał, że marzy, by mnie rozbierać z bielizny.

Płonęłam.

Spojrzałam na siebie. Byłam w dresie, a pod nim miałam różowy sprany stanik i bawełniane gacie.

Ale przecież na spotkanie z nim włożyłabym coś lepszego.

Odnotowałam w głowie, że muszę kupić sobie seksowaną bieliznę na wszelki wypadek. Daria powiedziałaby, że nie ma wszelkich wypadków, a to jest prowokacja. Prowokuję sytuację.

Zadzwoniłam do Darii. Obiecała, że wpadnie między spotkaniem z klientem a sesją zdjęciową. I faktycznie zjawiła się u mnie koło południa. Piłyśmy kawę.

– Odbiło ci z Iwem. Kompletnie ci odwaliło!

– Powiedziałaś, że nie będziesz mnie oceniała. – Starałam się na nią nie patrzeć.

– Ale ja cię nie oceniam. – Rzuciła kurtkę na oparcie krzesła, a sama usiadła na sofie. – Nie oceniam cię – wysapała. – Ale mam prawo do wyrażenia swojego zdania. A moje zdanie jest takie, żebyś od niego spieprzała, ucięła kontakt.

– Nie potrafię.

– Masz męża i dwójkę dzieci – powiedziała.

– Ale on jest inny. On mnie rozumie, nie to co Artek.

– Jakby z tobą zamieszkał, to, uwierz mi, skończyłyby się te wzdychania, słodkopierdzące wiadomości. Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o księciu.

– On jest inny – powtórzyłam niczym w transie. – Powiedział mi „zdarzyłaś mi się".

– Taaaa – Daria westchnęła. – Zdarzyłaś mu się. I jak tylko cię przeleci, to mu się odwidzi i będziesz miała zderzenie z rzeczywistością.

– Wydaje mi się, że się we mnie zakochał.

– Tylko nie opowiadaj za dużo o sobie, bo takie historie z reguły się źle kończą. A on potem te wszystkie informacje wykorzysta przeciwko tobie. Powiem tak – Daria założyła ręce na piersi – jebnęło ci w głowę.

– Wiem, ale ja nie potrafię już tego zakończyć.

– Potrafisz, Tatiana, pewnie, że potrafisz, tylko musisz się zaprzeć.

– Jak to zaprzeć?

– Nie odpisywać na jego wiadomości. Nie spotykać się z nim.

– On jest jak powiew świeżości.

– Jak co?

– Powiew świeżości.

Daria wypiła do końca kawę, po czym spojrzała na mnie.

– Takie powiewy świeżości zazwyczaj kończą się smrodkiem. A potem wybija szambo.

– On jest inny…

– No dziwne, gdyby był taki sam jak twój mąż. Wiesz, inność zawsze zachwyca na początku, a potem zobaczysz, że też ma swoje nawyki i przyzwyczajenia. I pierdzi, i beka, i zostawia na szafce odkręconą pastę do zębów. Nawet jeśli wydaje ci się, że bez niego twój świat się teraz rozsypie, to powiem ci, że jest to największe *fucking shit*, jakie kiedykolwiek słyszałam. Twój świat będzie trwał nadal i powiem ci jeszcze jedno: będzie miał się całkiem dobrze.

– Nie wiem sama. – Odruchowo poprawiłam sobie włosy.

– Nie kochasz już Artka? Chcesz wkroczyć z rozpędem w inny, lepszy, bardziej uduchowiony bądź też cielesny związek?

– Nie wyobrażam sobie, że moim mężem jest ktoś inny. Ja kocham Artka, ale przy Iwie mam, wiesz, motyle, zawirowania. I on tak na mnie patrzy… I mówi mi, że jestem piękna.

– Muszę lecieć, a ty się lepiej zastanów nad tym wszystkim.
– Mhm – mruknęłam pod nosem.

ROZDZIAŁ 19

Spotkanie

Oczywiście, że nie skończyłam ukradkowych spotkań z Iwem, i oczywiście, że nie przestałam z nim pisać. A pisaliśmy o wszystkim: o tym, jak nam minął dzień, co nas cieszy, co smuci, co nam się spodobało, a co już mniej. Jaki serial sobie polecamy. Wydawało mi się, że mojego męża w ogóle to nie obchodzi. A Iwa obchodziło wszystko. Z czego się śmieję, do czego tęsknię, co mnie wkurza. On też zwierzał mi się ze swoich problemów i radości. W ogóle powiedział mi, że z nikim się tak nie śmieje jak ze mną. A to już było coś. Motyle stadami fruwały w moim podbrzuszu. Kiedy dwoje ludzi lubi się tak bardzo, że nieustannie się ze sobą śmieją, to jest wspaniale. A ja przy nim czułam się tak dobrze. I mówił mi, że zdarzyłam mu się w odpowiednim czasie, a ja chciałam w to wierzyć. I oczywiście wierzyłam. Wariatka jedna, pozbawiona racjonalnego myślenia. Unosiłam się kilka metrów nad ziemią, wierząc, że tak już będzie zawsze. Tatiana niesiona na miłosnym haju.

I chodziliśmy na ukradkowe kolacje i do kina, i na spacery. Raz nawet sobie pomyślałam „a jeśli ktoś nas zobaczy, to trudno, to niech zobaczy, widocznie tak musi być. I wtedy niech los zdecyduje". Sama nie mogłam uwierzyć, że byłam tak głupia.

Czwartkowego wieczoru weszłam do pubu, w którym się umówiliśmy. Wnętrze było wypełnione po brzegi młodymi ludźmi. I to takimi naprawdę sporo młodszymi. Nawet nie studentami, a raczej licealistami. Skrzywiłam się. Czułam się tutaj niczym dinozaur. Co ja tutaj właściwie robię? Mój syn miał trening piłki nożnej, a ja poprosiłam, by zawiozła go Daria, wymigując się jakimś spotkaniem.

Przyjaciółka skarciła mnie wzrokiem. Myślę, że czuła, że kręciłam. Mój mąż był w delegacji, a ja sączyłam niezbyt dobre wino z facetem, w którym się głupio zakochałam.

– Co wymyśliłeś żonie? – Nie wiem, dlaczego zadałam mu takie pytanie. Po prostu chciałam wiedzieć.

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie powinnam, przepraszam.

– Że jestem na spotkaniu z klientem. – No tak, był handlowcem, miał mnóstwo spotkań. – Tatiana, nie powinniśmy o tym rozmawiać.

– Nie. Masz rację.

Spojrzeliśmy na siebie i się uśmiechnęliśmy.

– Chciałabyś czegoś więcej? – zapytał nieśmiało. Spuścił wzrok i bawił się kieliszkiem.

A ja nie wiedziałam, czy mam odpowiedzieć prawdę.

– Chyba tak. – Mój głos miał jakąś chrypliwą barwę. – Chyba tak – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

I nagle on dotknął mojej ręki. A ja poczułam, jak ciepło rozlewa się po moim ciele i nagle bum. Jakby mnie ktoś zdzielił w twarz.

– Pani Tatiana? – Na te słowa cofnęłam gwałtownie rękę, omal nie przewracając kieliszka z winem. Obok mnie stał młokos z zaczesanymi do tyłu włosami, w bluzie z kapturem. Nie mogłam uwierzyć, że koło mnie stoi chłopak, który jest najlepszym kumplem mojego starszego syna.

– Dzień dobry. – Wstałam od stolika, posyłając Iwowi zatroskane spojrzenie.

– Co pani tu robi? – Gówniarzowi jakimś cudem udało się kupić alkohol, bo czułam od niego piwo.

– A ty? – zapytałam, uśmiechając się.

– Mój starszy brat i jego ziomki zabrali mnie ze sobą. – Wskazał na stolik pod oknem.

– To miłe. – Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Zachowywałam się strasznie dziwnie.

– Zawsze panią lubiłem – powiedział Paweł, bo tak miał na imię chłopak.

– To miłe – powtarzałam ten sam frazes.

Chłopak spojrzał na mojego towarzysza, a ja zmarszczyłam nos. Czułam się w obowiązku, by się wytłumaczyć, kim jest Iwo.

– To mój wydawca – skłamałam. – Załatwiamy interesy.

– No… – Młody dotknął swojej czupryny. – Fajna ta speluna – stwierdził. Właśnie, spotkaliśmy się w spelunie, bo zakładaliśmy, że na nikogo znajomego się nie natkniemy, a tu takie zaskoczenie.

Kiedy Paweł odszedł, Iwo wypalił:

– Mam nadzieję, że ten chłopak nikomu o nas nie powie. – Był wyraźnie zdenerwowany. Ależ mnie to wkurzyło! Przed chwilą mówił mi o czymś więcej, a teraz zachowywał się jak nieopierzony kogut, który najchętniej uciekłby do swojego kurnika.

– Boisz się? – Spojrzałam na jego spocone dłonie i to, jak wyginał sobie palce.

– No chyba nie chcemy, żeby o naszych schadzkach dowiedzieli się nasi małżonkowie. – Puścił do mnie oko.

I jakoś to mnie zabolało. Poza tym pomyślałam, że mój Iwo nie jest takim chojrakiem, na jakiego wyglądał. Bał się rozpadu małżeństwa. Był większym tchórzem niż ja. To o co mu chodziło? Czyżby Daria miała rację? Jakiś numerek w hotelu, a potem „do widzenia”.

– Nie chcemy – powiedziałam beznamiętnym głosem. Do końca spotkania miałam skwaszoną minę, a Iwo rozglądał się nerwowo na boki i ani razu już nie położył dłoni na mojej ręce. Czego ja właściwie się spodziewałam?

On chciał mnie przelecieć raz, może dwa, a potem wrócić do swej bezpiecznej przystani, jak jakieś osiemdziesiąt procent zdradzających współmałżonków.

Wiedziałam, że powinnam zakończyć tę relację, bo była niezdrowa. Niepoprawna. Bo niszczyła mnie i niszczyła jego. Bo nasze rodziny na tym cierpiały. Bo oboje podskórnie wiedzieliśmy, że nie będziemy ze sobą. Byłam zmęczona wymyślaniem kolejnych wymówek, by się z nim spotkać. Udawaniem, że wszystko jest w porządku, kiedy w porządku nie jest.

Okłamywaniem siebie, że może się jeszcze da coś naprawić, ale czasami się nie da.

A teraz zobaczyłam ten strach w jego oczach i jakoś tym mnie do siebie zraził.

Następnego poranka przysłał mi wiadomość.

„Przepraszam za wczoraj. Spotkamy się jutro?"

„Nie mogę" – odpisałam oschle.

„Pojutrze?"

Nie odpisałam.

Zadzwonił.

– Tatiana, przeprosiłem.

– Wczoraj dziwnie się poczułam – powiedziałam szczerze. Nie chciałam nic owijać w bawełnę.

– Rozumiem i przepraszam. Chcę ci to jakoś wynagrodzić.

Zmiękłam.

I wynagrodził. Pojechaliśmy razem do Krakowa. Chodziliśmy po starówce, trzymając się za ręce. Całowaliśmy się jak nastolatkowie, przystając co chwila. Niestety musieliśmy wieczorem wrócić do domu. I dobrze, bo pewnie przespalibyśmy się ze sobą.

ROZDZIAŁ 20

O randkowaniu i nie tylko

Wpadł do nas nasz stary przyjaciel. To znaczy nie taki stary, bo w średnim wieku. Marek Markowski, zwany Markusem. Marek był stanu wolnego i od dwóch lat poszukiwał kobiety, która stanie u jego boku. Miał czterdzieści trzy lata, hipnotyzujący uśmiech i był przystojny. Poza tym był fizykiem, wykładowcą, grał na gitarze w jakimś młodzieżowym zespole i robił wiele innych odlotowych rzeczy. Z Markusem znałam się osiemnaście lat, tyle samo co z moim mężem, bo poznaliśmy się na tej samej imprezie, na której poznałam Artka. Marek, podobnie jak Daria, był jakby członkiem naszej rodziny. Zawsze śmiał się z tego określenia. „Czyli jakby takim chujkiem jestem?" – zapytał któregoś dnia. „Jakby tak" – odpowiedział mój mąż.

– Napijesz się kawy? – zapytałam, kiedy Marek usiadł na krześle w kuchni.

– Sam sobie zrobię, twoja jest za mocna. – Podszedł do szafki, z której wyjął swój kubek. Bo Markus, tak jak Daria, miał u nas swój kubek.

– Kawa powinna być mocna – stwierdziłam, popijając swoją.

– Ale nie taka, że oczy z orbit wychodzą, a twoja taka jest.

Wsypał do swojego niebieskiego kubka dwie płaskie łyżeczki kawy i trzy łyżeczki cukru, po czym nastawił czajnik.

– Jak możesz pić taki ulepek? – zapytałam.

– Życie sobie osładzam.

– A nie osładza ci go jakaś cudowna dziewczyna?

– A daj spokój. – Machnął ręką i oparł się o blat stołu. – W ciągu dwóch miesięcy odbyłem kilka randek. I okazało się, że wszystkie to

porażki.

Woda w czajniku się zagotowała. Markus zalał kawę i usiadł naprzeciwko mnie.

– Co z nimi jest nie tak? – nie czekając na odpowiedź, kontynuowałam indagację. – Może za wysoko stawiasz poprzeczkę?

– No to posłuchaj. – Markus dolał sobie do kawy odrobinę mleka i pociągnął kilka łyków. – Pierwsza randka z prawniczką. Powiem ci, że sprawiała wrażenie kobiety godnej zaufania.

– No, ba… Prawniczka przecież – powiedziałam.

Markus upił łyk kawy. Rozejrzał się, jakby był w naszej kuchni pierwszy raz, po czym dodał:

– Wyciągnęła z teczki notes i zaczęła mnie przepytywać, notując odpowiedzi.

– Jak to?

– Najnormalniej w świecie. Zadawała pytania typu „gdzie widzisz siebie za pięć lat?", „co sądzisz o instytucji małżeństwa?".

– Ja pieprzę.

– Najgorsze było to, że ona sobie notowała coś w tym swoim kajecie. Wiesz, jakby mnie oceniała.

– Ale że twoje odpowiedzi?

– Tak. Moje odpowiedzi i jakieś cyferki obok nich stawiała. Po czym zeżarła obiad, domówiła deser i drogie wino. I kiedy skonsumowała to wszystko, wstała i powiedziała, że nie mamy ze sobą za wiele wspólnego.

Roześmiałam się.

– Ale skąd ty ją wytrzasnąłeś? To czyjaś znajoma?

– Tatiana, dzisiaj się randkuje przez Tindera.

Słyszałam o Tinderze, ale jestem z epoki dinozaurów, umysłem tego nie ogarniam.

– Jak to w ogóle działa? – zapytałam, popijając kawę.

– Chodzi o to, że ta apka wskazuje ci osoby z twojej okolicy, z którymi możesz się umówić. I jak ta osoba ci się spodoba, to klikasz serduszko, a jak ty jej, ona też klika i możecie sobie razem popisać. Albo odrzucasz ją, albo ona ciebie, jak coś tam wam się nie spodoba.

– Jak wybieranie owoców w warzywniaku.

– Coś w tym stylu.

– Jakaś masakra. W dzisiejszym świecie, gdzie wirtualność zdobyła realny świat, niektórzy ludzie żyją bardziej w złudzeniach niż w rzeczywistości. I to jest przerażające.

– Tatiana nie dramatyzowałbym, bo jednak trochę człowiek się poznaje, pisząc ze sobą. A potem dochodzi jednak do spotkania w realu.

– No tak, ale niektórym chodzi o jedno.

– Jeśli chodzi im o seks, to większość sobie o tym szczerze pisze. I to jest fair. Nikogo na siłę nie zaciągniesz do łóżka, chyba że jesteś jakimś popaprańcem. Kiedyś poznawałeś dziewczynę w klubie i jak była chętna, to też szła z tobą w krzaki na seks, a jak nie, to pozwalała się poznać.

– Dobra, mów o tych kolejnych twoich randkach. – Byłam ich ciekawa.

– Kolejna kobieta zaprosiła mnie do siebie do domu, na pierwszą randkę. Pomyślałem, że to może jakaś morderczyni. Podejrzanie śmiała wydała mi się ta propozycja.

– Ale zaryzykowałeś? – Napiłam się wody.

– Kto nie ryzykuje, nie pije szampana. – Na twarzy Markusa pojawił się szeroki uśmiech. Spojrzałam na niego z jakąś taką siostrzaną czułością. Był przystojny, fajny, wygadany, ale jakoś w znalezieniu tej jednej jedynej mu nie szło. – Ale… – Pociągnął łyk kawy.

– I co tym razem?

– Przywitał mnie zwierzyniec. A raczej stado chihuahua. Wiesz, tych małych rozdartych piesków, do których jakoś nie mam serca. Obszczekały mnie strasznie. Do tego jakoś tak warczały, wyszczerzając

zęby. Małe to takie, ale groźne. Czułem się dość niepewnie, poruszając się po jej mieszkaniu.

– Wyobrażam sobie. – Nie kryłam rozbawienia.

– Ale myślę sobie tak: „Markus, nie osądzaj kobiety po tym, jakim zwierzyńcem się otacza". Wszedłem do środka. Usiadłem na kanapie. Pieski mnie obsiadły. Ania, bo tak miała na imię właścicielka psów, podała mi wodę i zapytała, co myślę o zwierzyńcu. Odpowiedziałem jej, że jeśli jej to pasuje, to ja nie mam z tym problemu. I stało się z nią coś dziwnego.

– Co? – Czułam się, jakbym czytała jakąś dobrą sensację.

– Zaczęła się wiercić na fotelu, o tak. – Markus zademonstrował jakieś kocie wygibasy. – Marszczyć nos, kręcić z powątpiewaniem głową. I zaczęła drążyć, czy lubię pieski, czy chciałbym mieć więcej piesków. A kiedy powiedziałem, że wolę koty. Jej mina już do końca spotkania pozostała naburmuszona.

– Czyli odprawiła cię z kwitkiem?

– Nie mogła się pogodzić, że ze mnie jest rasowy kociarz. Na odchodne powiedziała smutnym głosem „wiesz, że do siebie nie pasujemy?". Wiedziałem.

– Ja pieprzę, jaka historia! Zjesz coś? – zapytałam.

– A co masz?

– Wczorajsze kopytka, zupę pomidorową albo kanapkę.

– A jakbyś mi tych kopytek tak podsmażyła?

– Podsmażę...

Rozgrzałam tłuszcz i nasypałam kopytka na patelnię. Przyprawiłam. Po czym usiadłam na stołku.

– Za same kopytka mógłbym z tobą być. – Uśmiechnął się. – Znasz mnie.

– Za dobrze i dlatego nie będziemy razem.

Śmialiśmy się na dobre.

– Ale zaczekaj opowiem ci jeszcze jedną historię. Spotkałem się z nimfomanką, która chciała ze mną uprawiać seks w toalecie w restauracji. Przyszła na spotkanie bez majtek i ciągle mi mówiła jak bardzo jest mokra.

– Skorzystałeś z okazji?

– Jakoś nie kręciło mnie to, że laska po pięciu minutach mówi mi, że ma uda całe mokre, bo podnieca ją, jak jem makaron. Byłem na randce z kobietą, która wszystko brała na serio i nie śmiała się z ani jednego mojego dowcipu. Z kobietą z traumami, która pokazywała mi zdjęcia swoich byłych i płakała nad każdym z nich. Na razie mam dość.

– Teraz to zjesz kopytka. – Nasypałam mu klusek na talerz. – A czego ty, Markus, szukasz?

– Normalnej kobiety, Tatiana. Normalnej kobiety, co to pójdzie ze mną na hot doga, na spacer, która będzie się cieszyła z życia. Przytuli

się do mnie podczas oglądania serialu. Która nie będzie taka ę-ą i bułkę przez bibułkę. Ani nie będzie robiła sobie non stop selfie, jej bogiem nie będzie Instagram. A w tym poronionym świecie normalność straciła swoją wartość. Wy to z Artkiem tak się dobraliście, no tak się dobraliście, że mało można znaleźć takich par.

Na te słowa Artek wszedł do kuchni i pocałował mnie w policzek, a moje wnętrzności wywróciły się do góry nogami. Poczułam się podle. Naprawdę byliśmy z Artkiem dobranym małżeństwem. Czego ja jeszcze szukałam?

ROZDZIAŁ 21

O tym, że przeszłość potrafi człowieka dopaść w najmniej spodziewanym momencie

Są takie dni, kiedy lepiej do mnie nie podchodź. To są dni, kiedy lepiej się w ogóle do mnie nie odzywać. Bo można zostać ofukanym. I ten dzień taki był.

Byłam zła jak osa, bo odkryłam, że ktoś nie domknął zamrażarki na noc i wnętrze całe się zmroziło. A że niedomknięta chłodziła jak oszalała przez te wszystkie godziny, to zamroziła też wszystko dokoła. Grube warstwy lodu oblepiły szuflady i ścianki zamrażarki.

– Kto, do jasnej cholery, nie zamknął tych drzwiczek?! – darłam się wniebogłosy.

– Pewnie tata. Jadł lody wieczorem – powiedział Szymek.

– Po mnie lody jadła mama – stwierdził mój mąż, zwalając tym samym winę na mnie.

– No faktycznie, ja byłam ostatnia. Wydawało mi się, że jednak domknęłam.

– Odmrażaj.

– Odmrażanie zajmie mi pół dnia, a zresztą nie chcę tej zamrażarki odmrażać, bo w dwóch szufladach mam mięso. Nie odmrożę całości i potem tego na nowo nie zamrożę, bo się zatrujemy.

– Trzeba skrobać – powiedział Krystian, który jadł swój tost.

Zaopatrzona w tłuczek do mięsa i nóż zaczęłam skrobanie. Palec sobie stłukłam. Ale skrobałam dzielnie dalej. Potem się okazało, że kawa

mi się skończyła i spaliłam sobie tost.

– Wychodzę do pracy, ale skoczę ci jeszcze po kawę – powiedział Artek.

– Dzięki. – Mój głos wcale nie był pełen wdzięczności.

– Masz PMS?

Skinęłam głową.

– Ty się ciesz, że jeszcze masz okres – odrzekł mój mąż.

– A dlaczego mam się cieszyć?

– Menopauza gdzieś za rogiem się czai. Tupta sobie, czekając na ciebie. – Wlał do kubka herbatę i uśmiał się ze swojego żartu.

– To nie jest śmieszne.

– Ale prawdziwe. – Pocałował mnie w czubek głowy. Dlaczego mój mąż całuje mnie w czubek głowy, a nie namiętnie w usta?

Bo takie jest życie. Bo po ochach i achach, po słodkich wyznaniach, niespełnionych obietnicach, po motylach w brzuchu nadchodzi fala spokoju. Gdybyśmy ciągle wznosili się na haju namiętności i pożądania, nasze serca ponoć by tego nie wytrzymały. I my mamy w głowie jakiś obraz naszego wyśnionego księcia czy księżniczki, ale jak wiemy z życia, nie ma ideałów. Są ludzie z przeszłością, traumami, ludzie pokrzywieni. A Iwo? On teraz jest dla mnie takim wyśnionym ideałem. Ale muszę sobie wytłumaczyć, że mój mózg zalała dopamina, i nawet Iwo jest zwykłym śmiertelnikiem.

A każdy z nas jest trochę pokrzywiony przez życie. I życie lubi spuszczać manto. Głaszcze też po głowie, daje buziaki, ale czasami jak nam spuści lańsko, to nie wiemy, jak się pozbierać. Jak już tego lańska nie ma, to jest dobrze. Słyszałam też, że sekretem do szczęścia są niskie oczekiwania. Świat nam mówi: miej wysokie oczekiwania, wyznacz sobie cele, bo jeśli nie, to coś jest z tobą nie tak.

Całe życie ludzie szukają złotego środka, żeby być zadowolonym z tego, co mają, ale jednocześnie chcą więcej. Machnęłam ręką, bo już zaczęłam za bardzo filozofować.

Artek przywiózł mi kawę, a ja zabrałam się za skrobanie lodówki.

A potem wysmażyłam artykuł o fochu. Bo każdego z nas czasami taki foszek dopada.

I pojawia się znikąd. Raz przychodzi w podskokach, innym razem z wyskokiem, a kiedy indziej zakrada się cichutko.

Kroczy z dumnie wyprężoną piersią, by zaatakować w najmniej oczekiwanym momencie.

Raz jest malutki tyci, tyci, innym razem rozwala cię od środka, ba, foch to nawet system nerwowy potrafi rozwalić.

Któż go nie zna? To ten znajomy, którego nie chcemy częstować kawą, zapraszać na pogawędki ani odkrajać dla niego kawałka ciasta. Bo foch nie lubi słodyczy. Panoszy się taki z naburmuszoną miną i wszystkich wkurza, on nawet ciebie wkurza i miałabyś nim ochotę potrząsnąć. A przez tych kilka godzin/dni się kumplujecie. Nawet chcesz mu się przypodobać. Temu przebrzydłemu fochowi jednemu.

Klasyfikacja focha:

· foch na cały świat,

· foch bez powodu,

· foch z powodem (jakkolwiek to brzmi),

· foch na jedną osobę / na cały męski/kobiecy ród / na pół świata i też na cały świat,

· foch milczący,

· foch burczący (nic, nic, nieważne),

· foch unikający (ludzi, rozmów).

Milkniesz, a przecież chciałabyś tyle powiedzieć, ale z fochem to tak jakoś nie wypada się rozgadać. A skręca cię od środka. I wysłałabyś mu tego mema, ale nie… Milczysz, karzesz go fochem. I opowiedziałabyś mu o tym, jak było w pracy i o tym, że skończyłaś książkę, no wiesz którą… Ale milczysz, foch trzyma cię za gardło i nie puszcza. A ty mu na to pozwalasz.

I to normalne, że czasem człowiek się obrazi, że ma wszystkiego dość, ale nie każdy ma odwagę się do tego przyznać. Ostatnio gdzieś wyczytałam, że żyjemy w kulcie pozornej szczęśliwości, a ja uważam, że każdy ma prawo się fochnąć (na krótką chwilę, na dłuższą nie warto), tupnąć nogą. I nie zawsze nam do śmiechu.

Bo świat potrafi wkurzyć, a dzieci jakieś nieznośne, a mąż na odcisk nadepnął.

Foch pojawia się, gdy napięcie sięga zenitu, nakazuje ci: a weź miej wyrąbane, daj sobie i innym święty spokój. Dzisiaj, jutro, przez kilka dni…

Foch się nie wydziera, on znacząco milczy… Oj, potrafi zamilknąć. A to znaczące milczenie znaczy więcej niż tysiąc słów.

Niekiedy coś burknie.

Mężczyzna: – Coś się stało?

Kobieta z fochem: – Nic.

M: – To o co chodzi?

KzF: – O nic.

M: – Okej.

Jak to okej? On nadal nic nie rozumie. No nie rozumie, boś mu nie powiedziała, bo masz focha, który zabronił ci gadać. O co masz pretensje?

Niekiedy foch trzyma i jakoś nie może puścić, odpuścić i w tyłku mu się przewraca… No, to wtedy już trza z nim powalczyć. Zawalczyć o lepszy dzień, zapomnieć, przegonić w siną dal, rozprawić się z nim, a będzie nam lepiej. Foch na chwilę, ale nie na wieczność. Można pogadać, można się przeprosić, można tyle fajnych rzeczy robić bez focha… Bez focha lepiej żyć. Oj, lepiej…

***

Daria miała do mnie wpaść na kawę koło szesnastej. Przebierałam nogami, bo chciałam jej opowiedzieć o tym, jak bardzo tęsknię za Iwem, który wyjechał na dwutygodniowe szkolenie. Byłam o niego zazdrosna. Wyobrażałam sobie, że jakaś asystentka go podrywa i spędza z nim

każdą upojną noc. Miał prawo robić, co chciał, nie byliśmy parą, a jednak pojawiła się zielonooka zazdrość, która wypełniała moje myśli. Pisał do mnie, ale już nie tak często jak na początku znajomości, co dodatkowo mnie denerwowało.

Przyjaciółka zjawiła się u mnie o szesnastej trzydzieści. Od razu zauważyłam, że jest nie w humorze.

Opowiadałam jej o moich rozterkach, a ona nawet nie reagowała.

– Zamierzam się z nim przespać – prowokowałam. Normalnie Daria, by na mnie fuknęła, a ona odpowiedziała tylko:

– Okej. – Była pogrążona w swoich myślach.

Siedziała naprzeciwko mnie i skubała bagietkę, którą co jakiś czas maczała w oliwie.

– Co jest? – zapytałam, patrząc na nią podejrzliwie.

– Ta kobieta do mnie przyszła – odpowiedziała bez sensu. Nie wiedziałam, o kogo jej chodzi.

– Jaka kobieta?

– Matka mojej córki…

– Cooo? – Myślałam, że spadnę z krzesła. – Niewiarygodne.

– Wiem. Ale to się stało.

Kiedy Daria miała osiemnaście lat, urodziła dziewczynkę, którą oddała do adopcji. Do kaftanika, który dała córeczce w wyprawce, doczepiła swój adres. Adopcyjna mama odezwała się do niej rok później, powiadamiając ją, że Marysia chowa się zdrowo i ma się dobrze. Załączyła też zdjęcie pyzatej dziewczynki o bujnej blond czuprynie i niebiesko-szarych oczach, która trzymała w rączce grzechotkę. Mała była prześliczna i wyglądała na szczęśliwą. I wtedy to Daria rozwaliła się po raz pierwszy. Pamiętam, że płakała przez tydzień, a ja ją przekonywałam, że było to najlepsze wyjście z sytuacji. Ale cieszyło ją to, że dziewczynka trafiła do dobrej rodziny. Potem wróciła do życia.

Listy przychodziły na adres jej matki jeszcze kilka razy, potem Daria się wyprowadziła z domu rodzinnego i podała nowy adres matce

adopcyjnej swojej córeczki, ale listy przestały przychodzić.

– Powiedz coś. – Byłam zszokowana nie mniej niż moja przyjaciółka.

Daria była roztrzęsiona. Westchnęła. Położyła drżące dłonie na kolana i zaczęła mówić. Przytoczę ci całą opowieść Darii:

***

Wczoraj wieczorem otworzyłam drzwi, wycierając ręce w spodnie dresowe, bo właśnie zmywałam naczynia. Pomyślałam, że to kurier, czekałam na przesyłkę. W drzwiach stała kobieta na oko czterdziestoparoletnia. Miała na sobie białą sukienkę do połowy łydki, ciemne włosy związane w koński ogon. Delikatny makijaż podkreślał jej egzotyczną urodę. Wyglądała, jakby pochodziła z Hiszpanii albo Włoch. Była przepiękna. Stała w progu, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. *Może pomyliła drzwi* – pomyślałam. Ale ona świdrowała mnie wzrokiem.

– Dzień dobry – powiedziała w końcu. Zamiast odpowiedzieć to samo, zapytałam, o co chodzi. Wiesz, czasami czuje się, że coś jest na rzeczy.

„Daria Domianiuk?", zapytała. Skinęłam głową. Obecność tej kobiety sprawiła, że zabrakło mi słów.

– Jestem mamą Marysi.

– Marysi… – powtórzyłam jak echo.

– Tak. Przepraszam, że zakłócam pani spokój. – Przestępowała z nogi na nogi. Na jej szyi pojawiły się czerwone plamy. Była wyraźnie zdenerwowana.

I ja sobie wtedy pomyślałam, że ona ma rację, że faktycznie naruszyła mój spokój.

– Proszę wejść. – Odsunęłam się i wpuściłam ją do środka.

W milczeniu przeszłyśmy przez korytarz do pokoju. Usiadłyśmy na sofie, patrząc na siebie w ciszy. Nie zaproponowałam nic do picia, bo byłam za bardzo skołowana. W końcu się odezwałam:

– Dlaczego teraz?

– Marysia chciałaby panią poznać. – Kobieta nie patrzyła na mnie. Obrzuciła wzrokiem pokój.

– Teraz? – zapytałam.

– Powiedziała, że jest gotowa. – Kobieta złapała w dłonie kawałek materiału sukienki i mięła go w rękach.

– Marysia jest moim dzieckiem – powiedziałam. Te słowa wydarły się z głębin mojej duszy. – Urodziłam ją, ale to pani jest jej matką.

– Nie chce jej pani poznać? – Była zszokowana, zresztą nie mniej niż ja.

Zamknęłam oczy, bo zaczęło mi się kręcić w głowie od nadmiaru emocji. Oczywiście, że chciałam ją poznać. Ale byłam zaskoczona takim obrotem sprawy i najściem tej kobiety.

– Chcę, tylko…

– Boi się pani?

Skinęłam. Przez głowę przeleciały mi wszystkie momenty, w których nie uczestniczyłam w życiu mojej córki. Pierwszy kroczek, pierwsze słowo, pierwszy wypalony papieros, pierwszy zawód miłosny. Nie było mnie przy niej.

– Jak ona sobie radzi? – zapytałam. Moje pytania wydawały mi się takie bez sensu i nie na miejscu.

– Studiuje medycynę.

– Wow! Musi być pani z niej dumna.

– Jestem, bardzo.

– Studentka. – Uśmiech pojawił się na mojej twarzy Nawet nie wiesz, Tati, jaką dumę poczułam.

– Tak.

Kobieta sięgnęła po torebkę. Wyjęła z niej portfel. Otworzyła go i z przegródki wyjęła karteczkę, na której wypisane były jej adres i numer telefonu.

– Jeśli się pani zdecyduje…

– Pomyślę nad tym.

– Marysia miała szczęśliwe życie – powiedziała, kiedy wstała z sofy. – Kochamy się, ale jest w takim wieku, że chce poznać swoją biologiczna matkę, a ja nie mogę jej tego zabronić. Jest już dorosłą kobietą. To jej zdjęcie. – Podała mi fotografię, z której spoglądała piękna jasnowłosa dziewczyna o niebieskich oczach. Nie zauważyłam jakiegoś szczególnego podobieństwa do mnie. Była bardziej podobna do swojego biologicznego ojca.

– Czy mogę zatrzymać to zdjęcie? – zapytałam nieśmiało.

– Pewnie. – Matka mojej córki podniosła się z kanapy. – Pójdę już. Niech pani się nad tym wszystkim zastanowi – powiedziała na odchodne.

***

Daria skończyła opowiadać.

– I zastanowiłaś się? – Podeszłam do niej i mocno ją przytuliłam.

– Oczywiście, że chcę się spotkać z Marysią. Nie chcę jej zawieść po raz drugi. A może zawodziłam ją częściej, niż myślę? Może kiedy jej matka adopcyjna na coś jej nie pozwoliła, myślała sobie, że ja postąpiłabym inaczej.

– Nie myśl tak. To, co było, jest już za tobą i za nią. Nie myśl tak, bo te myśli cię dobiją.

– Masz rację.

– Żałujesz, że ją oddałaś?

– Teraz tak. Nie mam dzieci, bo nikt odpowiedni się nie trafił. Ojciec Marysi, też nie był odpowiednim partnerem, ale jakoś bym sobie poradziła.

Daria pochodziła z rodziny alkoholików. Sama bardzo ambitna, chciała wyrwać się za wszelką cenę z pijackiego światka. Skończyła

z wyróżnieniem liceum i studia, zrobiła karierę. Ale w miłości nie miała szczęścia. W klasie maturalnej poznała Wojtka, w którym szalenie się zakochała. Ale chłopak wyjechał za granicę po tym, jak ją przeleciał. Zaskoczyła za pierwszym razem. Kiedy Daria dowiedziała się, że jest w ciąży, jej matka zwyzywała ją od dziwek i powiedziała, że na bękarta nie będzie łożyć. Ojciec tym bardziej nie chciał mieć z dzieckiem nic wspólnego. W dodatku nie mieli pieniędzy, bo wszystko szło na wódkę. Rodzice wyrzucili ją z domu. Mogła wrócić, kiedy pozbędzie się problemu. To moi rodzice załatwili jej miejsce w domu samotnej matki. Tam ukończyła szkołę, a potem wróciła do domu. Zanim podjęła decyzję, by oddać córkę, biła się z myślami, jednak wtedy uważała, że tak będzie najlepiej. Moi rodzice bardzo ją wspierali, ale wówczas dziewczyna nie dałaby sobie rady jako samotna matka.

Daria skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Co zamierzasz? – Dotknęłam jej ręki.

– Spotkać się z nią. Wiesz… Popełniłam błąd. Chciałabym to wszystko jakoś naprawić, zadośćuczynić. Czasami myślę sobie, że przez to, co zrobiłam, mam teraz za swoje. Nie mogę znaleźć sobie odpowiedniego mężczyzny, nie mam rodziny. – W jej głosie dało się wyczuć żal. Daria była przebojową kobietą, spełnioną zawodowo, o szerokim uśmiechu, dlatego nigdy nie przypuszczałam, że może tak cierpieć z powodu braku rodziny. Pod maską szczęśliwości kryło się jednak sporo smutku.

– To nie tak. – Złapałam ją za rękę. – Wtedy tamta decyzja była najlepsza z możliwych, jaką mogłaś podjąć. To nie jest żadna kara. Nie możesz tak myśleć.

– Oddałam ją – powiedziała smutnym głosem Daria.

Ponownie mocno ją przytuliłam. Bo czasami po prostu trzeba kogoś przytulić.

***

Wieczorem napisałam w swoim folderze kilka słownych przytulasów:

Chciałabym Ci dać trochę odwagi, kiedy Ci jej zabraknie.

I trochę spokoju, kiedy wokół Ciebie będzie szalała burza.

I chciałabym Ci podać rękę, kiedy będziesz potrzebowała wsparcia, by się podnieść.

I chciałabym Ci powiedzieć, że jesteś piękna, fajna i mądra, nawet taka zabeczana.

I to, że kochałaś niewłaściwego ktosia, nie definiuje całej istoty miłości...

I chciałabym, byś wiedziała, że nie masz za dużo lat, by zacząć od nowa.

I chciałabym Ci też powiedzieć, że dobrym ludziom także się czasem pomyli, ale to ci, którzy są bardzo nieszczęśliwi, pałają nienawiścią.

Szczęśliwi ludzie się przewrócą, podniosą, ale nie oskarżą o swój upadek wszystkich dokoła, no chyba że ktoś im nogę podstawił.

Chciałabym, byś wiedziała, że bez względu na to, jak jest, życie toczy się dalej...

I musisz wiedzieć, że człowiek czasem nie ma siły i nic na to nie poradzi.

I nie zawsze się uśmiecha, czasem ta mina mu się skwasi.

I nie wszystko się układa pomyślnie i czasami aż nas nosi, bo jest tak niefajnie.

I chciałam Ci powiedzieć, że wszystko mija albo odchodzi w pizdu!

I nie zawsze jest ę-ą ani bułkę przez bibułkę.

Chciałam Ci powiedzieć, że niekiedy trzeba przepić żal albo zasłodzić drania, niech go zemdli.

I chciałabym Ci powiedzieć, że niekiedy to aż wskazane wypiąć się na świat, pokazać środkowy palec. Powiedzieć: jest mi dziś cholernie źle.

I chciałabym Ci dziś powiedzieć, że kiedy jest Ci naprawdę, ale tak naprawdę źle, czasami trzeba to wyleżeć, wypłakać. Bo kiedy nie ma się sił, trudno tak boksować się z życiem.

I chciałam Ci powiedzieć, że najlepsze spacery to te o wschodzie słońca. Tylko Ty, i Twoje myśli.

Chciałabym Cię mocno przytulić i powiedzieć: Damy radę!!!

ROZDZIAŁ 22

Poruszające spotkanie

Kilka dni później siedziałyśmy z Darią w tej samej kuchni i rozmawiałyśmy o jej spotkaniu z córką. Obie byłyśmy zdenerwowane.

– Poznałaś ją?

– Tak. Od razu. – Daria się uśmiechnęła. – Nie uwierzysz, ale jest bardzo podobna do Wojtka. Ma taką samą pociągłą twarz i jego włosy, ale moje oczy. Usta ma pełne, po Wojtku. – Daria uśmiechnęła się niemrawo. Kiedyś bardzo kochała Wojtka. To była jej pierwsza wielka miłość, która złamała jej serce. Zawsze było mi z tego powodu cholernie przykro. – Podeszłam do stolika – mówiła dalej. – Bawiła się serwetkami. A mi głos odjęło. W końcu zapytałam, czy to ona. Przytaknęła, po czym wstała i wyciągnęła w moim kierunku rękę i powiedziała, że zdaje się, że jestem jej matką. A mi zrobiło się gorąco, a po chwili poczułam, jak oblewają mnie zimne poty. Usiadłyśmy. Zamówiłyśmy sobie kawę. Pomyślałam, że trochę to dziwne pić kawę z córką. Ominęłam wszystkie etapy: karmienie piersią, soczki, kaszki, a teraz tak od razu kawa.

Uśmiechnęłam się.

– To wspaniałe – powiedziałam, żeby dodać jej otuchy. – Wspaniałe, że ta kawa mogła się zdarzyć.

– Tak. Mam dorosłą córkę. Byłam oszołomiona i wzruszona. Nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę. Wiesz, są takie chwile, kiedy rozpaczliwie człowiek szuka tematu do rozmowy.

– Tak, wiem – przytaknęłam. Chciałam jej wysłuchać.

– Wbiłam wzrok w kubek z kawą. To ona zaczęła mówić pierwsza: że jest studentką medycyny, że czuła od małego, że chce zostać lekarzem. Wiesz, i ja byłam z niej tak szalenie dumna. Lekarz to jest ktoś. Jaki to trzeba mieć mózg, żeby to wszystko ogarnąć. Całą anatomię człowieka.

– Tak… Musi być niesamowita – powiedziałam. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przez cały ten czas trzymałam Darię za rękę.

– Opowiadała o sobie, o swoich rodzicach, a ja czułam, że ogarnęła mnie jakaś taka nieracjonalna zazdrość, że to oni przy niej byli, a nie ja. Powstrzymywałam się, by nie zapytać jej o coś więcej, bo nie chciałam wyjść na zazdrosną. Potem ona pytała, co robię. Była zdziwiona, że jestem fotografem. Powiedziała „O, moja biologiczna mama jest artystką". Nie wiedziałam, co mam jej odpowiedzieć. Czy to przygana, czy nie. A ona się roześmiała i powiedziała, że myślała, że tę medycynę ma we krwi, dlatego była zdziwiona, i że z chęcią obejrzałaby moje zdjęcia.

– Jest otwarta? – Z opowieści Darii na to wyglądało.

– Bardzo. Mądra, elokwentna i… ma piękny śmiech, jak Wojtek.

Daria się zamyśliła.

– Pytała o ojca?

– Tak. Z nim też się chce spotkać.

– Co jej powiedziałaś? – Spojrzałam na nią niepewnie.

– Nie powiedziałam jej, że złamał mi serce. I że był dupkiem. Zresztą teraz patrzę na niego inaczej. Był nieopierzonym szczeniakiem, który powiedział, że wylatuje. Wiedział o tym, zanim zaciągnął mnie na tył samochodu swojego ojca. Gdyby powiedział mi o tym, zanim mnie przeleciał, to nie zrobiłabym tego. Byłam dziewicą, ślepo w nim zakochaną i wiązałam z tym związkiem dużo nadziei.

– Daria, tego nie wiesz, co byś zrobiła, a czego nie.

– Możliwe – westchnęła. – Znalazłam go.

– Na fejsie?

– Tak, ale wszystko ma zablokowane. Widziałam tylko jego profilowe zdjęcie.

– Marysia chce się z nim spotkać, a ty go znalazłaś…

– Koniecznie, ale prosi mnie o to, żebym ja do niego pierwsza napisała.

– I zrobisz to?

– To trudne…

– Wiem.

– Pewnie ma rodzinę, swoje dzieci, a tu takie coś… Nie chcę mu narobić kłopotów.

– On kiedyś narobił ich tobie. I to nie są żadne kłopoty. Przeszłość się o niego upomina. To bądź co bądź jego dziecko.

***

Daria napisała do Wojtka wiadomość. Wysłała ją z bijącym sercem. Nie napisała, dlaczego chce się z nim spotkać. Po prostu napisała, że jeśli to możliwe, chciałaby z nim porozmawiać. Odpisał po godzinie, że nie ma problemu. Napisał też, że mieszka pod Warszawą, dlatego spotkanie w Warszawie jest jak najbardziej w porządku.

Kiedy Daria zobaczyła swoją dawną miłość, pomyślała, że padnie tam trupem, dostanie zawału, wylewu i czego tam jeszcze.

Wyglądał na wyluzowanego. Miał włosy sięgające do ramion, stylowo zaczesane do tyłu. Był w świetnej formie i miał to samo niesamowite spojrzenie, które ona zapamiętała. Teraz jego oczy okalały zmarszczki, ale wciąż były cudne. Ubrany był w szarą koszulę i dżinsy. Zauważył Darię. Poznał ją, bo do niej zamachał, co ją ucieszyło. Odmachała mu. Uśmiechnęli się do siebie. Ale w ich uśmiechach było więcej kurtuazji i sztuczności niż szczerości. Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa.

– Cześć – powiedziała Daria tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

– Cześć. – Ton jego głosu był obojętny. Nie tego się spodziewała. Ale na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Pomyślała, że nie jest tak źle. – Napijesz się czegoś?

– Kawę poproszę – Daria była tak zdenerwowana, że zaschło jej w buzi – i wodę.

Kilka chwil później postawił przed nią kubek kawy, jeszcze parowała. Spojrzał na zegarek. Daria nie znała się na zegarkach, ale wyglądał na drogi.

– Śpieszysz się? – zapytała. Nie lubiła, kiedy ktoś okazywał zniecierpliwienie. Mógł jej przecież powiedzieć, że nie ma czasu i przełożyć spotkanie.

– Wypadł mi niespodziewany dyżur, przepraszam – powiedział. A ona w tonie jego głosu wyczuła, że jest mu głupio.

– Mogłeś napisać, że…

– Chciałem się dzisiaj z tobą spotkać. Bo… – Popatrzył w jej oczy. – To dziwne, że skontaktowałaś się ze mną po ponad dwudziestu latach.

– Jesteś lekarzem? – zapytała Daria.

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Po prostu chciałam wiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Czasami chce się wiedzieć.

To najdziwniejsze spotkanie, w jakim uczestniczyłam – pomyślała Daria.

Podniosła kubek i sama nie wiedziała, że była tak zdenerwowana. Ręce jej się trzęsły. Odstawiła go z powrotem na blat stołu.

– Czy coś nie tak? – zmrużył oczy, przeczesał włosy palcami. A ona chciała mu powiedzieć, że wtedy, te ponad dwadzieścia lat temu bardzo ją zranił. Że ją przeleciał, a dwa dni później wsiadł do samolotu i odleciał w siną dal. Odruchowo zacisnęła pięści.

– Przepraszam. – Z trudem przełknęła ślinę. – Nie fatygowałabym cię tutaj, ale chciałam ci powiedzieć o jednej, ważnej rzeczy.

– Zatem słucham. – Jego wzrok był teraz nieodgadniony.

Daria milczała, nie spodziewała się, że ta rozmowa będzie dla niej taka trudna. Poczuła mrowienie w ciele.

– Nasza córka przyszła… do mnie… I zapytała o ciebie. – Wstrzymała oddech. Zrobiła się czerwona.

– Nasza córka?

– Tak. Mieliśmy córkę. To znaczy mamy.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. A on zbladł.

– Kurwa… – wyrwało się z jego ust. To przekleństwo do niego nie pasowało. – Dlaczego mi o tym teraz mówisz? Kurwa…

– Ja pieprzę – uniosła się Daria. – Złamałeś mi serce. Przeleciałeś mnie, a potem ode mnie odszedłeś. Ot tak. Nie znałam twojego adresu. Poleciałeś sobie do tych swoich Stanów Zjednoczonych.

– Kochałem cię szczenięcą miłością i sam nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Ten wyjazd to pomysł moich rodziców. Zakochałem się za bardzo i… Miałem osiemnaście lat. Było mi z tymi emocjami ciężko – mówił bez ładu i składu. – Poza tym moi rodzice, sama wiesz, prawnicy, nadziani.

– Nigdy mnie nie lubili.

– Lubili, tylko że…

– Pochodziłam z nizin społecznych. Mniejsza o to. – Machnęła ręką. – Złamałeś mi serce – wbiła mu szpilę. – A ja musiałam sobie radzić ze wszystkim sama. I sobie poradziłam, dzięki mojej przyjaciółce.

– Co z naszą córką?

– Oddałam ją do adopcji. Odnalazła mnie. A teraz… Chciałaby porozmawiać z tobą. Zobaczyć, kim jesteś… – zawiesiła głos i obserwowała Wojtka. Był bardzo zdenerwowany.

Potarł kark dłonią.

– Chciała, żebym to ja do ciebie napisała i zaaranżowała wasze spotkanie. Na imię ma Marysia.

– Taaak – westchnął. – Nie myśl, że jestem złamanym fiutem, ale mam rodzinę. Muszę się na to przygotować. Nie wiem… jak to ugryźć.

– Rozumiem. – Skinęła głową.

– Spotkam się z nią. Daj mi kilka dni.

– Oczywiście. Studiuje medycynę. Jest na czwartym roku.

– Niesamowite. – Uśmiechnął się.

Daria wstała.

– Napisz do mnie, kiedy będziesz gotowy.

– Tak zrobię. – Znowu się uśmiechnął. Wyglądał ładnie, gdy się uśmiechał.

– A ty? Jaką masz specjalizację?

– Chirurg.

– Brawo ty. – Odwzajemniła jego uśmiech.

– Daria… – zaczął, tym razem niepewnie.

– Tak?

– Ślicznie wyglądasz.

Skinęła głową i odeszła.

***

Z notatnika Tatiany:

Zastanawiasz się czasami, czy jakbyś miała/miał szansę wrócić do jakiegoś punktu w twoim życiu, to postąpiłabyś/postąpiłbyś inaczej?

Gdybyś nie poszedł tamtą drogą, to nie wydarzyłoby się pewne spotkanie.

Gdybyś nie skręciła w tamten zaułek, nie zobaczyłabyś tego uśmiechu…

A co, jeśli mogłabyś/mógłbyś wrócić do jakiegoś punktu z przeszłości i nie zmieniłabyś/zmieniłbyś jej na lepsze? Ale jeszcze bardziej wszystko popsuła/popsuł?

A może twój najtrudniejszy rok przyszedł po to, by potem nadeszło coś pięknego?

Nie, nie uważam, że wszystko jest po coś.

Bo pewne zdarzenia, pewien ból są po nic. Niepotrzebne.

Ale wiem, że kijem Wisły nie zawrócę.

I wiem też, że trzeba żyć tym, co oferuje teraźniejszość.

Zostaw przeszłość tam, gdzie jej miejsce.

Nie możesz wrócić do tego, co się wydarzyło jakiś czas temu.

Nie możesz cofnąć czasu. Wczoraj już minęło.

Przeszłość jest tylko mglistym wspomnieniem.

Dźwiganie dzisiaj bagażu dnia poprzedniego i tego sprzed tygodnia albo sprzed roku powali najsilniejszego.

Za dużo nie rozpamiętuj. Nie rozdrapuj.

Przeszłość masz już za sobą.

Jeszcze trochę poboli, ale przejdzie.

Zaufaj mi… Przejdzie.

Marek Hłasko pięknie napisał: Ludzie sami się nie zmieniają nigdy. Ludzi zmienia życie…

I jeszcze dopisałam:

Wpadamy w jakieś dołki, mniejsze i większe, czasem bez powodu.

A czasem naprawdę jest nam źle. Ale zamiast przecierpieć to „źle", potrafimy w kółko rozdrapywać strupki na przyschniętych ranach. Niepotrzebnie. Dajmy zagoić się ranom. Czas nie zawsze pozwala zapomnieć, wybaczyć, ale to prawda, że czas leczy rany.

Oklepane, ale prawdziwe.

Nie wałkujmy w kółko przeszłości. Czy tego chcemy, czy nie, to już za nami. I musimy sobie to uświadomić. Taka świadomość jest ważna.

Nie wróci.

Było. Zdarzyło się.

Zabolało. Trzeba opatrzyć, spryskać czułością, miłością.

Po silnym krwotoku krew zastyga, tworząc strupek. Powstrzymaj się, by na nowo go nie rozdrapać do żywej rany.

Może warto zamiast ekscesów docenić spokój. I to, że wszyscy na tej sofie. I to, że nie leżymy przykuci do łóżka, i to, że nie mamy żadnej poważnej choroby.

I świeczka lawendowa się pali, która nawet koło lawendy nie stała. I makaronu za mało było, więc twój mąż zmiksował kilka gatunków i każdy inaczej się ugotował. Jeden rozgotował, inny był za twardy.

I herbata z sokiem z pomarańczy, bo cytryna się skończyła. Z pomarańczą też jest przecież okej.

I na brzozach te śliczne seledynowe listeczki i trawa taka soczyście zielona.

Czasem czekamy, aż zima się skończy, rok się skończy. I mówimy: oby do lata, oby do wiosny, oby za tamten zakręt przejść. A co, jeśli wiosna dla nas nie nadejdzie?

Nie chcemy się starzeć, chcemy żyć w kulcie młodości, a sami rozpaczliwie popychamy czas: do wiosny, do lata. Kiedy wybuduję dom.

I myślimy sobie, oczywiście błędnie zakładając, że wiosną to u nas się zmieni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a latem to nas oświeci, a jak schudniemy, to już w ogóle. A jak awansujemy, jak kredyt spłacimy… Żyjemy planami, które mogą się nie zrealizować.

ROZDZIAŁ 23

Rypnęło się

Rypnęło się. Nie zakładałam, że tak może być. Bo przecież wpisałam go sobie do swojego życia już na stałe. Iwo umilał mi życie rozbłyskami szczęścia, pykającymi wiadomościami, dzięki którym fruwałam w obłokach. A tu nagle złapałam anginę, i to z taką gorączką, że nie pamiętałam pierwszych trzech dni choroby. Rozłożyło mnie totalnie. Kiedy mu o tym napisałam, odpisał, żebym się trzymała cieplutko i jak mi już przejdzie, to mam się odezwać. I tyle... Zamilkł. A ja poczułam wielkie rozczarowanie i rozżalenie.

Kiedy jemu sypało się życie, ja wspierałam go na wszystkich frontach. Był czas, że miał różne zawirowania w pracy, a ja próbowałam umówić go do specjalisty, gdy powiedział, że sobie z tym wszystkim nie radzi. Sprawdzałam, czy dobrze się miewa, czy żyje. Dopytywałam, czy w pracy się naprostowało, czy w życiu rodzinnym też.

A on mnie po prostu zlał.

Przez całe dwa tygodnie, kiedy ledwo dychałam, bo naprawdę ciężko przechodziłam chorobę, on miał mnie w poważaniu. I to dość głębokim. Przeczytałam gdzieś, że nie można człowiekowi mieszać w życiu. Nie można być raz przyjacielem, a kiedy przychodzą kłopoty, to wymiksować się z tej przyjaźni. Nie można i już.

A Iwo ostatnio robił mi z życia bajzel. Jednego dnia nie mogłam się opędzić od jego wiadomości, przez kolejne milczał jak zaklęty. A kiedy byłam chora, nie odzywał się przez równe czternaście dni. Za to Artek budził się w nocy i sprawdzał, czy mam temperaturę. Podawał wodę i antybiotyk. A Daria przychodziła do mnie ze świeżo wyciśniętym

sokiem z cytrusów. To ona odwoziła dzieciaki na dodatkowe zajęcia. Nawet dwa razy ciuchy uprasowała.

Oddanych ludzi poznajemy, kiedy jesteśmy w takim naszym prywatnym bidulu. Zasmarkani, przybici do gleby. Kiedy wszystko traci sens. A oni się pojawiają z wyciągniętą w naszą stronę ręką.

To mąż prał moje spocone piżamy i gotował zupę. A ja zdałam sobie sprawę, jak bardzo go nie doceniałam.

Iwo pojawił się w idealnym momencie, kiedy mi się zdawało, że moje życie jest szare i nudne. Kiedy byłam otoczona monotonnością rutyny. I oszalałam. Wpadłam po uszy. Jak to mówią, jak śliwka w kompot. Pływałam sobie w tym kompocie jego lepkich słówek. Moje życie nabrało różu, który wylewał się bokiem. Tylko takie zakochanie wcale dobrze nie działa na twoje życie i układ nerwowy, szczególnie jeśli masz rodzinę. Bo bądźmy szczerzy, po prostu to nie jest fair w stosunku do dzieci i męża. Po drugie, zaczynasz wszystko zawalać i siebie głupio tłumaczyć. A twoja psychika siada, bo czekasz nieustannie na jego wiadomości, telefon, na jakiś znak.

Podczas trwania mojego zauroczenia byłam dla mojej rodziny, a jednocześnie mnie dla niej nie było. A teraz zachorowałam i uzmysłowiłam sobie, ile mój mąż dla mnie robi. Przez cały ten czas był dla mnie. Niebieskooki romans nie był wcale taki cudny, jak mi się na początku wydawało.

Powiem ci coś: jeśli masz rodzinę, zastanów się kilka razy, czy warto dla płomiennego romansu zaryzykować to wszystko, co budowałaś przez lata. W większości przypadków romans jest tylko odskocznią od problemów. Trampoliną, od której się odbijamy. Tylko w górze jest się zaledwie przez ułamki sekund, a potem spadasz z hukiem.

Usiadłam na łóżku i zapatrzyłam się przez okno. Mój wymarzony dom, pod miastem. Za oknem pola i łąki. Po prawej stronie lasek i strumyczek. Po czterdziestce chciałam zwolnić. Mamy dom, bez kredytu, dzieci odchowane i chcieliśmy od teraz spokojnie żyć. Tachając jakiś tam bagaż, ale na zmianę z mężem.

Bez wywieszonego jęzora. Bo myślę, że czasami przychodzi taki moment w życiu, że już nie chcemy biec na łeb na szyję. Wolimy wolniej, spacerem przez życie. W końcu.

A tutaj mi odbiło. Ale koniec. Koniec z tym, poprzysięgłam sobie, siedząc na tym łóżku.

Zdałam sobie sprawę, że nie chcę ruszać już na wojnę z wiatrakami i armią demonów. Że czasami trzeba odpuścić.

Że po co mi gwiazdki z nieba, skoro mam święty spokój.

I za oknem Szymek kopał piłkę do Krystiana, a ten do Artka i co chwilę słychać było wybuchy śmiechu. I grali w błocie, i pomyślałam sobie, że potem tyle prania będzie.

Ale ile szczęścia widziałam na ich twarzach i ile radości.

I kiedy siedziałam sobie tak i prychałam, to pomyślałam, że w sumie żyłam jakimiś mrzonkami i przejmowałam się nieznajomym facetem z przeszłości, mając u boku taką cudną teraźniejszość.

Bo to, że Iwo nawciskał mi kilka kitów i że się zauroczyłam, przecież o niczym nie świadczyło.

I wieczorem Artek zamówił pizzę.

– Jak się czujesz? – zapytał z troską w głosie, odgarniając za ucho kosmyki moich włosów.

– Zdrowieję – powiedziałam.

– To dobrze. – Szymek przytulił się do mnie. – Tęskniliśmy za tobą – powiedział to z taką rozbrajającą szczerością, że aż mi się zrobiło miękko koło serca.

– Powiem ci, mamo, że bez twojego darcia się i narzekania było dziwnie. – Mój starszy syn puścił do mnie oko.

– Zgodzę się z Krystkiem – powiedział mój mąż.

Szymek przyniósł z góry ciepły koc i wszyscy się pod niego wgramoliliśmy. I puściliśmy sobie *Króla Lwa*. I ja jak zwykle się wzruszyłam. Chłopaki też, ale oczywiście nie dali tego po sobie poznać. Tylko się szturchali i rzucili w moją stronę paczkę chusteczek.

***

Tego wieczoru długo pisałam... Wracałam do sił:

Kochajmy się, ludzie: bez ściemy, bezterminowo, na własnych zasadach. I jak kto tam lubi, byle było dobrze, byle nie krzywdzić.

Każdy niech tam sobie swoją rzepkę skrobie.

Byle nie od święta, byle nie tylko z komercją...

Miłość jest wtedy... kiedy kochasz świat i ludzi...

Kiedy kochasz siebie. Kiedy emanujesz dobrocią.

Kiedy ci się pomyli, a ty potrafisz wrócić i przeprosić.

Przyjaźń jest miłością.

Bo wspólny spacer, rozmowa. Bo zrozumienie. Bo spójność dusz.

I kiedy leżysz na dnie, to ta dłoń z miłością cię z niego wyciąga.

Miłość jest wtedy...

Kiedy mama ciężko chorego dziecka odkłada swoje życie na drugi plan, bo dla niej liczy się bardziej życie jej ukochanego dziecka. Kiedy zarywa noce, bo jej dziecko cierpi, a ona chce mu ulżyć w tym cierpieniu. Kiedy masuje te małe, chude plecki, brzuszek, kiedy płacze po kątach, a przy dziecku gra twardzielkę.

Miłość jest wtedy...

Kiedy babcia piecze dla swoich wnuków szarlotkę i lepi pierogi, mimo że plecy bolą i stawy w palcach. Mimo że ciało już nie to, ale dusza się raduje, bo za kilka dni będzie w domu gwarno.

Miłość jest wtedy...

Kiedy mężczyzna uczy swojego syna miłości do kobiety. Kiedy pokazuje mu świat taki, jaki jest. Kiedy pokazuje mu, czym jest nie tylko twardy charakter, lecz także czułe serce.

Miłość jest wtedy...

Kiedy kobieta, która ma swoje życie, swoje obowiązki, swoją rodzinę, znajduje czas, by trzy razy w tygodniu pójść do hospicjum, by podzielić się

życiem z innymi. By pomóc, przytulić, by poprawić poduszkę.

Miłość jest wtedy…

Nie tylko na dobre, ale też na złe.

I przyjdą takie dni, kiedy będziecie mieli siebie dość. Przyjdą kryzysy. Mniejsze i większe kłótnie. Mijanie się w przedpokoju.

Upadki i wzloty…

I kiedy będziesz miała wszystkiego dość, przypomnij sobie wszystkie te dobre chwile, bo mieliście ich tyle, że nie da się zliczyć.

Miłość jest wtedy…

Kiedy zasypiasz na kanapie, a on okrywa cię kocem.

I też wtedy, kiedy planujecie wspólną przyszłość, choć niekiedy macie odmienną wizję.

Na kuchnię, schody i nawet kibelek.

I wtedy, kiedy on zajada twoje pierogi, uśmiecha się i mówi, że dobre, chociaż ty wiesz, że ci nie wyszły.

I kiedy on wstaje w sobotę i mówi „pośpij, ja zrobię śniadanie". Bo dzień wcześniej krzyczałaś, że nie masz chwili dla siebie, bo ciągle słyszysz „mamo, gdzie moje skarpetki/majtki/spodnie?".

Miłość jest wtedy, kiedy sobie myślisz: nie zamieniłabym tego życia na żadne inne, na żadne jachty, wille. No może raz to byś się jachtem przepłynęła… Ale tak na zawsze? *Never*! Wolisz posiedzieć sobie w swojej wannie otulona pianką i słyszeć za drzwiami dziecięce krzyki, piski, i pukanie do drzwi, bo komuś się siku zachciało.

Miłość jest wtedy, kiedy bez skrępowania możesz się przy nim rozebrać i wiesz, że będzie patrzył na twoje ciało z miłością. I piersi już nie te po tylu karmieniach, i skóra na brzuchu wiotka. A on przytuli i przyciągnie cię do siebie, i powie, że cię kocha. I czujesz, że jesteś dla niego najpiękniejsza, mimo że lata świetności masz już za sobą. I może on łypnie okiem na jakąś piękną kobietę, i ty zahaczysz wzrok na przystojnym facecie, ale i tak kochacie siebie, jesteście dla siebie najważniejsi.

Miłość ma też dąsy, fochy, gorsze dni. Biegnie po wyboistych drogach, zakręca, zwalnia.

Miłość jest wtedy, kiedy podajesz hot dogi na obiad i ciastka na kolację, bo taki dzień, bo taką macie ochotę. Kiedy indziej bulgocząca zupa w garnku, zapach ciasta zrobionego wspólnie z domownikami.

Miłość jest swojska. Taka nasza, zwyczajna… Bez zbędnych frazesów, płatków róż na łóżku, pozowanych zdjęć, których on tak bardzo nie lubi. Swojska, z pieczonymi na grillu kiełbaskami, z piwem, po którym zawsze nachodzi cię ochota na taniec i śpiewy, a że słoń na ucho nadepnął…

Może się znudzić?

Nie. Znudzić nie… Ale może powiać prozą życia. I wtedy… Wtedy trzeba ją podlać, użyźnić ciepłymi uczuciami, wzbudzić emocje. Przypomnieć sobie, dlaczego razem jesteśmy. I po co…

Idziecie przez to życie razem, ciągnąc za sobą wózek z problemami, troskami, radościami…

Miłość buduje, umacnia…

Miłość jest ogromną wiarą. Wiarą, że jest coś wielkiego, potężnego… Że jest nadzieja. Że jutro będzie nowy dzień. Z wiarą góry przeniesiesz. Nawet jeśli na chwilę ją stracisz…

ROZDZIAŁ 24

O tym, że w kupę można wdepnąć wszędzie

W piątek stanęłam na nogi. Ugotowałam z rańca pomidorową i do niej makaron i ryż. Bo połowa domu je zupę z ryżem, a druga z makaronem... I teraz tak: jest problem z makaronem, bo ugotowałam go jak dla plutonu wojska. Zawsze mam ten problem, że wydaje mi się, że będzie za mało, a potem on w wodzie pęcznieje i jest go za dużo. Gotuję makaron od kilkunastu lat i zawsze jest za dużo. Ryż przesoliłam, ale zupa niedosolona. Więc może się zrównoważy. Pani z Obi uznała naszą reklamację popękanych płytek.

Popracowałam porządnie pierwszy raz od dwóch tygodni. Skrobnęłam kilka fajnych tekstów.

W ogóle otrzymałam *feedback* od naczelnego, że moje teksty się sprzedają i klikają. A to już coś.

„Pani Tatiano, kobiety pokochały panią, bo jest pani taka prawdziwa. W dzisiejszym świecie pełnym sztuczności prawdziwość jest w cenie".

Pisałam więc:

Nie wszystko zdarza się z jakiegoś powodu. Są rzeczy, które się wydarzają bez powodu.

Nie wszystko, co nam się przydarza, rozumiemy, jak choćby to, że jeden człowiek niszczy bez powodu drugiego człowieka.

Czasami najchętniej zwinęlibyśmy się w kłębek i przespali zły czas...

Niekiedy ludzie nie mogą znieść prawdy, bo żyją w swoim kłamstwie.

Niekiedy nie ogarniamy życia i myślę, że mamy do tego prawo.

I czasami jesteśmy rozdarte między pracą a życiem rodzinnym.

Między tym, co dobre dla kogoś, a tym, co dobre dla nas.

I niekiedy można poczuć ból zęba, jedząc pyszną czekoladkę.

I może zemdlić od nadmiaru słodyczy.

Nie wszystko, co jest dobre dla kogoś, może być tak samo dobre dla ciebie.

Czasami nie warto analizować i pytać „dlaczego?".

Niekiedy nie ma prostej odpowiedzi na proste pytania.

Czasami po prostu warto odpuścić, nie próbować na siłę pojąć.

Czasami ktoś powie do ciebie złe słowo, rozpuści plotkę, niesprawiedliwie osądzi.

Nie mogę pojąć obojętności.

Ani tego, że jeden człowiek od drugiego z taką łatwością odwraca wzrok.

Ani tego, że kawałek gówna w złotym papierku może udawać pyszną czekoladkę i znajdą się na to nabywcy.

Nie cierpię tchórzostwa.

Co czuje człowiek, który powiewa niczym chorągiewka? Zależy, w którą stronę wiatr zawieje, tak i on się przechyli.

I rano staje przed lustrem i co? „Będę sobie powiewał" – mówi do siebie z dumnie wypiętą piersią?

Pozerstwo też wcale nie jest takie fajne.

Pozoruję/upozoruję, że jestem inna niż w rzeczywistości.

Na co, po co to komu?

Uwielbiam tę cechę w sobie, że jestem sobą.

Nieidealna ja. Ale ja. W stu procentach JA.

Przeklnę, tupnę nogą, zboczę z drogi, rozsypię się, ale powrócę.

Niczym ten feniks z popiołów...

Cenię ludzi, którzy potrafią przyznać się do błędu.

I ja nieraz biłam się w pierś, bo zawiniłam.

Bo powiedziałam o jedno czy dwa słowa za dużo, bo zraniłam.

Przeprosiłam.

Uwielbiam ludzi, którzy robią swoje i nie wtryniają się innym w życie.

Ludzi, którzy mają odwagę, by coś zakończyć, coś rozpocząć.

Nie potrafię zrozumieć hejtu. Ja, jeśli czegoś nie lubię, nie chcę oglądać, to tego nie robię. A nie: zakładam fejkowe konta i jadę na kimś jak na łysej kobyle.

To jest chore!

Nie mogę pojąć, kiedy człowiek z taką łatwością wymienia jednego człowieka na drugiego. Macha na pożegnanie odjeżdżającemu pociągowi i wsiada w następny.

Bez przemyśleń, zastanowienia się nad tym, co było, nad sobą.

Z relacji w relację.

Z jednych ramion w drugie.

Rozstania są po to, by coś tam jednak przepracować.

Nie mogę pojąć, jak można za swoje niepowodzenia winić innych. Zwalać na nich winę tylko po to, by ktoś poczuł się kiepsko.

Mogę pojąć i pojmuję, jak wiele osób wciąż jest nieskażonych przez ten w gruncie rzeczy pomylony świat.

Ile jest dobroci, o której wciąż za mało się mówi.

Ile radości.

Ile ciepłych słów.

Ile głośno bijących serc.

Ile poklepywań po plecach.

Ile uśmiechu.

I oby tego jak najwięcej było.

Kiedy postawiłam ostatnią kropkę, byłam naładowana pozytywną energią. Z tego naładowania kibelek sprzątnęłam i pachnie tam goździkami. Nic, tylko chodzić do toalety, w naszym mieszkaniu i wąchać takie piękne zapachy. Kiedy i z tym się uporałam,

zadzwoniłam do Darii, która opowiedziała mi, że ona i Wojtek spotkali się z Marysią.

– To było niesamowite spotkanie – powiedziała moja przyjaciółka.

– Cieszę się bardzo.

– Nie mogliśmy się nagadać. Marysia jest taką gadułą.

– A jak Wojtek?

– Jest nią oczarowany. Zaprosił ją na weekend do siebie.

– A jego rodzina?

– Powiedział, że chcą poznać Marysię.

– Cudownie, Daria. Cudownie.

– A jak u ciebie?

– Powstałam do żywych. Pracuję… Gotuję i sprzątnęłam kibelek.

– A Iwo? – zapytała niepewnie.

– Milczy jak zaklęty.

– Tati, może to i dobrze…

– Może i tak.

Jeszcze chwilę pogadałyśmy, a potem wzięłam samochód i pojechałam na miasto.

Cały dzień latałam załatwiać różne sprawy. Głodna wpadłam do Markusa na przekąskę. Przy okazji wrzuciłam na ruszt parówki, kawałek słodkiej bułki, pomidora. A do tego wytrawne białe wino.

Uwielbiam takie akcje. Bez zadęcia. „Mam parówki, trochę śledzia, pomidora i kawałek słodkiej bułki. Pasuje?" „A ja mam, wytrawne, białe wino. Bierę wszystko i o śledziach nie zapomnij". I gra gitara…

A Markus wyciągnął całą zawartość lodówki i mnie poczęstował.

Lubię prostotę, nie znoszę pozerstwa, zakłamania… Fałszu. Udawania, że jest się kimś, kim się nie jest.

Powiedziałabym wszystkim, którzy mają kołki w tyłku, aby je powyjmowali. Tak lżej się żyje. Bez kołka.

Uwielbiam luźną atmosferę, ciekawe rozmowy, duuużo śmiechu. Tańczyć boso na łące też lubię. Lubię ludzi, którzy mają własne zdanie, swoje przekonania, dystans do siebie i całego świata. I duuużo się śmieją. Bez śmiechu i przymrużenia oka jakoś tak dziwnie… Ludzi prawdziwych i tych, którzy nie osądzają.

– Widzę, że wyzdrowiałaś. – Markus dolał mi wina.

– Mhm… – Skinęłam głową, pałaszując śledzia. – Auto zostawię u ciebie na parkingu.

– To znaczy, że mogę śmiało lać alkohol?

– A lej! – Roześmialiśmy się oboje.

– Nie przeszkadzam ci tak w ogóle?

– Za godzinę cię wyproszę. Idę na randkę. – Uśmiechnął się zawadiacko.

– Tinder?

– Nie. Poznałem ją w warzywniaku.

– W warzywniaku? – Zaczęłam tak się śmiać, że myślałam, że będę boki zrywać.

– I z czego rżysz? Siatka jej się rozerwała, a ja pomogłem zbierać warzywa.

– Iii?

– I byłem na trzech randkach i powiem ci, że jest naprawdę cudowną kobietą. To znaczy jak na razie.

– Markus? – Popatrzyłam na niego z serdecznością.

– Mhm?

– Cieszę się. Tylko tego nie spieprz.

***

Ozdrowieniec, czyli ja, oznajmił chłopakom, że wyjeżdżamy na weekend.

– Pojedziemy w poszukiwaniu straconego czasu – powiedziałam przy śniadaniu pełna entuzjazmu. Nikt oprócz mnie nie wykazywał takiego

entuzjazmu.

– Fajny pomysł. – Artek przeżuwał kawałek chleba.

– A trening? – zapytał nieśmiało Szymek.

– Jak raz sobie darujesz piłkę, to nic ci się nie stanie.

– Umówiłem się już. – Krystek przewrócił oczami.

– Z dziewczyną, z którą się całujesz, ale summa summarum masz ją gdzieś? – Nie wiem, dlaczego byłam taka złośliwa.

– Mamo…

– No co?

– Wy jedźcie, a ja zostanę w domu.

– Nie ma mowy. – Wyobraziłam sobie, że mój siedemnastoletni syn podczas naszej nieobecności zaprasza do domu dziewczynę i wyprawiają tu jakieś fiku-miku i ja w wieku czterdziestu lat zostaję babcią. Nie ma mowy! – Powinieneś też zażyć świeżego powietrza.

– Nie sądzę, by w Polsce było świeże powietrze. Może gdzieś w Tatrach…

Miałam ochotę mu powiedzieć, żeby zamknął dziób i ruszył dupsko sprzed komputera.

– Wyłącz ten komputer. Za dużo przed nim siedzisz.

– Ty też – odgryzł się.

– Ja pracuję. Kiedy będziesz zarabiał na tym swoim komputerze, to będziesz mógł się wlepiać w monitor, ile tylko będziesz chciał. A na razie rusz się!

– No dobra – skapitulował.

Dwie godziny później z zapakowanym prowiantem ruszyliśmy przed siebie.

A ja nie mogłam przestać się uśmiechać.

Kiedy jedyny plan, jaki masz, to nie mieć planu.

Kiedy rzucasz do bliskich: jedziemy przed siebie, gdzieś na koniec świata. I w odpowiedzi słyszysz: ale praca, ale coś tam. Ale

przekonujesz: chrzanić to wszystko. Raz na jakiś czas można uciec.

Kiedy śpisz pod gołym niebem i sięgasz gwiazd. A rano chmury są tak nisko, że niemal ich dotykasz.

Kiedy wstajesz i z jednej strony masz góry, a z drugiej swoją „prywatną" plażę. I świat skąpany jest w diamencikach rosy…

Kiedy masz do sklepu kilkadziesiąt kilometrów.

Jesz przez trzy dni bułeczki ze śliwkami i słyszysz: mamo, nigdy więcej bułek ze śliwkami.

Kiedy pijesz ciepłe prosecco i piasek zgrzyta w zębach, bo kubek ubabrany.

Kiedy fiolet wrzosu i świat owinięty babim latem…

I trawa w kolorze złotej rdzy…

I cisza i mgła niczym puch…

Kiedy spotykasz kobietę o cudnych srebrnych włosach, zielonych oczach, która jest właścicielką Ronny i rozmawiacie ze sobą kilka godzin o życiu. A ona gra na harmonijce i śpiewa niczym Dolly Parton.

Moja Daria zawsze mi powtarza „Ty to masz szczęście do ludzi… Tyle aniołów spotykasz". Ano mam. Demony też pojawiają się na mojej drodze, żeby mi za dobrze nie było.

Kiedy spotykasz faceta, który wygląda jak James Bond, a potem wsiada do swojego astona martina z piękną kobietą. I sobie myślisz, czy ty przypadkiem nie grasz w jakimś filmie jako drugoplanowa aktorka.

Kiedy mówisz: nie łazić za mną przez dwie godziny, potrzebuję wyciszenia, chwili dla siebie. A i tak wszyscy za tobą łażą, a ty sobie myślisz: jestem szczęściarą.

Kiedy nie możesz spać i łazisz po ciemku z samochodu na karimatę i z powrotem, i w końcu wpadasz po kolana w błocko, rżysz na całe gardło i wszystkich budzisz.

Kiedy dziękujesz Bogu, aniołom, że możesz to wszystko przeżywać… i myślisz sobie: byle się nie kończyło, byle trwało…

Kiedy masz takie natchnienie, że w kilka dni powstaje kilkanaście stron artykułu.

Kiedy… jesteś szczęśliwa.

***

Nasz ostatni spacer przed powrotem do domu. Ptaszki śpiewały. Było miło. Piękny zachód słońca. Po przechadzce weszliśmy do samochodu.

– Co tu tak śmierdzi? – zapytał Artek. Faktycznie w samochodzie coś zaczęło śmierdzieć.

– Może ktoś puścił bąka? – powiedział Szymek.

– Zaraz się zrzygam – odparł mój starszy syn, który kilka godzin temu zrobił akcję, że nie ma już ochoty na spacery ze starymi zgredami i swoim braciszkiem. Te trzy dni wspólnoty rodzinnej mu wystarczą.

Ale wracając do smrodu. Nie dało się wytrzymać. Wszyscy otworzyliśmy na oścież okna. Ale smród jak z nami był, tak był.

– Sprawdzić podeszwy butów – zarządził Artek.

Posłuchaliśmy go, bo faktycznie jedyne, co to mogło być, to kupa.

– To ja – stwierdził Szymek.

– Wynocha z samochodu! – rzucił przez ramię Artek.

– No rusz się! – dodałam.

Szymek wyszedł. Po czym zaczął szorować podeszwami po trawie. Okazało się, że wdepnął w kupę i lewą, i prawą nogą.

– To nie widziałeś? – Mój mąż też wysiadł z pojazdu.

– No nie. Myślisz, że zrobiłem to celowo?

– Dobra, nie kłóćcie się. – Wiedziałam, że muszę być rozjemcą. Przecież nasz rodzinny wyjazd się udał. Nie mogła go popsuć psia kupa. – Wytrzyj buty o trawę.

– Na wycieraczce też jest kupa! – Krystek wyłonił się z samochodu.

– Trzeba już było na ten spacer nie iść. – Artek był zły. Wyciągnął z samochodu wycieraczkę i polał ją wodą. Po czym z obrzydzeniem

zwinął w rulon i włożył do bagażnika. Szymek zdjął buty, zapakowaliśmy je w torebkę foliową i też zostawiliśmy je w bagażniku.

– Oj, takie rzeczy się zdarzają – próbowałam ratować sytuację. – To na szczęście. – Uśmiechnęłam się, a Artek z Krystianem spiorunowali mnie wzrokiem. – Zobaczycie, przyjdzie taki dzień, że jeszcze będziemy się z tego śmiali. Obiecuję wam to. – Nie traciłam pogody ducha.

– Ale zanim to nastąpi, to wsiądźmy do samochodu i wróćmy do domu. – Artek miał nietęgą minę, a ja śmiałam się już z tego wszystkiego pod nosem, podobnie jak i Szymek, który dusił śmiech w sobie.

ROZDZIAŁ 25

Rozstania i powroty

Było niedzielne popołudnie. Przyjechaliśmy do naszego nowego domu. Siedzieliśmy z mężem w ogródku na ławce, którą zakupiliśmy w sklepie ogrodniczym. Krystian przyniósł mi kawałek ciasta, które upiekła teściowa. Artek zaparzył kawę. W doniczkach przy płocie stały tuje. I kilka innych krzewów, które przytachaliśmy do ogrodu, by je tam zasadzić. Piłam kawę, a Artek wykopywał dziury pod tuje i wtedy zabrzęczał mój telefon.

Dwa dni temu odezwał się mój amant. Kiedy byłam w fazie zapominania, on powrócił jak bumerang. Jakby miał GPS, który podpowiada mu „Ona, zapomina, pisz".

„Hej, co u Ciebie słychać?" – zapytał po czternastu dniach milczenia. Jak gdyby nigdy nic.

I mogłam posłać go w diabły. I w sumie przez jeden dzień posłałam. Nigdy tak długo nie milczałam. On do mnie mógł się nie odzywać, ale ja tak nie potrafiłam. Kiedy napisał, ja zazwyczaj zaraz odpisywałam.

Kolejnego dnia napisał, że może byśmy się spotkali, bo ma nadzieję, że wyzdrowiałam. Dodał, że był bardzo zajęty w pracy i miał problemy w domu i że ogólnie to on był zdołowany i dlatego nie pisał. Łgał. Skomlał i tłumaczył się.

I wiedziałam, że ściemnia. Po prostu kobieta wie takie rzeczy.

Nie wierz nigdy, kobieto, w takie bzdury. Zasada jest prosta: jeśli ktoś chce, to napisze. Zawsze znajdzie się chwila. A jeśli nie, to widocznie nie miał ochoty, by to zrobić. Albo co innego lub kto inny odbierał mu uwagę.

Dzisiaj napisał „Wszystko u ciebie w porządku?”.

Spojrzałam na męża, potem na telefon. Chwila zawahania, a jednak odpisałam, że żyję i czuję się w miarę dobrze.

„Spotkamy się?”

Powinnam odmówić. Ale po chwili przyszła kolejna wiadomość.

„Tęskniłem”.

Powiem ci kolejną złotą zasadę, starą jak świat. Jeśli facet jeszcze cię nie przeleciał, a chce to zrobić, to nawinie ci tonę makaronu na uszy i napisze to, co będziesz chciała usłyszeć. Nie ma co do tego wątpliwości. To jest najlepszy słuchacz i rozmówca do czasu… Kiedy zaciągnie cię do łóżka.

A żonaty facet jest w takich gierkach mistrzem, no chyba że się naprawdę zakocha i będzie chciał porzucić żonę. Ale dziewięćdziesiąt procent facetów nie chce porzucać żony. Bo faceci z reguły to jednak nie lubią sobie życia komplikować szczególnie w pewnym wieku. Oni lubią przybijać swoim stateczkiem do portu. Czasami ich stateczek to nie jest żaden jacht, tylko kuter rybacki albo jakaś inna tratwa. Ale oni przez chwilę tym swoim kuterkiem niczym jachtem pływają po wzburzonym morzu, by potem przybić do portu, oznajmiając: jestem.

***

– Chciałem z tobą porozmawiać. – Artek usiadł obok mnie, dolał mi kawy, a ja schowałam komórkę do kieszeni.

– To mów.

– Wiem, że się zakochałaś – powiedział, jakby to było takie oczywiste. A mnie po prostu zatkało. Ale zamiast się bronić zapytałam:

– Skąd wiesz? – To było jedno z najgłupszych pytań, jakie zadałam mojemu mężowi w ciągu osiemnastu lat trwania naszego związku.

– Plotki szybko się roznoszą – westchnął. Popijał gorącą kawę. – Poza tym myślisz, że byłem ślepy? Wstawałaś w nocy, łapałaś za telefon i pisałaś z kimś godzinami.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Może co zamierzasz.

– Mamy dom, dzieci, tuje… – powiedziałam głupio, wskazując głową na te cholerne rośliny. – To już koniec. Z tamtym. Kiedy byłam chora…

– Tak, wtedy też już wiedziałem.

– Mamy… – dukałam. Czułam, że zaraz serce wyskoczy mi z piersi.

– Mamy też twoje zakochane serce. Jest mi przykro. – Wstał. Jakoś się przygarbił, a mnie zrobiło się cholernie głupio.

– Artek, ja nie chciałam. To samo wyszło…

– Pomyśl, co zamierzasz zrobić, ja ci nie będę w tym przeszkadzał.

– Zachowywałeś się tak normalnie.

– Myślałem, że ci minie. Starałem się zapanować nad zazdrością, ale nie mogę sobie z tym poradzić.

Poczułam suchość w ustach i to, że jestem przyparta do muru. Układ „ukradkowe spotkania i pisanie niezliczonych wiadomości" mi odpowiadał, ale nie odpowiadało mi to, że mój mąż się o tym dowiedział. Poczułam się okropnie. Skrzywdziłam go.

– Artek, ja cię przepraszam…

– Pisałaś teraz do niego?

– Tak, ale… – Chciałam dodać, że od ponad dwóch tygodni nie miałam z Iwem kontaktu, ale on nie chciał mnie słuchać. Wszedł do domu, nawet się nie odwracając. Usłyszałam tylko skrzypnięcie drzwi. Silniejszy podmuch wiatru rozwiał moje włosy. Z ciemnych chmur, które nadciągnęły z południa, zaczął padać deszcz. Siedziałam taka samotna na ławce i dałam się zmoczyć. Deszcz dudnił o dach, spadał na wyschniętą trawę, tuje i na mnie.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie szorstką brodę mojego męża. Jego duże dłonie, które mnie przytulały. Był dobrym mężem, zaradnym mężczyzną i wspaniałym ojcem, który chciał dla naszych dzieci jak najlepiej. A ja? Mnie chwilowo odbiło i muszę coś z tym

zrobić. Nagle ogarnął mnie niewyobrażalny strach. Nie chciałam, aby Artur mnie opuścił.

Wszystkie te serca wysyłane po kryjomu na komunikatory w jednej chwili przestały mnie bawić.

Tej nocy spałam na materacu w salonie. Słyszałam, jak strumienie wody przelewają się w rynnach. Jeszcze nie wprowadziliśmy się do nowego domu, a wszystko jest już w rozsypce. Dom stoi, a wszystko dookoła kruszeje. Usłyszałam dźwięk odpalanego silnika, potem chrzęst żwiru na podjeździe. Wyjechał.

Wstałam i poszłam przygotować kawę. Byłam tak pogrążona we własnych myślach, że nie usłyszałam szurania, które oznajmiało nadejście Szymka.

– Pada deszcz – powiedział. Stał w pasiastej, niebieskiej piżamce, przecierając oczy. Wyglądał tak słodko. Podeszłam do niego i go pocałowałam.

– Mam już dziewięć lat.

– No i?

– I jestem za duży na to, byś mnie całowała.

– A jak będziesz miał żonę, to też będzie cię całowała.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby niedowierzając temu, co przed chwilą powiedziałam.

– Myślałem, że będzie mnie całować tylko przed księdzem w kościele. I już nigdy potem.

– Nie tylko. – Zaczęłam go łaskotać, a on śmiał się wniebogłosy. Kiedy przestałam, westchnął tylko.

– Gdzie tata?

– Pojechał wcześniej do pracy – skłamałam. Po prawdzie nie wiedziałam, dokąd pojechał Artek.

– Dzisiaj mam trening piłkarski. Może mu przypomnij – powiedział ucieszony. Uwielbiał swoje treningi.

– Przypomnę.

W głowie kotłowały mi się tysiące myśli. Moje dzieci potrzebują ojca, ba, ja potrzebuję męża, a nie kochanka.

– To zadzwoń do niego.

– Potem zadzwonię. Zbieraj się do szkoły. Zrobić ci tosta?

– Poproszę, ale zadzwoń do niego – nalegał. – Chcę z nim pogadać.

Czułam, jak pomału tracę cierpliwość.

– Zadzwonię potem.

– Mamooo…

– No już, do cholery! – uniosłam się niepotrzebnie. Poczułam się głupio i podle. Tak samo, jak czułam się od wczorajszej rozmowy z mężem.

– Chciałem tylko pogadać z tatą. – Wzruszył swoimi szczupłymi ramionkami. A mnie jeszcze bardziej rozwaliło od środka. – Tak się cieszę na dzisiejszy trening, będę napastnikiem. Chciałem z nim o tym pogadać… – W jego oczach pojawiły się łzy.

– Przepraszam…

Szymek wyszedł do ogródka. Widziałam, jak siada na huśtawce, odpycha się nogami i huśta się mocno.

Kromka chleba wyskoczyła z tostera. Posmarowałam ją masłem. Chłopcy lubili, kiedy smarowałam gorące tosty masłem, a ono się roztapiało na kanapce. Nałożyłam plasterek sera żółtego i obficie polałam go keczupem. Po czym wyszłam do ogródka.

– Przepraszam – powiedziałam, wręczając Szymkowi talerzyk.

– Ostatnio jesteś inna. – Mój syn popatrzył na mnie spode łba.

– Inna?

– W ogóle cię nie obchodzimy.

– O czym ty mówisz? – Poczułam, jakby jakaś żelazna obręcz ściskała moje serce.

– O tym, że to tata się nami ciągle zajmuje, a ty tylko praca i spotkania, praca i spotkania – mówił rozżalony. A ja wiedziałam, z kim były te spotkania.

– Oczywiście, że mnie obchodzicie. Kocham was bardzo – próbowałam się bronić.

– Siedzisz tylko na telefonie albo się nas czepiasz.

Miał rację. Taka była prawda. Czepiałam się i byłam rozdrażniona. Z różnych powodów, bo albo ktoś mi przeszkadzał podczas miłosnej konwersacji, albo Iwo nie pisał, a ja wyobrażałam sobie przeróżne scenariusze, co on robi, albo zwyczajnie za nim tęskniłam. Muszę po prostu skończyć z nim tę znajomość.

***

Umówiliśmy się w kawiarni. Iwo nie wiedział, o czym chcę z nim pogadać. Był rozpromieniony. Zapewne oczekiwał kolejnej miłej schadzki.

– Mój mąż o nas wie… – powiedziałam bez ogródek.

– Powiedziałaś mu? – Iwo poczerwieniał na twarzy. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Palcami bębnił o blat stołu. W jednej chwili zmienił się w innego człowieka.

– Nie. Domyślił się. Ludzie plotkują.

– Kurwa… – jęknął. – Ale się nie przyznałaś? – drążył temat. – Moja żona. Ona nie może o niczym wiedzieć.

– Przyznałam się. Zachowywałam się inaczej, wyczuł to. Poza tym pod szkołą jest pełno życzliwych ludzi, którzy o nas gadali.

– Posłuchaj. – Jego twarz była w szkarłatnym kolorze. Spojrzał na mnie jakoś tak przenikliwie. – Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale moja żona o niczym nie może się dowiedzieć. O niczym. Już raz ją zdradziłem i mi wybaczyła. Gdyby teraz się dowiedziała, wyleciałbym z domu z wielkim hukiem.

Otwierałam usta i zamykałam jak ryba, którą morze wyrzuciło na brzeg.

– Jeśli ty jej nie powiesz, ja tego też nie zrobię.

– A kto cię tam wie… – Machnął ręką raz i drugi, jakby odganiał się od natrętnej muchy.

Był przerażony niczym mały chłopiec.

– Ode mnie niczego się nie dowie – zapewniłam go. Nie podobało mi się, że myśli tylko o sobie. Nie zapytał, jak sobie radzę. Co teraz zrobię.

– No mam nadzieję. – Zmrużył oczy. – Musimy to zakończyć. To najlepsze wyjście z sytuacji – powiedział spokojnym tonem.

– Jak to zakończyć? – Czułam, że ogarnia mnie panika. Nie wyobrażałam sobie, że Iwo mógłby ot tak zniknąć z mojego życia. Chciałam oczywiście też uratować małżeństwo, a jednak potrzebowałam też jego, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Normalnie. Nie będziemy do siebie pisać, nie będziemy się spotykać. – Mówił to tak lekko, że aż mnie zatkało.

– Ale pisać chyba możemy? – Zachowywałam się jak jakaś napalona nastolatka, która nie wyobraża sobie życia bez swojego ukochanego. Jak niezrównoważona emocjonalnie kobieta.

– Tatiana, to było jakieś chore zauroczenie, nic więcej – powiedział, wbijając mi nóż w serce. Przykro jest się od kogoś dowiedzieć, że było się „niczym więcej". – Na szczęście nie spaliśmy ze sobą. – mruknął.

Czułam, jak z każdym jego słowem robi się coraz bardziej przygnębiająco.

– Nic dla ciebie nie znaczyłam? – zapytałam rozpaczliwie. Wiedziałam, że przeginam, ale ogarnęła mnie rozpacz.

– Nigdy nic ci nie obiecywałem.

Typowe. Kurwa, jakie to typowe!

– Ja tobie też nic, ale pojawiły się uczucia…

– Właśnie, nic sobie nie obiecywaliśmy. Jesteśmy ludźmi w związkach małżeńskich, którzy szukali jakiejś odskoczni, to tyle.

– To tyle… – Moje serce rozpadło się na milion kawałków. A ja byłam gotowa dla tej mrzonki poświęcić swoje rodzinne życie. Byłam żałosna. Po prostu żałosna. – Wiesz, co? – Zebrałam całą siłę w sobie, by wstać. – Jesteś skończonym dupkiem i złamasem.

– Tatiana, spokojnie! – Próbował złapać mnie za rękę.

– Nie! Boisz się – syknęłam. – Teraz się boisz? – Parsknęłam wymuszonym śmiechem. – Gdybym była wredną suką, wysłałabym screeny naszych rozmów twojej żonie, ale szkoda mi tej kobiety. I tak musi się męczyć z tobą. Ale… Karma wraca, Iwo… Karma wraca. Do mnie wróciła. Do ciebie też wróci, obiecuję ci to! – Brzmiałam jak nawiedzona psychopatka, ale w tamtym momencie miałam to w dupie.

***

Kochane moje kobiety, zapamiętajcie sobie raz na zawsze: nie umierajmy przez kogoś, kto nie skinie małym paluszkiem, gdy ci jest źle. Nie wylewajmy łez przez kogoś, kto nie wywołał uśmiechu na naszej twarzy. Pamiętajmy też, że są sytuacje, na które trudno znaleźć wytłumaczenie. Trudno i już. Nie ma na nie żadnego wytłumaczenia.

Czasami jedyne, co możesz dla siebie zrobić, to zasnąć, odetchnąć, odpocząć, nie myśleć.

Jest takie piękne powiedzenie: jeśli czujesz się tak, jakbyś stracił wszystko, pamiętaj, że drzewa jesienią też tracą liście, ale wciąż stoją i czekają na wiosnę. Słoneczne dni kiedyś przyjdą. Zaufaj mi.

Pamiętajcie też o tym, że romanse są dobre na chwilę. A szczerze wam powiem, że niewarte są tego całego zachodu, bólu, cierpienia. Jeśli masz małżonka/żonę i nie podoba ci się coś w związku, to spróbuj to naprawić, porozmawiać, rozwiązać problem albo zakończyć relację. A nie po kryjomu na dwa fronty, bo dwie sroki za ogon… A na dłuższą metę tak się nie da. I nie warto.

Romanse nie są fair.

Burzą spokój.

Odbierają racjonalne myślenie. Godność.

A żonaty facet sobie użyje i wróci do bezpiecznego portu.

Tylko pięć procent mężczyzn zostawia swoje żony i odchodzi do kochanki. Jeśli jesteś szczęściarą, znajdziesz się w tych pięciu procentach, ale… zastanów się, czy warto. I czy to faktycznie takie szczęście.

Za jakiś czas też będziesz taką samą żoną, od której on uciekł.

ROZDZIAŁ 26

Widmo straty

Kiedy wisi nad tobą widmo straty, nagle zdajesz sobie sprawę, że możesz zostać na lodzie. I wszystko może zostać ci odebrane: te poranki, kiedy całą rodziną tuliliście się w łóżku; te wspólne śniadania, które wydawały ci się tak zwyczajne, że aż cię mdliło od tej zwyczajności; ten spokój ducha, który miałaś, wracając do swojego domu. I nagle jesteś człowiekiem, który pada na kolana i zastanawia się „co ja najlepszego odwaliłem?". Bo przecież w sumie to ja nie wiem, co mi się w tej normalności nie podobało.

I zdajesz sobie sprawę, że pewne słowa zostały na głos wypowiedziane, a ty się z nimi zgodziłaś i niczemu nie zaprzeczałaś.

Ale prawda była nieubłagana, podobnie jak to, że mój „ukochany" okazał się strasznym popaprańcem. Oczywiście wszystkie znaki na niebie i ziemi na to wskazywały, ale ja byłam na nie ślepa i głucha. Bo się zakochałam, a przynajmniej tak mi się w owej chwili wydawało. Bo jak na człowieka spadnie takie zamroczenie, to już po ptakach, po racjonalnym myśleniu i w ogóle „po".

***

Artek się wyprowadził do teściowej, a chłopcy bardzo za nim tęsknili. Mój mąż zawsze miał do dzieci większą cierpliwość niż ja. Potrafił godzinami rozmawiać z chłopcami na temat niewłaściwego zachowania, podczas gdy ja szybko się irytowałam.

Potrafił zabrać ich na męską wyprawę, z której wracali cali zakurzeni i brudni, ale jakże szczęśliwi. Już po kilku dniach chłopcy odczuwali

brak ojca.

– Dlaczego tata się wyprowadził? – zapytał mnie mój starszy syn, kiedy piłam wino.

– Mamy chwilowe problemy – powiedziałam zgodnie z prawdą. I poczułam silne kłucie w mostku. A co, jeśli on już nigdy nie zechce ze mną być? Co, jeśli to koniec? Na samą myśl zachciało mi się płakać. A ja nie chciałam się rozklejać przy dziecku. Moim synu, który za kilka tygodni skończy osiemnaście lat.

– Znalazł sobie jakąś babę? – zapytał wprost, a ja myślałam, że się zakrztuszę.

– No co ty! Nie ojciec.

– A co z ojcem jest nie tak? Uważam, że jest przystojny i fajny z niego facet – powiedział z pełnym przekonaniem i zrobiło mi się głupio. Miał rację. Mój mąż był naprawdę fajnym facetem, który podobał się kobietom. A ja po prostu szukałam szczęścia gdzie indziej.

– Masz rację, tata jest fajnym facetem, ale jakoś ostatnio przestaliśmy się dogadywać. To moja wina.

– Ale przez dwa tygodnie robił za najlepszą pielęgniarkę na świecie. – Krystian przechadzał się po kuchni. Był wysoki, ostatnio bardzo zmężniał. Przypominał Artka w młodości.

– Tak. Był naprawdę kochany – westchnęłam. – Tylko jakoś nam się nie układa od pewnego czasu.

– Mamo, za bardzo się czasami czepiasz – powiedział Krystian, pakując sobie do buzi garść orzeszków.

– Masz rację.

Mogłam powiedzieć synowi, że to moja wina, że to ja znalazłam sobie na boku chłopa, który poił mnie czułymi słówkami, ale nie powiedziałam. Było mi po ludzku głupio i wstyd. Już otwierałam buzię, by coś powiedzieć, ale w tym samym momencie zadzwonił telefon Krystka. Chłopak wziął aparat do ręki i się uśmiechnął.

– O wilku mowa – rzucił do mnie. – Tato dzwoni. No, cześć. Tak… Zaraz go zawołam – powiedział do słuchawki.

Krystian zawołał brata, który zbiegł po schodach w okamgnieniu.

– Tak. – Krystek rozmawiał z ojcem, cały czas się uśmiechając. – Rozwaliliśmy ich, tato. Jutro o szesnastej. Podjedziesz? Dzięki.

Szymek nie mógł się doczekać rozmowy z ojcem i zaczął szarpać brata za rękaw. W przedpokoju doszło do szamotaniny.

– Daj mi pogadać z tatą – jęknął młodszy syn.

– Zaraz, gnojku – usłyszałam męski głos Krystka.

Myślałam, że będą się jeszcze szturchać, ale chwilę potem Szymek opowiadał ojcu o projekcie, który stworzył na zajęcia.

– Tato, a przyjedziesz na moje urodziny? – zapytał. – To fajnie. Cieszę się. Zaproszę też panią Wioletkę.

Myślałam, że spadnę z krzesła. Pani Wioletka była nauczycielką mojego syna. Miała około trzydziestu lat i mój Szymek, jak widać, się w niej zakochał. O pani Wioletce słyszałam już niejeden raz. W sumie niech zaprasza kogo chce, byleby był szczęśliwy. A miłość do pani Wioletki przejdzie mu z czasem. Wszystko przechodzi z czasem…

Tego wieczoru długo leżałam i nie mogłam zasnąć. Gapiłam się w sufit. Byłam karmiona słowami, które nie miały żadnego znaczenia. Fikcyjną czułością, ułudą. Można iść w deszcz i przemoknąć do suchej nitki. I będzie ci się wydawać, że to jest super. Ale można też otrzeźwieć i sobie pomyśleć, że kiedy deszcz się skończy, to będziesz się cały trząść, bo zrobi ci się cholernie zimno. Trzeba przewidywać niektóre rzeczy i być czujnym. Bo kiedy człowiek traci czujność, może stracić wszystko, co jest dla niego naprawdę ważne.

***

Następnego dnia obudziłam się zła i jakaś taka rozdarta emocjonalnie i psychicznie. Zrobiłam chłopakom tosty i kakao. Wysłuchałam ich kłótni, po czym wyszłam do sklepu. Myślałam, że kiedy włożę do

koszyka mój ulubiony jogurt, moją ulubioną czekoladę i maseczkę relaksującą na twarz, której zadaniem było odprężenie mnie, to zrobi mi się lepiej. Nie zrobiło. Ja pieprzę, w sklepie jest ze sto wózków, to czemu ja zawsze trafiam na ten z zepsutym kółkiem, który zawsze jedzie nie tam, gdzie trzeba. I pcham go, naprowadzając na właściwą drogę, a on dalej swoje!

I idę z tym wózkiem wypchanym po brzegi towarem pierwszej potrzeby, choć przecież przyszłam po czekoladę, maseczką i jogurt, a tu z trzech rzeczy zrobił się tryliard, a bo srajtaśma na zapas i jeszcze płatki śniadaniowe i owsianka, bo może w końcu przekonałam moje dzieci do tego, by zaczęły się zdrowo odżywiać. A ja jestem na ostrym zjeździe w dół, dlatego włożyłam jeszcze do kosza śledzie i kabanosy.

Podczas wędrówki między sklepowymi półkami spociłam się tylko. Czułam, jak strużka potu spływa mi po plecach. W pewnym momencie zza półki na dziale rybnym natarła na mnie jedna z mieszkanek mojego osiedla, matka jakiejś dziewczynki, z którą mój Szymon chodził do szkoły.

– Cześć, Tatiana! – Uśmiechnęła się promiennie, kryjąc za swoim uśmiechem jad.

– Cześć. – Próbowałam sobie usilnie przypomnieć jej imię, ale chyba wyleciało mi z głowy.

– Słyszałam złe wiadomości – powiedziała, nie patrząc mi w oczy.

– Tak? Jakie?

– Że mąż cię opuścił.

– A skąd słyszałaś takie rzeczy? – zapytałam.

– Chyba od Joli, a Jola od Mileny…

– Kochana. – Byłam tak wściekła, że myślałam, że ją rozszarpię. – Muszę ostudzić twoją radość. Mój mąż śpi sobie właśnie w naszym małżeńskim łożu i ma się dobrze.

Dopiero teraz na mnie spojrzała.

– Och, to może źle coś usłyszałam.

– Radzę, żebyś zajęła się swoim życiem – powiedziałam, po czym odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Przyrzekłam sobie, że nie będę z nią już więcej rozmawiała. Moja babcia powiedziała kiedyś, że niektórzy ludzie mogą mówić tylko o tobie, ponieważ stracili przywilej rozmawiania z tobą.

Zakręciło mi się w głowie i poczułam mdłości. Nożeż kurwa mać! Niech ją pokręci! Nawet jeśli mąż mnie opuścił, przyszły niedoszły kochanek zlał, to to jest moja i tylko moja sprawa.

Stanęłam w kolejce do kasy. Chciałam sprawdzić, czy mogę zapłacić gotówką i drobniaki się wysypały. Zaczęłam zbierać. Potem już olałam sprawę, bo przecież musiałam towar wyłożyć na taśmę. Pani kasjerka skanowała towar szybciej, niż ja go wykładałam. A potem przecież jeszcze musiałam to wszystko do siatki włożyć. Pociłam się jeszcze bardziej i chciało mi się płakać, a jakiś koleś stojący za mną chrząkał zniecierpliwiony, jakby mu ość w gardle stanęła. W końcu ogarnęłam temat i ruszyłam do wyjścia. Torby włożyłam do bagażnika.

Wsiadłam do samochodu i zacisnęłam ręce na kierownicy. Rozpięłam kurtkę, bo pot oblepiał całe moje ciało. Jedną ręką odgarnęłam z czoła mokre kosmyki włosów. Po czym znowu położyłam dłonie na kierownicy. Uchyliłam okno i poczułam, jak ogarnia mnie fala wściekłości. Byłam zła na obgadujących mnie ludzi, na to, co mi się przydarzyło, i na siebie. Nie wiem, jak to się stało. To chyba było poza mną, ale zaczęłam krzyczeć na całe gardło. Po chwili waliłam dłońmi w kierownicę. Byłam wściekła do granic możliwości. Bolało mnie całe ciało. I serce.

Nagle usłyszałam pukanie w szybę i ciepły głos:

– Wszystko u pani w porządku?

Mężczyzna był wyraźnie przerażony moim wybuchem. Czułam, że jestem czerwona, śmierdziałam potem i nawet nie wiem, kiedy zaczęłam płakać. Po moim policzku spływały łzy. Odwróciłam głowę w stronę mężczyzny, który zaglądał do mojego samochodu przez uchylone okno.

– Nie! – warknęłam. Zapewne nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Ludzie z reguły kłamią. Kiedy wali im się życie, powiedzą ci, że budują dom. Kiedy mąż odchodzi, skłamią i powiedzą, że w życiu prywatnym wszystko dobrze. Przykleją uśmiech do największego smutku. Rzadko mówią prawdę.

– Jak mogę pani pomóc? – Mężczyzna miał około czterdziestki, był ubrany w stalowy garnitur. Włosy miał zaczesane na bok, by ukryć rysujące się zakola. Wyglądał przystojnie, co nie miało dla mnie w tamtej chwili żadnego znaczenia.

– O to chodzi, że nie może pan mi pomóc. – Przeczesałam dłonią mokre włosy.

– Proszę wziąć pewne rzeczy na przeczekanie – powiedział spokojnie, wyraźnie zażenowany całą sytuacją. Nie sądził biedaczyna, że podchodząc do mnie, wpakuje się w takie bagno. Pewnie myślał, że powiem, że nic mi nie jest, a on uspokoi swoje sumienie, albo powiem, że samochód mi się zepsuł, a on wezwie pomoc drogową. A tutaj taki klops.

Uchyliłam bardziej szybę i wyciągnęłam w jego kierunku rękę.

On mocno ją uchwycił.

– To minie… – powiedział. A ja chciałam mu wierzyć.

***

Tego wieczoru napisałam artykuł inspirowany spotkaniem w sklepie:

Zacznijmy od faktów, które przytaczam na podstawie badań psychologicznych. Są to dane zebrane z badań przeprowadzonych przez psychiatrów, psychologów i terapeutów.

Dziewięćdziesiąt procent ludzi, którzy cię oceniają, nic a nic nie wie o twoim życiu. Mają zerową wiedzę o tym, co naprawdę dzieje się w twoim życiu. Osiemdziesiąt procent ludzi, którzy wypowiadają się o tobie źle bądź z pogardą, chciałoby być na twoim miejscu. Siedemdziesiąt procent ludzi,

którzy rozsiewają plotki na twój temat, chciałoby sprawić ci wielką przykrość, bo ci czegoś zazdrości.

Namawiam każdego, kto ma ochotę skrytykować innego człowieka, do eksperymentu: zastanów się przed napisaniem komentarza czy wiadomości pełnej nienawiści, jak ty byś się czuł/czuła, gdybyś dostał/dostała taką wiadomość. Albo jak czułaby się twoja mama, dziewczyna, żona, siostra, córka, gdyby ona dostała takie wyrzyganie na głowę. Jeśli nadal cię to nie rusza, to jesteś większym poprańcem, niż myślałam.

A teraz życie.

Życie, sytuacja numer jeden.

Dostałam ostatnio wiadomość od pewnej znanej w sieci kobiety. Dziewczyna jest przecudna i świetnie się promuje i super rozwija swój biznes. Mocno ją dopinguję. Wiadomość, którą mi pokazała, ścięła mnie z nóg. Nie mogę uwierzyć, że jedna kobieta może napisać tak drugiej kobiecie. Tam padały wyzwiska i groźby tylko dlatego, że owej kobiecie się powodzi.

Możemy się komuś nie podobać, możemy nie lubić tego, co robi dana osoba, ba, możemy nawet jej nie lubić, ale żeby wypisywać takie okropne rzeczy!? Ludzie, ręce opadają.

Zawsze mnie zastanawiało to, że też ludziom się tak chce… To po pierwsze.

Po drugie, skąd oni znajdują na to czas? Bo ja w ciągłym niedoczasie.

Po trzecie, kiedy mi się coś lub ktoś nie podoba, nie czytam tego, co napisze, nie słucham jego muzyki, nie oglądam jego zdjęć. Ale nie wylewam na niego wiadra pomyj.

Życie, sytuacja numer dwa.

Pewna piękna, mądra kobieta na przerwie w pracy siedziała sobie z dala od innych. Popijała kawę, czytała ciekawe artykuły. Celebrowała swój czas i… Została niemal zlinczowana: bo outsiderka, bo się wywyższa, bo… No

w zasadzie nikt jej nie lubi. Wymyślono na jej temat tak niestworzone historie, że nie wiadomo, czy śmiać się już, czy płakać.

Miała prawo na przerwie w pracy siedzieć w kantynie i do nikogo się nie odzywać. Po pierwsze, dlatego że to był jej czas. Po drugie, może nie miała zamiaru słuchać wszystkich obrzydliwych plotek na temat tego, kto z kim i dlaczego, i wiecznego narzekania, jak to innym źle. A po trzecie, z niektórymi ludźmi ciężko niekiedy znaleźć wspólny język.

Życie. Sytuacja numer trzy.

Pewna kobieta, była zakochana w pewnym mężczyźnie, przesłała mu kiedyś zdjęcie w bieliźnie. Bo mu ufała, bo łączyła ich intymność. Kiedy ich znajomość się skończyła, ów mężczyzna zaczął rozsyłać jej zdjęcia po swoich kolegach. Jeśli myślisz, że on miał naście lat, to się grubo mylisz. Facet był w wieku dojrzałym, ba, może nawet przejrzałym. Zdjęcia zaczęły krążyć wśród niewielkiej społeczności, która ekscytowała się takimi pikantnymi newsami i dorobiła sobie historię do tych fotek… Każdy każdemu pokazywał. Oceniano rozmiar biustu, tyłka… I rzucano cierpkie i raniące słowa… Co ciekawe, nie w stronę tego faceta, ale tej kobiety.

Życie. Sytuacja numer cztery.

Rajini Chandy, sześćdziesięciokilkulatka, opublikowała w mediach społecznościowych swoje zdjęcia w dżinsach z dziurą na kolanie i w krótkiej spódnicy, by pokazać ludziom w swoim wieku, że nadal mogą cieszyć się życiem. I wylały się żale sfrustrowanych ludzi: jesteś beznadziejna, brzydka, głupia – to te delikatniejsze. Bo były inne, gorsze komentarze.

Po jaką cholerę i jakiego grzmota?

Jeśli masz ochotę mówić o mnie czy kimkolwiek złe rzeczy, stań ze mną / z tą osobą twarzą w twarz i powiedz, a nie ukrywasz się za fejkowymi kontami.

Złe słowa ranią, dobre – uskrzydlają. Zarażajmy się tymi pozytywnymi…

Podarujmy sobie nawzajem dobre słowo i niech się ta epidemia szerzy.

ROZDZIAŁ 27

Wino utopi smutki

Daria przyjechała do mnie z butelką wina, czekoladkami i dobrym nastawieniem.

– Wszystko się rypnęło – biadoliłam, pożerając czekoladkę za czekoladką i zapijając winem.

– Jeszcze nic się nie rypnęło. Po prostu musimy uzgodnić plan działania – powiedziała, chwytając mnie za rękę.

– Co ja narobiłam? – Złapałam się za głowę.

– Trochę nawywijałaś.

Teraz, kiedy bielmo mi z oczu zeszło, śmiać mi się chciało takim głupiutkim śmiechem z tego, co zrobiłam. Zachowywałam się jak taka nieopierzona nastolatka, która lepiła się do wytartych tandetnych frazesów.

– Jemu chodziło o to, by mnie przelecieć, a ja sobie ubzdurałam jakieś uczucia. Rozumiesz. Miał żywić uczucia. No durna ja... Durna!

– Każdemu facetowi zależy na tym, by dobrać się do kobiecych majtek. – Daria odkorkowała wino. – Jedni się przy tym zakochują, inni nie. Żonaci zazwyczaj nie. Nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem, lepiej napić się wina. Musisz zrobić wszystko, by odzyskać męża. Tylko to się liczy.

– Skosztuj tego wina – powiedziałam do przyjaciółki, otwierając kolejną butelkę. – Dostałam je od kobiety, której coś tam przetłumaczyłam – wyjaśniłam. – To hiszpańskie wino, ponoć bardzo drogie.

Daria przechyliła kieliszek i wypiła jego zawartość.

Roześmiałam się.

– Najpierw powinnaś je powąchać. O tak. – Zanurzyłam nochal w kieliszku. Wyczułam aromat winogron, truskawek i jeszcze jakichś przypraw. Pachniało wybornie. – Potem powinnaś zanurzyć usta i posmakować wina. – Upiłam łyczek, ale wino było zbyt dobre, dlatego poszłam w ślady Darii i wypiłam cały kieliszek.

– Nie za dobre – stwierdziła przyjaciółka.

– Zbyt kwaśne. Ale ma procenty.

– Wino zwodzi – powiedziała Daria. – Najpierw uwodzi smakiem, potem zawraca w głowie. A na koniec masz po nim ciężką głowę i serce.

– To tak jak z facetami.

– Tak jak z facetami – przyznała Daria.

Płakałam, żaliłam się, wylewałam morze łez. Wypiłyśmy dwie butelki wina i postanowiłyśmy, że wyjedziemy sobie na babski weekend. Artek miał wziąć chłopaków do siebie na całe pięć dni. Zastanawiałam się, czy przez te pięć dni nie oszaleję, ale, jak widać, moja przyjaciółka miała plan, jak mnie uratować.

Usiadłyśmy przy laptopie w poszukiwaniu jakiegoś spa czy coś w tę mańkę.

– To będzie nasz wyjazd, taki wiesz, kiedy wszystko może się zdarzyć – stwierdziła Daria, przeskakując po stronach. A ja się trochę rozmarzyłam, myśląc o masażach, dobrym jedzonku, którego nie będę musiała sobie sama gotować. W końcu trafiłyśmy na stronę ośrodka nad Bugiem. Hasło na stronie brzmiało „odmienimy nie tylko twoje ciało, ale i duszę".

– Rezerwuj – powiedziałam do Darii.

– Jesteś pewna? To przecież najbardziej wyświechtany slogan *ever*.

– To, co znane, jest lubiane. Rezerwuj. – Na stronie zobaczyłam, że zostały tylko trzy miejsca. – Zaraz nie będzie w ogóle miejsc.

– Od piątku do środy?

– Jak nas uleczą, to może być i do czwartku. – Zaczęłyśmy się śmiać.

Tydzień później siedziałyśmy w czerwonym oplu Darii.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł. – Byłam pełna sprzecznych myśli, kiedy tylko ruszyłyśmy spod bloku mojej przyjaciółki.

– Wolałabyś gnić na kanapie i użalać się nad sobą?

– Czasami tak najlepiej.

– Też mi potrzeba takiego wyjazdu – powiedziała przyjaciółka.

Spojrzałam na nią z czułością.

– Coś się stało? – Przez ostatnie tygodnie zajmowałam się sobą, podczas gdy Daria być może potrzebowała pomocy.

– Nic się nie stało, stara bieda. – Jedną ręką trzymała kierownicę, a drugą sięgnęła po butelkę wody. Pomogłam jej odkręcić nakrętkę, a ona pociągnęła spory łyk.

– Wiesz sama, że zbyt łatwo się uzależniam: od wina, mężczyzn, miłości. Chciałabym w końcu stworzyć normalny, fajny związek.

Zakręciłam butelkę.

– Daria, jeszcze kogoś wartościowego spotkasz.

– Spotkałam Marysię. – Widziałam, jak jej twarz się rozjaśnia. – Zrobię wszystko, by utrzymać z nią kontakt. Nie mogę tego zaprzepaścić.

– Widzisz, kochana, ani ja, ani ty nie możemy pewnych rzeczy zaprzepaścić – powiedziałam mocnym tonem. – Żebyśmy potem tego nie żałowały.

Daria włączyła kierunkowskaz i skręciła w prawo. GPS pokazywał, że mamy przejechać przez jakieś miasteczko. Uchyliłam okno. Świeże powietrze wtargnęło do środka pojazdu. Wiatr rozwiał moje włosy. Mijałyśmy jakąś restaurację, która na szczęście została już otworzona po lockdownie, zebrała się przy niej grupka nastolatków; stację benzynową z jednym dystrybutorem, która wyglądała na nieczynną. Kot z podniesionym ogonem przechadzał się po parkingu.

Niekiedy potrzebujesz medytacji, ciszy i spokoju. Innym razem przyjaciółki, kawy i wina, a także tańca na łące. A czasami potrzebujemy

pójść w jakieś odludne miejsce, by przez kilka minut porządnie się wykrzyczeć. Ile sytuacji, tyle rozwiązań problemu. Ile wspinaczek pod górę, tyle samo zejść w dół. I wczorajsze problemy niech roztopią się w dzisiejszym słońcu. Wystawiłam rękę za okno i łapałam zimne podmuchy powietrza. Lubiłam tak robić od małego.

ROZDZIAŁ 28

W kawiarni Chujowy Dzień

W końcu dotarłyśmy na miejsce. Przed sobą ujrzałyśmy biały dworek, który wyglądał niczym z innej epoki. Przed nim wiła się żwirowa ścieżka. Daria zaparkowała samochód na podjeździe. Wyciągnęłyśmy torby z bagażnika i przeszłyśmy do recepcji. W środku panował półmrok. Pachniało starym drewnem i kadzidełkami. Parkiet w kolorze mahoniu przyjemnie trzeszczał pod nogami. Duże drewniane okna sięgały podłogi. Z sufitu zwisały żyrandole o geometrycznych kształtach. Za kontuarem siedziała recepcjonistka, która mogłaby być dziewczyną mojego syna. Czasami sobie myślę, że nie jestem jeszcze taka stara, ale kiedy spoglądam na takie młode dzierlatki, mój wiek uderza mi do głowy, niczym to wino, co ostatnio wypiłyśmy. Pomyślałam sobie, że teraz jest era rządzenia młodych, a czterdziestolatkowie odchodzą pomału w niebyt. To dwudziestokilkulatkowie są już nauczycielami, lekarzami, prawnikami. A młodsi recepcjonistami.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, po czym zapytała, co może dla nas zrobić.

– Mamy tutaj rezerwację. Przyjechałyśmy na odnowę duchową – powiedziała zgodnie z prawdą moja przyjaciółka. Nasz duch miał pokonać złe demony i się odnowić.

– Tak. Zaraz dam paniom klucze do pokoju. I.... – Wstukała coś szybko do komputera. – O szesnastej zapraszam panie na bieg.

– Na bieg? – zapytałam zdziwiona. Myślałam, że będziemy tutaj raczej medytować, siedząc na poduszkach w pozycji kwiatu lotosu.

– Bieg wydobywa endorfiny. – Recepcjonistka była cała rozpromieniona.

Mnie nie było wcale tak do śmiechu. Nie znosiłam biegać. Już miałam coś powiedzieć, ale Daria złapała mnie za rękę.

– Stawimy się o szesnastej, by pobiec – powiedziała tak swobodnie, jakby codziennie uprawiała jogging.

Weszłyśmy po schodach na pierwsze piętro.

– Pogięło cię? Nie mam nawet stroju do biegania – próbowałam się wykręcić.

– Masz legginsy i adidasy. Będziemy biegły. To pewnie krótki dystansik. – Przyjaciółka spojrzała na mnie wymownie.

– Masz rację, przecież pewnie nie chcą nas skatować.

Krótki dystansik okazał się biegiem na przełaj z przeszkodami. W podskokach. Z wymachami rąk i innymi takimi wygibasami. Byłam cała czerwona, spocona i dycszałam jak ktoś, kto zaraz miał ducha wyzionąć, a nie go odnowić.

Po biegu usiedliśmy na polanie i uczyliśmy się świadomego oddychania, które wcale jakoś mi nie wychodziło. Dowiedziałam się, że do tej pory źle oddychałam. A wydawało mi się, że robię to dobrze. A tutaj nie wykorzystywałam całego mojego potencjału płuc. Jak widać, nawet oddychanie potrafiłam spieprzyć. Wcale nie czułam się po tym lepiej. Czyli po przebieżce i oddychaniu. A jakoś tak gorzej, słabiej. I mój duch, który miał się nowo narodzić, czmychnął sobie gdzie pieprz rośnie. Poczułam się, jakbym była workiem na moje wnętrzności. Może nie dla mnie taka odnowa? Wiedziałam jedno: byłam pierońsko głodna.

Kiedy wróciłyśmy do ośrodka, wzięłyśmy z Darią prysznic i zeszłyśmy na kolację.

– Jestem głodna jak wilk – stwierdziłam.

– Ja też. Zjem wszystko, co mi podadzą – zapowiedziała Daria.

Usiadłyśmy przy stoliku i… podali nam warzywa plus sok warzywny.

Obie zjadłyśmy wszystko. Do ostatniego plastereczka ogóreczka i liścia sałaty.

– To wszystko? – Daria zaczęła się rozglądać w nadziei, że pojawi się przed nami kelner z tłustą golonką. Zamiast tego uroczy chłopak, który zapewne też mógłby być moim synem, chodził po sali z dzbankiem wody i nalewał ją do szklanek.

– Czy to była kolacja? – jęknęłam.

Chłopak skinął głową.

– A można coś jeszcze zamówić? – zapytała Daria. A jej głos ociekał nadzieją.

– Nie – uciął krótko, dając nam do zrozumienia, żeby więcej o żarełko nie pytać.

Kiedy się oddalił, nachyliłam się do przyjaciółki i powiedziałam:

– W pokoju mam chipsy…

– O smaku papryczki chili?

– Tak. Najlepsze. – Obie z Darią lubiłyśmy ostre smaki.

– To na co czekamy? – Wstałyśmy od stolika i w te pędy ruszyłyśmy po schodach do pokoju. Był piękny. Stały w nim dwa pojedyncze łóżka, na których leżała haftowana pościel. Duże okno prowadziło na balkon, z którego rozpościerał się widok na las i szumiącą w oddali rzekę. Siedziałyśmy sobie we dwie na łóżku, podjadając chipsy, i gapiłyśmy się, jak firanka dynda sobie na wietrze.

– Wiesz co? Przeczytałam gdzieś, że jakaś fajna babeczka chciałaby otworzyć kawiarnię o nazwie „Chujowy Dzień” – powiedziała ni z tego ni z owego Daria.

– Iii?

– Szuka inwestorów.

– Pomyślałaś o nas?

– Myślę, że to chwytliwa nazwa i mielibyśmy stałą klientelę.

Parsknęłam śmiechem.

– Wyobrażasz sobie faceta, który zaprasza jakąś laskę do Chujowego Dnia na randkę?

– Zrobiłby jej dzień. – Daria nadal patrzyła na trzepoczącą firankę. – I zamiast espresso czy cappuccino mogłybyśmy wymyślić swoje nazwy kaw. Na przykład na poniedziałkowy poranek: „Oby do piątku".

– Zbyt łagodnie, w Chujowym Dniu te nazwy musiałyby mieć moc. Co myślisz o „Pieprzę szefa" albo „Ten dupek mnie wkurwia"?

– „Ta zdzira mnie popamięta".

– „Ta zdzira mnie popamięta" byłaby z kropelką rumu albo whisky.

– A do „Ten chuj mi to zrobił" pączek gratis.

– Kiedy zobaczyłybyśmy jakąś zapłakaną kobietę, od razu serwowałybyśmy jej „Tego chuja" i pączuszka na osłodę.

– Ale nie bądźmy takimi szowinistkami, są też kobiety, które krzywdzą facetów.

– Byłaby kawa „Pizdo, karma wróci".

Parsknęłyśmy śmiechem.

– Myślę, że taka kawiarnia miałaby potencjał. – Popatrzyłam na Darię, która włożyła do buzi garść chipsów.

– Mhm – przytaknęła.

– Byłby tam też kącik obżarstwa.

– I kącik „nic mi się nie chce". I taki, gdzie można się wybeczeć. I serwowałybyśmy też rozmowy z najprzystojniejszym baristą świata na otarcie łez.

– Jakiś student psychologii z niezłym ciałem. Bo wiesz, silne ramiona musiałyby przytulać taką zapłakaną kobietkę. I on by im mówił to, co by chciały usłyszeć. I przytakiwałby na wszystkie złorzeczenia, że ta pipa to jest taka, a tamten fiut złamał którejś serce. I dolewałby im dobrej kawusi.

– To jest pomysł...

Rozmawiałyśmy tak jeszcze do północy, a potem nie wiadomo kiedy zasnęłyśmy.

***

Następnego dnia rano obudził mnie dźwięk gongu. Myślałam, że to w głowie mi coś dudni. Ale otworzyłam oczy i dźwięk znowu wybrzmiał.

Wstałam z łóżka jak oparzona, ale gong nadal rozbrzmiewał.

– Co to jest? – Wyjrzałam na korytarz i zobaczyłam, że kilka osób wyszło już ze swoich pokoi. Koło mnie przechodziła wysportowana kobieta w legginsach i obcisłej koszulce. Wyglądałam przy niej jak strach na wróble w swojej flanelowej koszuli, którą zapociłam. – Dzień dobry – odezwałam się nieśmiało. – Czy gdzieś powinnyśmy iść?

– Tak. – Kobieta spojrzała na mnie, uśmiechając się promiennie. Była doskonała. Miała doskonałe usta, zęby i wszystko na swoim miejscu. – Wykład, a po nim medytacja.

Wpadłam do pokoju jak burza i zaczęłam potrząsać Darią.

– Mhm… – jęknęła.

– Ubieramy się na medytację, wykład i może coś tam jeszcze.

– A daj mi pospać.

– Przyjechałyśmy odnawiać ducha, wstawaj.

Daria ziewnęła, a ja ze swojej torby zaczęłam wyciągać rzeczy, które mogłyby się nadać do ćwiczeń. W końcu zdecydowałam się włożyć luźny T-shirt, legginsy, które były ciut przyciasne, i modliłam się w duchu, by mi na tyłku nie strzeliły.

Daria wzięła prysznic i wciągnęła na dupsko różowy dres.

– Toś się wystroiła. – Spojrzałam na Darię w różu.

– Co, źle?

– Oczojebnie bym powiedziała. Nieważne, idziemy.

Zeszłyśmy do sali, gdzie trwał już wykład. Kuracjusze siedzieli na matach po turecku.

Przeprosiłyśmy za spóźnienie, na sali słychać było pomruk niezadowolenia.

No nic, zdarza się nawet najlepszym – pomyślałam i usiadłam z tyłu sali.

Dziewczyna o promiennym uśmiechu mówiła:

– Czasami wystarczy chwila, by przeżyć przemianę. Pod koniec turnusu przyjdziecie do mnie i podziękujecie mi za to, co dla was zrobiliśmy ja i moi współpracownicy. Bo staniecie się innymi osobami. Bardziej świadomymi, pełnymi energii i odnowionymi duchowo.

Ale ma gadkę. Wciska takie kity, że ho, ho. Daria, jakby wiedziała o czym myślę, odwróciła się w moją stronę i przewróciła oczami. Wykład trwał przez najbliższą godzinę. I nie, nie jestem malkontentką, ale chciałabym, by ktoś w końcu powiedział, jak jest naprawdę. O tym, że nie zawsze masz chęć jeść kiełki, że czasem twoja silna wola bierze nogi za pas i w las. Że czasem runie ci na głowę niebo i nie musisz od razu wstawać i grzać truchtem do krainy szczęśliwości, tylko usiąść sobie na swoim stołeczku i porządnie się wyryczeć. Że czasami człowieka ogarnie taki wnerw i ma prawo poczuć też złe emocje. Że czasami, chcąc nie chcąc, to szambo wybije i będzie cuchnęło. Że kobiety przed okresem czasem puchną, że nie zawsze w związku jest cacy, że każdy z nas jest na swój sposób zdrowo rąbnięty. Że czasem trzeba wziąć na wstrzymanie, czasem na luz. I wiele jeszcze innych rzeczy.

Cholera, zamiast słuchać wykładu, sama sobie go dawałam w myślach. Po wykładzie przyszedł czas na medytację.

Medytacja faktycznie mnie odprężyła, ale pod koniec byłam tak głodna, że marzyłam tylko o tym, aby coś wszamać. Kiedy tak medytowałam, zdałam sobie sprawę, że za dużo jem. Chyba mam rozepchany żołądek, skoro moje myśli nieustannie krążą wokół jedzenia.

Śniadanie było obfitsze od kolacji, co nas z Darią bardzo ucieszyło. Wszamałyśmy wszystko, wyjadając z talerzy niemal każdy okruszek.

Po śniadaniu poszłyśmy na masaż. Leżałam naga, przykryta białym ręcznikiem, a masażystka uciskała moje ciało. Myślałam, że będzie jak

na filmach: ja rozpływająca się pod wpływem relaksujących ruchów masażystki. Jednak nie było tak przyjemnie. Powiem szczerze: ten jej masaż mnie bolał.

– Jest pani strasznie spięta – powiedziała masażystka. – Proszę się rozluźnić i świadomie oddychać.

Kolejna wyskoczyła ze świadomym oddychaniem. *No dobra, Tatiana, skup się* – upomniałam siebie w duchu. I wdech, wydech… wdech, wydech. I nagle stało się coś, czego nie planowałam. Po moich policzkach zaczęły spływać łzy. Po chwili płakałam na dobre. Myślałam, że nie uda mi się złapać oddechu.

– Co się stało? – Masażystka przerwała swoje zajęcie. Podniosłam się z pozycji leżącej. Miałam nagie piersi, które już nie były tak jędrne jak kiedyś ani nie stały tak ładnie jak kiedyś, ale były w fazie opadowej. No cóż. Miałam to gdzieś.

– Mąż chce ode mnie odejść – wychlipałam. Bo właśnie podczas tego świadomego oddychania zdałam sobie sprawę z nieuchronnej prawdy. – Wyprowadził się. Bo ja… Miałam prawie romans. Nie taki skonsumowany, a taki no… – mówiłam jak potłuczona. – I myślałam, że to pokrewieństwo dusz, a to całe gie, a nie żadne pokrewieństwo. Jedno wielkie gówno.

– Kochanieńka – powiedziała kobieta, która wyciągnęła w moją stronę ręce i mocno mnie do siebie przytuliła. – Może czasami coś nam się wydarza, żeby coś zmienić? – zasugerowała.

– Może – przytaknęłam lakonicznie.

– Nie jesteś pierwsza, która opowiada mi o swoim życiu. Choć wydaje ci się, że twój ból jest wyjątkowy, to muszę cię zmartwić i powiedzieć, że nie jest. I wiele kobiet przed tobą i po tobie przeżywa takie załamania albo podobne. Bo mąż odszedł, bo ona go zostawiła, bo jakaś choroba w rodzinie, bo to i tysiące innych rzeczy. Przetrwasz to. Może teraz wydawać ci się będzie, że nie przetrwasz, ale tak zrobisz. A ścieżki twojego życia się naprostują. Może nie tak, jak będziesz tego teraz chciała, ale się naprostują.

Jeszcze chwilę rozmawiałyśmy, a potem kobieta skończyła mnie masować.

Mój duch powracał do ciała. Pomyślałam sobie, że cokolwiek się wydarzy, to mój duch powrócił. Uśmiechnęłam się na te słowa.

Kiedy czekałam w pokoju na Darię, która jeszcze nie skończyła swojego masażu, wyjęłam z plecaka notes i zaczęłam pisać:

Kochanie,

każdy z nas ma złe dni…

Każdy z nas ma czasami nie tylko muchy w nosie, lecz także pryszcza na nosie.

Każdy z nas ma niekiedy ochotę powiedzieć: Mam dość, kurwa! No teraz to już serio mam dość!

Każdy z nas zastanawia się czasami „i po co to wszystko?".

I każdy z nas walnął pięścią w stół.

I każdego z nas czasem serce boli albo w jakimś momencie życia to serce głupio zwariuje i bije przyśpieszonym rytmem.

I każdy z nas przeszedł w życiu jakieś zamieszanie i pierdzielnięcię niezłe.

I każdy ma czasami dosyć syfu, którym karmią nas media.

I każdemu z nas czasami coś nie wyszło.

I każdy z nas był na jakimś swoim dnie. W swoim załamaniu.

I każdy z nas ma swój krzyż, który dźwiga codziennie.

I każdy z nas zmaga się ze swoim nieogarnięciem.

I najważniejsze, żeby zdał sobie sprawę, że nie musi się nikomu tłumaczyć z tego, dlaczego tak jest.

Nie jesteś sama… Jestem tu z Tobą.

Ja, która przeżywam to co Ty.

ROZDZIAŁ 29

Dezercja

Po trzykilometrowym biegu skręciłyśmy na polankę, dezerterując z przebieżki. Sapałyśmy przez kolejnych kilka minut, aż w końcu złapałyśmy oddech i usiadłyśmy pod drzewem. Napiłyśmy się wody.

– Czuję, że mój duch na nowo we mnie wstąpił – powiedziałam do Darii, dysząc niczym stara lokomotywa.

– Ty, a ile oni jeszcze będą biec? – zapytała moja przyjaciółka, która była cała czerwona.

– Do upadłego.

Roześmiałyśmy się.

– Jak się czujesz? Poza tym, że doznałaś duchowego uzdrowienia.

– A wiesz, że nie najgorzej. Ten las, biegi, wykłady, świadome oddychanie jednak robią robotę. Wczoraj, jak już zasnęłaś i chrapałaś, tak sobie pomyślałam, że dobrze mi tu. Boję się powrotu do rzeczywistości, ale jestem gotowa stawić jej czoła. Będę walczyła o swoje małżeństwo.

– O, wypraszam sobie, ja nie chrapię.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Ty – Daria odgarnęła mokre kosmyki włosów z policzka – to może dlatego nie mam faceta? Przez to chrapanie.

– Wiesz, że bardzo możliwe.

– Ale wracając do twojego samopoczucia, to… – Wskazała na mnie ręką.

– To wiem, że nie należy sobie niczego planować. Bo nasze plany czasem diabli biorą. Możesz mieć rodzinę, a za chwilę coś grzmotnie i nie masz rodziny. Bo na przykład ci się romansów zachciało z księciem, który potem okazał się giermkiem. Możesz mieć świetną pracę, a chwilę później ją stracisz. I kredyt diabli wzięli. I marzenia o wyśnionym mieszkanku odchodzą w siną dal. Życie płata nam figle, spuszcza łomot, ale czasami nic na to nie poradzisz. Bo złośliwość losu, bo jakiś chochlik się zasadził i gmera w twoim życiu.

– Ale cię natchnęło! A tak między górnolotnymi wywodami a ziemią, to...?

– To gdyby zawsze było dobrze, toby było niedobrze, bo nie docenialibyśmy tego dobrze.

Daria śmiała się na całego.

– Wiesz co, musisz kręcić więcej filmików na insta.

– A daj spokój z tym insta, tam trzeba ludzi udostępniać, followować. A ja się na tym nie znam.

– Ale gdybyś taki film od serca nakręciła, tobyś miała tyle polubień.

– Wiesz, gdzie to mam?

– Wiem...

Znowu się śmiałyśmy.

– Kochana – złapałam przyjaciółkę za rękę – wracamy. Do życia.

I już podczas powrotu do domu dostałam wiadomość od Iwa.

Napisał, żebym o nim zapomniała i zostawiła go w spokoju, bo on chce wieść spokojne życie u boku rodziny, a ja byłam nic nieznaczącą przygodą. O tej przygodzie zaznaczył dwa razy. Powiedział też, że przyznał się do wszystkiego szanownej małżonce, żebym przypadkiem ja tego za niego nie uczyniła. Nie miałam takiego zamiaru, ale skoro podejrzewał mnie o takie gierki, to niech robi, co chce.

Powiedziałam o tym Darii.

– Ale z niego jest złamas i tchórz, i palant! – Daria pokręciła głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Naprawdę nie wierzyłam w jego słowa. Od ponad tygodnia się do niego nie odzywałam, za to on mnie dzisiaj zaatakował.

Po chwili przyszły dwie kolejne wiadomości.

– I co napisał? – Daria była nie mniej ciekawa ode mnie.

Zrobiłam wielkie oczy.

– To trudne do uwierzenia… – Zrobiłam dramatyczną pauzę.

– No mów, bo jajko zniosę! – Moja przyjaciółka zacisnęła ręce na kierownicy.

– Miał próbę samobójczą, i to jaką spektakularną! Truł się gazem nad kuchenką elektryczną. Dopiero po ocknięciu zauważył, że elektryka niewiele ma z gazem wspólnego. I żona mu wybaczyła po tej nieudolnej próbie.

– Ja pieprzę… – Darii chyba słów zabrakło.

– Dobrze, że to już koniec! Naprawdę dobrze.

***

Wieczorem się rozpakowałam, wzięłam prysznic i napisałam:

Moje drogie serce, ja cię przepraszam za to, że kochałam twojego zabójcę.

– To był nieudany zamach. Żyję… A ty? Ty wtedy nie wiedziałaś, że to ON mnie skrzywdzi… – Cichutko sobie bije moje drogie serce.

– Wyrządził tyle krzywd i odszedł. Tak po prostu zwinął manatki i sobie poszedł.

– Nie, czekaj, ON powiedział, że się przez ciebie wykrwawia.

– Kłamał… Wiesz, te jego słowa. Można między bajki włożyć.

Serce westchnęło.

– Zaraz po tych słowach zadał ci kilka ciosów.

– On przecież chciał, bym to ja się wykrwawiła.

– Tego się nie robi. Nie odchodzi się w taki sposób od osób, które uchyliły ci nieba.

– Moje drogie serce, ja nie wiem, jak to się stało, że biorę właśnie udział w czymś, czego zupełnie nie rozumiem.

– A to już pytanie do rozumu…

– Ale, ja z tobą chcę pogadać. Bo to ciebie skrzywdziłam najbardziej.

– Czego nie rozumiesz?

– Jak tak można?

– A widać, że można… Powiem ci coś: nie nadstawiaj lewego policzka ludziom, którzy uderzyli cię w prawy. Nie ufaj tym, którzy zawiedli cię już kilka razy. Nie słuchaj durnych wyjaśnień kłamców. Oni wymyślają kolejne kłamstwa tylko po to, by się wybielić. Nie daj się nabrać słodkim słówkom ludzi, którzy chcą być z tobą, kiedy jesteś na topce, lub którzy dzięki tobie mogą coś ugrać. Bo gdy ty upadasz, to gie ich obchodzisz. Wybierz siebie. Po raz pierwszy wybierz siebie. Nie można zdradzać samej siebie, to powinno być karalne. Wiesz, brzydzą mnie ludzie, którzy dadzą ciała i idą w zaparte, że to nie tak, zwalając winę na drugiego człowieka.

– A pamiętasz, co ON wyprawiał?

– Te żale wylewane do wszystkich wokół: „Bo ONA… Taka straszna… Przestępczyni jedna", łkał drżącym głosem… Aktorsko odgrywał swoje dramy…

– Bo to dobry aktor jest.

– Mistrz suspensu.

– Ba, on to nawet i reżyserem jest. Wyreżyserował od nowa scenki sytuacyjne.

– Za montaż też się wziął.

– Dobrze pociął dialogi…

– A… i wariatkę ze mnie zrobił. Na dokładkę tak.

– No a jak! W każdej dobrej komedii, dramacie czy filmie grozy musi być wariatka. A TY? Ani jednego słóweczka na jego temat. Milczałaś. Co za klasa.

Droga ty, ja, serce, jestem z ciebie cholernie dumne, że powiedziałaś „przepraszam”… Bo trzeba mieć jaja i twardy charakter, żeby powiedzieć „przepraszam” do człowieka, który wbił ci nóż między żebra.

– Bo trzeba brać na klatę swoje przewinienia. Bo ja… Ja sobie nie wyobrażam, że może być inaczej.

– Trzeba mieć odwagę, by pokazać skruchę, przyznać się do winy, uwolnić się od potworów. I jeszcze coś ci powiem: można biec bardzo długo, uciekając przed przeszłością.

Ale przeszłość dopada… W najmniej spodziewanym momencie.

Oplata nasze ciało.

Paraliżuje.

Jest. Po prostu jest.

ON… już czuje jej oddech na swoich plecach.

– Jestem tuż za tobą – szepcze MU do ucha…

ROZDZIAŁ 30

Czasami nie możesz się powstrzymać

Następnego dnia Artek przyjechał do domu z chłopcami. Bardzo się za nimi stęskniłam. Wycałowałam Szymka, Krystian nawet nie chciał mnie objąć.

– Daj mu chwilkę – powiedział Artek.

Skinęłam głową.

– Wejdziesz? Napijesz się herbaty? – Za nim też tęskniłam i tak bardzo chciałam, żeby mój mąż wypił ze mną herbatę.

– Nie. Dzięki. Lecę.

– Artek…

– Hmm? – Spojrzał na mnie smutno.

– Będę o nas walczyła – powiedziałam z pełnym przekonaniem.

Wzruszył ramionami.

– Cześć, Tatiana. – Wyszedł do samochodu i odjechał.

Weszłam do pokoju.

Mój starszy syn był wściekły. Rzucił plecak na sofę. Poczerwieniał na twarzy, a ręce mu się trzęsły.

Wiedziałam, że zaraz wybuchnie. Dałam serek Szymkowi i pozwoliłam mu pograć w jakąś grę, bo chciałam zostać z Krystkiem sam na sam.

– Co jest? Coś z ojcem? – zapytałam łagodnym tonem.

– Z ojcem? – prychnął. – Z tobą. Już wiem, dlaczego tata z nami nie mieszka. Przez ciebie.

– Tak ci powiedział? – Byłam zła na Artura, obiecaliśmy sobie, że nie będziemy w to mieszać dzieci.

– Tata ma klasę – odpowiedział szybko Krystek. – W przeciwieństwie do ciebie. – Rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie.

– Chcesz o czymś ze mną pogadać? – Nogą zamknęłam drzwi do pokoju.

– Miałaś kochanka! – wykrzyczał oskarżycielsko.

– Skąd to przypuszczenie? – A więc Artek jednak wciągnął w to naszego syna.

– Odpowiedz! Miałaś czy nie?

– Nie – kłamałam do końca. Daria powiedziała mi, że w tej sprawie mam do końca kłamać dzieciom. Ale ja nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Mój kumpel widział was razem w knajpie – powiedział.

– To był kolega z wydawnictwa.

– Gówno prawda! – Jego ton był ostry niczym brzytwa. – Wszystkie matki pod szkołą na ten temat plotkują. Poszedłem po Szymka i te baby mówiły o tym, że tata od nas odszedł, bo tobie zachciało się romansu na boku. Mówiły to tak głośno, żebym usłyszał.

Poczułam, jakby ktoś kopnął mnie w sam środek brzucha. Ledwo łapałam oddech. Było mi tak bardzo, bardzo przykro. Nie chciałam wciągać w to naszego syna, ale zawsze znajdą się jakieś życzliwe babole, które o tym doniosą. Pewnie każda z nich by chciała, ale nie każdą wyhaczy taki Iwo. *Niech je piekło pochłonie* – złorzeczyłam w duchu.

– Każdy ma coś za uszami. – Postanowiłam, że z moim prawie osiemnastoletnim synem będę rozmawiała jak z dorosłym. – Tylko nie każdy potrafi się do tego przyznać. A obgadywanie innych nie jest fajną sprawą.

– Mój kolega widział, jak się całowałaś z tym gościem kiedy wyszliście z pubu.

Przygryzłam dolną wargę. Nie mogłam dalej iść w zaparte, że tak nie było.

– Zauroczyłam się. To nie był taki łóżkowy romans. – Spuściłam wzrok, czułam się idiotycznie.

– Zauroczyłaś się? W twoim wieku?

– Można się zakochać w różnym wieku.

– To jest obrzydliwe, mamo! – Mój syn patrzył na mnie z pogardą.

– Być może tak się tobie wydaje.

– Ale co jest nie tak z ojcem? – zadał pytanie, po czym zacisnął dłonie w pięści.

– Z ojcem wszystko jest w porządku – powiedziałam. – Popełniłam straszny błąd, który chcę naprawić.

– Wiesz co? – Zaczął kręcić głową, a ja poczułam się fatalnie.

– Wiem, spieprzyłam.

– I to jak spieprzyłaś! Ale mam nadzieję, że będziesz potrafiła to naprawić. Dla nas. Dla naszej rodziny, a przede wszystkim dla Szymka. Ja jakoś dam sobie radę… Ale Szymek? To jeszcze dzieciak.

Poczułam, jak łzy zbierają się pod moimi powiekami. Tak bardzo mnie wzruszył troską o swojego młodszego brata. Jakakolwiek była ta nasza rodzina, to myśmy się naprawdę bardzo kochali. A ja to zwaliłam.

– Tęsknisz za nim? – spytałam słabym głosem.

– Bardzo! Ojciec jest spoko. Wkurza mnie czasami, ale jest spoko – powiedział rozpaczliwym głosem. A mi się zrobiło przykro. Nie wiedziałam, że mój siedemnastoletni syn tak bardzo będzie potrzebował ojca.

Oddychałam przez szeroko otwarte usta. Cała drżałam. Zaczęłam się pocić. Było mi tak bardzo, bardzo przykro.

Powiem ci, że zakochać się w kimś jest bardzo prosto. Spijać sobie z dzióbków. Popijać czerwone wino i karmić się winogronami. Całować się tu i tam. Uprawiać szalony seks. To wszystko jest takie cudowne. Do

pierwszego grzmotu, do pierwszego problemu, do pierwszego zawodu, pierwszego oczekiwania. Pierwszego pierdzielnięcia. Potem przychodzi życie. I gdziekolwiek teraz jesteś, w jakimkolwiek punkcie swojego życia, to powiem ci, że przyjdzie taki moment próby. I wtedy zobaczysz, czy to spijanie sobie z dzióbasków to coś więcej, czy tylko mrzonka.

– Obiecuję, że będę walczyła o twojego tatę… Obiecuję. Bo go kocham. I was kocham… – Wzruszenie odjęło mi mowę.

Dwa dni później

Byłam już wstawiona, ale kazałam się zawieźć pod blok teściowej, gdzie obecnie mieszkał mój mąż. To szaleństwo, zdałam sobie z tego sprawę. Spodziewałam się, że mój małżonek nie będzie chciał ze mną nawet porozmawiać, ale jednak jakaś pijacka iskierka nadziei błąkała się w mojej duszy. Zachciało mi się ekscytacji? Mnie, kobiecie rozumnej. Wybuchłam pijackim śmiechem. Taksówkarz zerknął w lusterko. Pokręcił tylko głową. Pewnie zauważył, że wiezie podchmieloną kobietę w średnim wieku.

To szaleństwo. Szaleństwo, co robiłam, ale postanowiłam, że wkroczę do mieszkania i będę błagała Artka o przebaczenie.

Zapukałam do drzwi. Otworzyła teściowa.

– Mamooo – wydukałam.

– Tatiana… Co za niespodzianka! – Teściowa spojrzała na mnie z góry na dół.

– Przyszłam do męża – powiedziałam i spuściłam głowę. Czekałam na reprymendę, ale ona chwilę pomilczała, po czym się odezwała:

– Wychodzę na spacer. – Sięgnęła po płaszcz, włożyła buty. – Wy sobie na spokojnie porozmawiajcie.

Wyszła, a ja stałam oniemiała w przedpokoju, przestępując z nogi na nogę, bo uzmysłowiłam sobie, jak bardzo chce mi się sikać. Nie potrafiłam się skoncentrować. W końcu zebrałam się w sobie i lekko

kołysząc biodrami, poszłam w stronę pokoju. Przy stoliku siedział Artek, który pracował na laptopie.

– Artek… – zaczęłam jakimś ochrypłym głosem. Odchrząknęłam.

Podniósł na mnie wzrok. Skrzywił usta w jakimś dziwnym grymasie.

– Nawaliłam – powiedziałam, przebierając nogami.

– Sikać ci się chce? – zapytał jak gdyby nigdy nic.

– Trochę.

– Wiesz, gdzie jest toaleta?

Wiem. Właśnie wiem. Wiem też, że nie lubi, jak mu się przeszkadza w pracy, i jakim jest dobrym ojcem, i że tak naprawdę…

– Zanim pójdę… Chcę ci powiedzieć – parsknęłam nerwowym śmiechem.

– Za dużo wypiłaś?

– Nie… To znaczy tak.

– Co chciałaś mi powiedzieć?

– Kocham cię, Artek… Kocham cię.

– Czy tamtego też kochałaś?

– Nie. To było tylko kilka rozmów… Wiadomości… Trzy spotkania. Nie, cztery. I kilka razy się pocałowaliśmy. Nic poza tym.

– Zaangażowałaś się.

Artek wstał od biurka, odwrócił się do mnie tyłem. I wszystko mi się przypomniało. To, jak trzymał mnie za rękę, kiedy moja babcia umierała. I to, jak mnie wspierał, kiedy rodziłam nasze dzieci. I to, jak odkładaliśmy kasę na naszą pierwszą zagraniczną wycieczkę.

– Złamałaś mi serce – powiedział bez ogródek. A ja zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz od dawna rozmawiamy o naszych uczuciach.

– Zsikam się – powiedziałam, bo już naprawdę czułam, że za chwilę mogę nie wytrzymać.

Podbiegłam do męża, pocałowałam go w usta i pędem puściłam się w stronę kibelka. Po kilku minutach znów stałam przed nim.

– Przepraszam… Czy da się jakoś uratować nasze małżeństwo? – zapytałam.

– Wszystko przed nami. Tylko nie myśl sobie, że to wszystko da się tak łatwo odbudować, że łatwo mi będzie zapomnieć. Kiedy się dowiedziałem o tym facecie, miałem ochotę go zabić, a potem ciebie. Musisz być pewna, że chcesz to naprawić. – Jego twarz była jak maska. Przeszył mnie dreszcz.

– Nie spałam z nim… – powiedziałam skruszona.

– Ale zaangażowałaś się emocjonalnie.

– To tak… – Nie miałam już siły dłużej go okłamywać. – Wydawało mi się, że czegoś mi brakuje.

– I co?

– Co „co”?

– Do jakich wniosków doszłaś?

– Że to wszystko gówno warte, że to była mrzonka, że tego nie chcę. Że kocham ciebie. Że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie… – przerwałam.

– Co znowu?

– Niedobrze mi.

Znowu popędziłam w stronę łazienki. Kiedy już zwymiotowałam, nie mogłam się podnieść z posadzki. To Artur wziął mnie pod ramiona i postawił na nogi. To on odgarnął z czoła moje włosy. To on przemył mi twarz i zaparzył miętę, a potem odwiózł do domu i przykrył kocem.

– Gdzie dzieci?

– U mamy – wybełkotałam i zasnęłam.

ROZDZIAŁ 31

Bo jeśli czegoś bardzo chcesz, to to naprawisz

Szymek wyjechał na półkolonie.

Po kilku dniach odebrałam telefon.

– Pani Zdrojewska? – zapytał męski głos po drugiej stronie.

– Tak, słucham. – Pomyślałam, że to mój pracodawca.

– Jestem z Szymonem w szpitalu – powiedział, a ja poczułam, jak krew odpływa mi z głowy. Musiałam usiąść. – Proszę się nie denerwować, złamał rękę.

– Złamał rękę? – zapytałam, jakbym przed chwilą tego nie dosłyszała.

– Tak właśnie jest – potwierdził spokojniejszym tonem. A potem poinformował mnie, w którym szpitalu się znajdują.

Zadzwoniłam do Artura.

– Będę za dziesięć minut – rzucił do słuchawki.

Podjechał po ośmiu minutach.

– To tylko ręka – powiedział. – W jego wieku takie rzeczy się zdarzają.

– Tak. – Nic mądrzejszego nie byłam w stanie z siebie wydusić i się rozpłakałam.

Artek dotknął mojej dłoni.

– Wyjdzie z tego szybciej, niż myślisz.

Do szpitala dojechaliśmy w ciągu pół godziny. Szymon z ręką na temblaku siedział zgarbiony na krześle. Podeszłam do niego i mocno go przytuliłam. O dziwo mój syn nie oponował.

Artur dowiedział się od lekarza, że chirurg ortopeda będzie składał Szymkowi rękę, ponieważ jest to skomplikowane złamanie. Potrzebna będzie śruba. Struchlałam. Szymek, usłyszawszy te słowa, przytulił się do mnie jeszcze mocniej. Oddychał szybko. Wiedziałam, że się boi. Dodawałam mu otuchy. Całowałam. Artur z nim porozmawiał po męsku, ale z sercem. A potem mój syn pojechał na operację, a mój mąż mnie do siebie przytulił. I pomyślałam sobie, że te ramiona, ten znajomy zapach to jest to.

***

Wrócił spokój. Co mi się w tym spokoju kiedyś nie podobało? Nie wiem...

Pamiętam, jak któregoś dnia stałam w kuchni, zmywając naczynia, i sobie pomyślałam „i to tyle? Tyle, na co mnie stać? Tyle, co mnie w życiu spotka?". „Czasami zastanów się, czego sobie życzysz" – powtarzała mi w kółko babcia. A człowiek jak ta ćma lubi lecieć do ognia.

Skupiliśmy się bardziej na własnej rodzinie. Więcej rozmów. Więcej zachwytów sobą. Więcej przemyśleń.

I Szymek ma tyle napisów na gipsie, z których tak bardzo się cieszy.

A Krystek ma dziewczynę, na poważnie. Powiedział mi, że się zakochał. Mój mąż mówi, że jest dziwna. Może dlatego, że wygląda dość mrocznie. Ma długie farbowane na czarno włosy. Powieki też maluje na czarno i ma dwa kolczyki w nosie, jeden w brwi i kilka w uszach. Ale Krystek ją kocha i to się liczy.

Któregoś dnia Krystek sięgnął po opowiadania Hłaski. Zatrzymał wzrok na jednej ze stron i przeczytał:

– *Przepraszam. Zrobiło mi się niedobrze. Mam nawalone serce.* Mamo, dobre to.

– Hłasko. Przeczytaj wszystko.

– A wiesz, że z przyjemnością.

Uśmiechnęłam się do niego...

Zmiany...

I ja jakoś częściej odkładam telefon na bok i już nie chodzę z nim jak ze smyczą.

I już tak często nie zaglądam do wiadomości i żyje mi się z tym znacznie lepiej.

I czasem jeszcze ogarnia mnie jakaś tęsknota. Nie, nie za nim, ale za przeżyciami takimi szalonymi. A potem tłumaczę sobie, że nie warto.

Bo naprawdę pewnych rzeczy nie warto robić.

Bo należy sobie zdać sprawę, że takie zwyczajne momenty zdobią nasze życie. Bo więcej w życiu tej zwyczajności niż tych ochów i achów.

Bo jakiś projekt na wczoraj, na już. A ty w tym pędzie. Niepotrzebnie.

A tu dziecko ze swoim problemem. Ze swoim zmartwieniem. A ty warczysz „nie teraz".

Bo zamiast film razem obejrzeć pod kocem, zamiast iść na spacer poranny we dwoje, to ty się wściekasz, bo on o coś zapytał, a ty akurat odpisujesz na wiadomość obcej osobie.

Bo żeby tak kwiatami się zachwycić, zamiast wyspami Bora-Bora ze zdjęć z Instagrama.

Bo ciepła bułeczka na śniadanie.

Bo spacer o wschodzie słońca i ten o zachodzie.

Bo piękno chwili.

Bo taka ja i taki on, i tacy oni.

Bo i mleko się rozleje.

Ale żeby płaczu za wiele nie było, trzeba posprzątać i tyle.

I wianki z koniczyny latem upleść. A zimą bałwana ulepić.

A jak cię coś wkurzy, to o tym powiedzieć, a nie dusić w sobie.

Nie zadręczaj siebie. Nie zadręczaj innych swoim ciągłym narzekaniem.

Bo czy coś zrobimy, czy czegoś nie zrobimy, życie toczy się dalej.

Bo czasem zdarza się pogoda, mimo że oni tę niepogodę zapowiadali.

Żebyśmy pamiętali o swoich bliskich, kiedy milion niezałatwionych spraw.

I czasami wolniej, zamiast szybciej...

***

Do naszego ogrodu kupiłam mnóstwo cebulek kwiatów, sadzonek, krzewów. Kiedy cztery lata temu kupiliśmy z Arturem tę działkę, pomyślałam sobie „będę miała ogród, w którym będę sadziła kwiatki". Kiedy wybudowaliśmy dom, zakochałam się i wszystko poszło w diabły, nawet mój ogród. A teraz chcę, by wróciło to marzenie o ukwieconym ogrodzie.

Tego ranka chodziłam wokół domu, zastanawiając się, co zrobić w pierwszej kolejności. Potem pojechałam do sklepu ogrodniczego i kupiłam mnóstwo sadzonek. Dokupiłam tuje. Nie lubię tui, każdy je ma, a ja chciałabym mieć coś innego niż wszyscy. Artek jednak się uparł, bo powiedział, że tuje są zielone przez cały rok, a on chce zieleni w ogrodzie. I niech będzie.

I przyszła kolejna wiosna.

W żółciach, bieli, zieleni i seledynie.

Bez zbędnych stylizacji, trochę roztrzepana, jak ja...

Przyszła taka nieokiełzana.

W czyimś uśmiechu. W zakłopotaniu. W pierwszych zapachach.

Ktoś kiedyś tak pięknie powiedział, że „ciemność nie może wypędzić ciemności, tylko jasność może to zrobić. Nienawiść nigdy nie wypędzi nienawiści, tylko miłość może to uczynić".

I słońce przebija się przez chmury. I pierwsze piegi na nosie.

I przyszła wiosna w szmerze strumyka, w śpiewie ptaków.

W uciętych zakończeniach i szczęśliwych początkach.

I naprostowuje ścieżki...

***

Zakończyłam kilka znajomości w których się dusiłam.

Bywają chwile, że mam ochotę krzyczeć, że chcę normalności, ale też takie, że cieszę się z tego, co mam.

Schrzaniłam kilka rzeczy, część też spieprzyłam (no że za dużo przypraw dodałam). :)

Ale... siałam też dobro, wspierałam i jak tylko umiałam, starałam się być dobrym człowiekiem, chociaż...

Nie zawsze mi to wychodziło.

Biłam się w pierś.

Przyrzekałam zmianę...

Popełniłam kilkakrotnie te same błędy.

Przeprosiłam.

Wybaczyłam.

Nie zapomniałam.

Przeżyłam ogromną stratę.

Kocham i jestem kochana.

Przestałam narzekać i przejmować się, że czegoś mam za mało, a czegoś za dużo, bo naprawdę to prawdziwe szczęście mieć dwie nogi i ręce i budzić się do życia.

Za kilka tygodni (mam nadzieję) rozpocznę inny rozdział. Wywrócę mój świat do góry nogami.

Jestem gotowa jak nigdy przedtem.

Czy mam obawy? Pewnie, że tak, ale kto nie ryzykuje, nie pije szampana. Za szampanem nie przepadam, ale wina to z chęcią się napiję.

Zawsze można rozpocząć od nowa. Z przytupem, z obawą, z tysiącem pytań, ale od początku...

KONIEC

Zastanawiałam się, co mogłabym ci na koniec napisać, Kochana moja. Skoro tutaj dobrnęłaś, to już się trochę znamy. Chociaż możesz mi teraz nie wierzyć, to powiem ci coś: czasami coś musi się porządnie spierdolić, sypnąć, rypnąć, rozpaść, żeby potem na tych zgliszczach wybudować coś mega fajnego.

Moja koleżanka złamała kiedyś ząb. Ile ona biadoliła, że to dwójka się ukruszyła, że to i tamto. Notabene musiała dwójkę usunąć, wstawić implanta. Ale wizyty u dentysty sprawiły, że odnalazła miłość swojego życia. Był nią pan recepcjonista z kliniki dentystycznej.

Czasami musisz poczuć swąd spalonego przeszłego życia, żeby wyjść z toksycznej relacji.

Czasami nic cię nie uratuje, oprócz totalnej rozpierduchy, która powali cię na kolana, rozłoży na łopatki i w ogóle porządnie przeora.

Nabeczysz się, nadenerwujesz, a potem zobaczysz jakiś zielony pączek nadziei. I drugi, i kolejny, a potem, jak wszystko rozkwitnie, to sama się zdziwisz, że jest tak pięknie.

Upadłam kilka razy w swoim życiu. Mogłam stracić rodzinę przez jakąś ułudę. Spadłam na dno i szorowałam po nim swoim nagim ciałem, już nie takim idealnym. Bo naznaczonym rozstępami, cellulitem. Ciałem, które już trochę przeżyło. Dotykanym przez kilku mężczyzn, których kiedyś kochałam i którzy może kochali i mnie. Dotykanym przez przyjaciółkę, kiedy mocno mnie obejmowała. A potem wydotykanym przez moich synów. Trochę mułu się na mnie znalazło. Ale otrzepałam się z niego. Odbiłam się od tego dna. Bo ważne, by się odbić. Czasami zanurkujesz bardzo głęboko. Czasami będziesz na dnie dna, bo niżej się nie da. Ale pamiętaj, ważne, byś w którymś momencie

do siebie powiedziała: WRACAM! Wracam do żywych. Uwierz mi, życie ma tyle do zaoferowania.

A jakie powroty nie są wskazane?

Do przeszłości, choćby nie wiadomo jak była ona kusząca. To tylko twoje wyobrażenia o zamierzchłych czasach. Raz na jakiś czas i tak do niej wrócisz albo ona do ciebie zapuka w postaci nieproszonej wiadomości. Nie reaguj na nią. Po co ci to?

Czasami zajrzysz na jego Facebooka, uśmiechniesz się może, a może zaboli cię serce. Nie zerkaj, choćby nie wiem jak cię korciło. Nie warto.

On jest twoją przeszłością. Nie warto żyć złudzeniami, zapewniam cię. Złudzenia to najgorsze, co możesz sobie zafundować. Od złudzeń lepsza jest już rzeczywistość, jakakolwiek by ona była.

Teraźniejszość to jest to. I twoje plany na najbliższe dni.

Los i tak zakpi sobie czasem z ciebie i twoich planów.

I tak jeszcze nie raz ani nie dwa dostaniesz po dupsku.

Upadniesz, podniesiesz się i będziesz dalej szła przed siebie.

Ważne, że przed siebie, bez oglądania się za tym, co było.

To już nie wróci.

Chciałabym ci też powiedzieć, że naprawdę nie ma sensu ani za bardzo się przejmować, ani nadmiernie wkurzać. W dzisiejszym świecie jacyś tacy nadpobudliwi z deka jesteśmy. Nawet bym powiedziała, że nie tylko z deka, ale z całego kilograma.

Bo dziecko napsociło… Serio? A ty nie psociłaś, gdy byłaś dzieckiem? Jeśli psoci, to dobrze. Psocenie z umiarem jest okej. Najbardziej zadziwiają mnie te spokojne dzieci, które siedzą jak trusie pod kloszem u mamusi, która o wszystko je upomina „bądź grzeczna”, „nie ruszaj patyka” i w standardzie „bo się pobrudzisz”. Pobrudzenie nie jest złe. Naprawdę. Pobrudzenie jest okej.

Mąż, zamiast mówić, jak pięknie ci w tej nowej fryzurze, zmieni uszczelkę. Pogadaj z nim o tym, że uszczelka uszczelką i jest twoim superbohaterem, ale ty byś też od czasu do czasu chciała, żeby on i te

włosy zauważył. Ale żeby od razu trzęsienie ziemi robić. Wiesz, Kochana, szkoda przede wszystkim twojego zdrowia.

Wiesz, ile kobiet zazdrości ci, że ktoś tę uszczelkę wymienił? Że kogoś masz u swego boku.

Szef dupek, być może. Zacznij szukać nowej pracy. A chwilowo sobie przetłumacz, że opinia jednej osoby nie zachwieje twojej wiary w siebie. I to... Tylko praca. Nic więcej, tylko praca.

I czasem nie tylko ty masz gorszy dzień. I pani w sklepie też ma swoją historię i kurierowi ktoś rogi doprawił, a lekarzowi, który dzisiaj nie miał ochoty się uśmiechnąć, kilka dni temu zmarła mama. Każdy ma jakiś bagaż, który dźwiga na plecach albo ciągnie za sobą jak kulę u nogi.

I każdy, ale to każdy z nas ma w sobie jakieś braki, jakieś powykrzywiania i każdy z nas jest na swój sposób trochę odwalony w kosmos.

I nikt, ale to nikt nie jest święty.

I każdy, ale to każdy coś tam w swoim życiu nabałaganił.

Powiem wam coś jeszcze, Kochane: żeby tak każdy cenił sobie to, co ma w głowie i w serduchu, zamiast tego, czy tu coś za dużo, a tu za mało, byłoby dobrze.

Życie mnie trochę nakierowało, zmieniło. Ludzie, których spotkałam, dali mi wielką mądrość. Bo to trochę bez sensu przejmować się dużymi stopami (które mam), kiedy ktoś stracił w wypadku nogę i nie ma swojej stopy.

Potrafimy narzekać na wszystko. To słabe w sumie jest. Ja też czasami ze swoimi słabościami jestem, ze swoim narzekaniem, ale już mniej. Nie powiem, że wcale, bo zaleciałoby hipokryzją. Ale naprawdę nie przejmuję się już tak bardzo pierdołami. I mam to szczęście, że nigdy nie byłam zafiksowana na tym, czy mój paznokieć od prawej stopy pasuje kolorem do paznokcia u lewej dłoni...

I...

Naprawdę wiele zrozumiałam.

I super jest dbanie o siebie. I ruch jest wskazany dla zdrowotności, i sama pedałuję ile wlezie na mojej niebieskiej strzale (czytaj rowerze). Ale super są też inne rzeczy.

I jedni tak, a drudzy siak.

Bo jedni biorą hormony, inni chorują, a u jeszcze innych coś tam innego. Jedni puchną, inni mają zdeformowane ciała, a jeszcze inni muszą spędzić całe dnie w łóżku.

A są i zdrowe osobniki, które mają i piękne ciała, i dusze.

Mam udo konkretne i mam zmarchy, i coś tam jeszcze by się znalazło jako konkret taki.

Mam też zajebiste poczucie humoru, cudne serce i mózg myślący. I włosy, które uwielbiam.

Mam też problemy zdrowotne i stos innych zmartwień, jak każdy.

Ale mam też garstkę osób, które naprawdę są mi bliskie, kochane i takie, które walą szczerze prawdę między oczy i przytulą, kiedy trzeba.

I życzę nam wszystkim, by może mniej pierdołami się przejmować. I mniej sztuczności, więcej prawdziwości. I swoim życiem, a nie sąsiada, się zajmować. I więcej radości znajdować w szarej codzienności.

Słowa „w twoim wieku to nie wypada tego czy tamtego", „nie wypada włożyć tej kiecki", „nie wypada wlecieć między wrony i krakać inaczej", „nie wypada śmiać się zbyt głośno", „z tatuażami po czterdziestce/pięćdziesiątce pani szuka pracy?", „ma pani już swoje lata"... i inne słowa, i to od kobiet, co mnie w ogóle już mierzi: „powinnaś mieć dziecko", „powinnaś przytyć/schudnąć", „czemu jesteś z tym facetem?", „czemu bez faceta" – serio? Po co to komu?

Niech pytają, a ty nie musisz odpowiadać i wdawać się w głupie gadki. Skoro zaczynasz od nowa, to znaczy, że chcesz zacząć od nowa. Skoro nie masz faceta, to z jakichś powodów go nie masz. I że co? Że nie wypada?

Właśnie, że wypada, skoro ty to czujesz, to wypada.

Można zmienić swoje życie, kiedy tylko nam się to żywnie podoba.

Kochane moje, tyle razy się wypieprzyłam. Tak, to nie były zwykłe upadki, tylko ostre wypieprzenie. I życie mi się rozwalało, z różnych powodów, i zawodowo, i prywatnie. A jednak potrafiłam się podnieść i powiedzieć: zaczynam… od nowa!

Jesteś warta wszystkiego, co najlepsze!

Tyle przeszłaś.

Tyle razy się podniosłaś.

Nikt poza tobą nie wie, ile łez kosztowało cię, by znaleźć się w tym miejscu, w którym się znajdujesz!

Kochana, jesteś odważniejsza, niż myślisz.

Dowiedziałaś się, że to jest twoja historia.

Niczyja inna.

Że życie ma cudowny smak.

To są twoje pomyłki, twoje szczęście i niczyje inne.

Wiesz, że jeśli się naprawdę kogoś kocha, to bierze się na plecy połowę bólu tej osoby, żeby jej jakoś lżej było na sercu i duszy.

I skacze się do nieba, kiedy ta osoba przeżywa szczęście.

Kochana, pamiętaj, jesteś warta miliona gwiazd i kilku promyków słońca.

Pamiętaj o tym!

Mierz siły na zamiary albo zamiary na siły.

Nie musisz znajdować czterolistnej koniczyny, by być szczęśliwą.

Nie musisz się nad wszystkim zastanawiać, wszystkiego analizować.

Żyj tak, jak sobie wymarzysz.

I czasami trzeba przejść przez złe dni, aby dojść do tych dobrych.

Jeśli chcesz do kogoś napisać, to to zrób, jeśli chcesz z kimś porozmawiać, to z nim rozmawiaj, jeśli chcesz zjeść bułę, to zjedz bułę,

a jeśli chcesz się napić kawy, to napij się kawy. Nie komplikuj sobie życia. Lepiej bez komplikacji.

Wspominaj, zapominaj.

Niektóre rzeczy zrozumiesz, innych wciąż nie będziesz w stanie pojąć.

Przegrasz.

Wygrasz.

I raz z górki, a raz drałujesz pod górę…

Ale do przodu…

Przywołuj na twarz uśmiech.

W myślach – dobre wspomnienia.

Idź na spacer i zostaw pod jakimś drzewem swoje zmartwienia.

Zrzuć je z pleców, wyrzuć z głowy.

A zakop tałatajstwo.

A wiesz, że szczęście przychodzi wtedy, kiedy przestajesz narzekać na problemy, które masz?

I zaczynasz doceniać, jak wiele z nich już pokonałaś…

Dziś może być zły dzień, ale jutro może przyjść ten najpiękniejszy, musisz do niego dotrwać.

A teraz napij się kawy albo herbaty.

Włóż wygodne buty i idź.

Westchnij.

Odetchnij.

I pomyśl, że dla każdego z nas wschodzi to samo słońce.

ZAPRASZAM Was do odwiedzenia mojej strony: http://gabrielagargas.pl/ oraz na fanpage na Facebooku: https://www.facebook.com/gargasgabriela, a także do dołączenia do grupy na Facebooku: „Fani powieści Gabrieli Gargaś".

Zajrzyjcie też na mój Instagram: @utkana.marzeniami.

PRZYPISY

[1] Fragment piosenki *Nic Nie Rozumiem (AMF BLEND)* – Quebonafide.